

LEKARZ Z AUSCHWITZ

**„Gott mit uns”... [Bóg z nami]
– Nieprawda! – Mordowaliście sami!
(Ryszard Radwański)**

S Z Y M O N N O W A K

LEKARZ Z AUSCHWITZ

PRAWDZIWA HISTORIA JÓZEFA BELLERTA
KTÓRY ZORGANIZOWAŁ SZPITAL
DLA PRAWIE 5000 OSÓB
W NAJWIĘKSZYM OBOZIE ZAGŁADY ŚWIATA



Okładka i projekt graficzny
Fahrenheit 451

Redakcja i korekta
Barbara Manińska

Dyrektor projektów wydawniczych
Maciej Marchewicz

Skład i łamanie
Honorata Kozon



Copyright © by Szymon Nowak
Copyright © by Fronda PL Sp. z o.o., Warszawa 2020

Za udzieloną pomoc i zebrane materiały do niniejszej książki
chciałbym podziękować: Archiwum Państwowego Muzeum
Auschwitz-Birkenau, Archiwum Państwowemu w Kielcach,
Bibliotece Narodowej, Centralnemu Archiwum Wojskowemu
w Rembertowie, Głównej Bibliotece Lekarskiej im. Stanisława
Konopki w Warszawie oraz Instytutowi Pamięci Narodowej.
Szczególne wyrazy wdzięczności kieruję do Kierownika APMA-B,
dr. Wojciecha Płosy.

Wydawca
Zona Zero Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34
e-mail: wydawnictwo@zonazero.pl

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA MINISTERSTWA KULTURY I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

SPIS TREŚCI

- Od autora • 9**
Powitanie • 13
Lato 1944
- Kapitulacja • 25**
Jesień 1944
- Pierwszy obóz • 31**
Jesień 1944
- Kronika filmowa • 34**
Jesień 1944
- Początek wędrówki ludów • 36**
Styczeń 1945
- Droga • 37**
Styczeń 1945
- Stan tymczasowy • 48**
Styczeń
- Ucieczka • 50**
Styczeń 1945
- Połowanie • 54**
Styczeń 1945
- Wspaniałomyślność • 60**
Styczeń 1945
- Salonka • 66**
Styczeń 1945
- Wolność • 68**
Styczeń 1945
- Wyzwoliciele w białych pałatkach • 78**
Styczeń 1945

Dzieci • 86
<i>Styczeń 1945</i>
Coś się od życia należy • 93
<i>Styczeń 1945</i>
Propaganda • 97
<i>Zima 1945</i>
Samarytanie z kopalni Brzeszcze • 100
<i>Styczeń 1945</i>
Decyzja • 106
<i>Styczeń 1945</i>
Narada • 115
<i>Styczeń 1945</i>
Pierwsi ratownicy • 128
<i>Styczeń 1945</i>
Nowe porządki • 145
<i>Styczeń 1945</i>
Znalezisko • 149
<i>Zima 1945</i>
Trudne początki • 151
<i>Zima 1945</i>
Powroty • 162
<i>Zima 1945</i>
Ręce do pracy • 163
<i>Zima 1945</i>
Pielęgniarki • 167
<i>Zima 1945</i>
Powrót nadludzi • 180
<i>1945</i>
Szacunek • 197
<i>1945</i>
Pacjenci i medycy • 206
<i>Luty 1945</i>

Słoiček musztardy • 212
<i>Zima 1945</i>
Wieża Babel • 228
<i>Zima 1945</i>
Przyzwoitość • 235
<i>Zima 1945</i>
Nowi na pokładzie • 238
<i>Zima 1945</i>
Cienie przeszłości • 247
<i>Wczesna wiosna 1945</i>
Nadzieja • 251
<i>Wiosna 1945</i>
Dociekliwość • 270
<i>Wiosna 1945</i>
Święta • 274
<i>Kwiecień 1945</i>
Koniec wojny • 277
<i>Maj 1945</i>
Szpital PCK • 279
<i>Wiosna 1945</i>
Dyrektor Bellert • 284
<i>Półowa roku 1945</i>
Życie po Auschwitz • 300
Józef Bellert • 309
Wybrana bibliografia • 334
O autorze • 337



**Józef Bellert w czasie niemieckiej okupacji, 1940 r.
(Główna Biblioteka Lekarska im. Stanisława Konopki w Warszawie)**

OD AUTORA

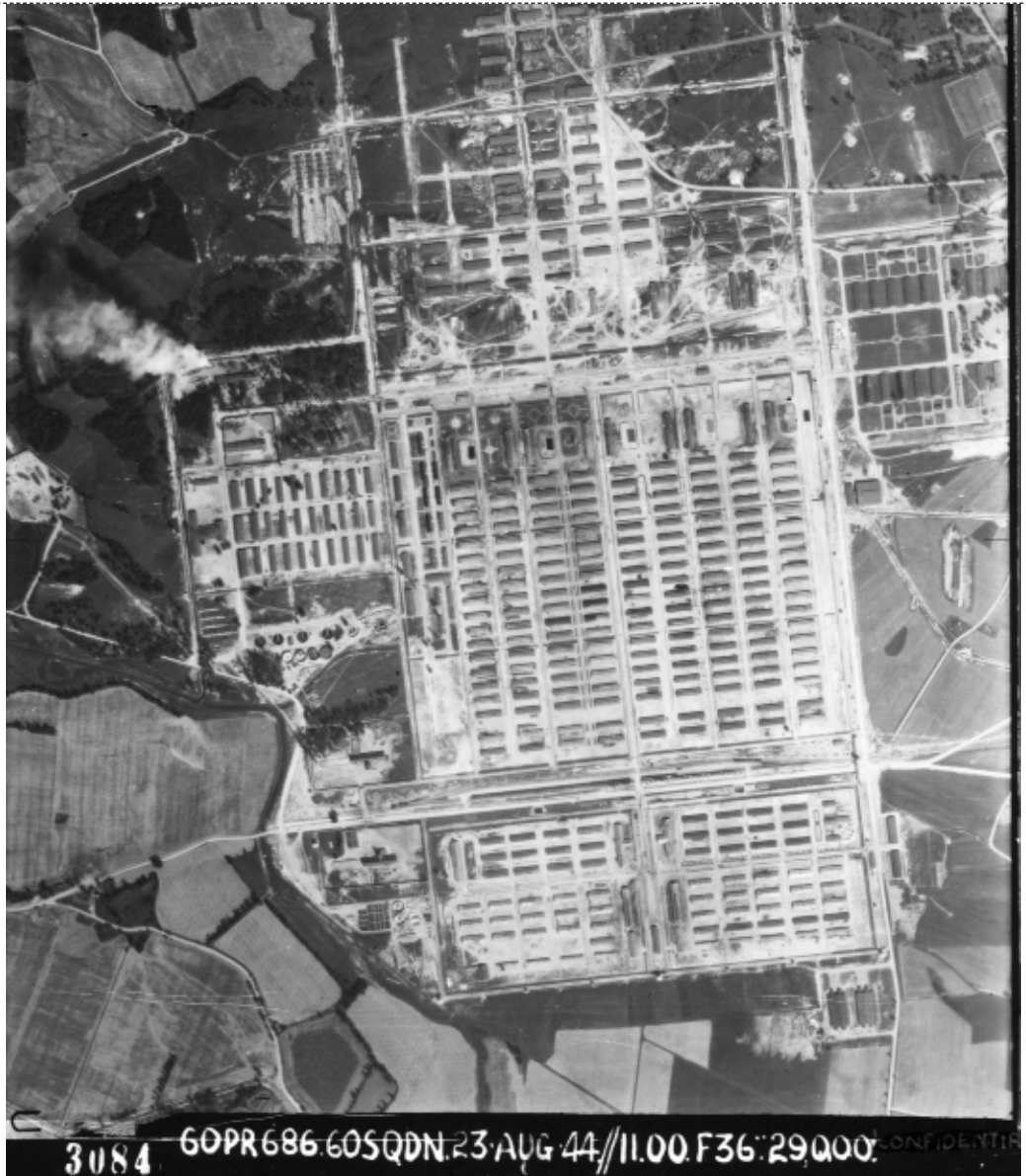
Auschwitz, Oświęcim, kojarzy się tylko z jednym – przeprowadzonym przez Niemców ludobójstwem Żydów, Polaków, Rosjan... Ale Auschwitz był też miejscem gdzie prawdziwe człowieczeństwo zakwitło na nowo, na przekór hitlerowskiej maszynie śmierci, która usiłowała odczłowieczyć swoje ofiary i odrzec je z ludzkiej godności. Auschwitz miał swoich bohaterów. O wielu napisano tomy, ale większość cichych bohaterów Oświęcimia jest znanych jedynie Panu Bogu.

Opowiem o jednym z tysiąca, dziś praktycznie zapomnianym. Na pewno nie uczyliście się o nim w szkole, ale w 1945 roku tysiące ludzi ocalałych z Auschwitz zawdzięczało mu życie i zdrowie.

Józef Bellert, dobiegający wówczas 58. roku życia nie był typem komandosa jak Witold Pilecki. Daleko mu do miłosierdzia Ojca Maksymiliana Kolbgo i dziewczęcej bezbronności Czesławy Kwoki. Ale – podobnie jak oni wierzył, że żyje się również dla innych, że miarą człowieczeństwa jest nasz stosunek do potrzebującego, odrzuconego, a w jego przypadku – chorego.

Dlatego tuż po oswobodzeniu obozu przez Sowieców, sam zgłosił się do pracy w Auschwitz i praktycznie na kamieniu zorganizował w ruinach Oświęcimia największy szpital polowy II wojny światowej

To wszystko działo się tuż po przejściu frontu, dymyły jeszcze zgłiszczka krematoriów wysadzonych przez pośpiesznie wycofujących się Niemców. Z fabryki śmierci, która przepuściła przez swoje tryby ponad milion ludzkich istnień, pozostało na miejscu około pięciu tysięcy więźniów. Tych, którzy nie byli w stanie o własnych siłach wyruszyć w przerażających marszach śmierci, ewakuacji zarządzanej przez Niemców uciekających przed nadciągającą Armią Czerwoną.



Auschwitz. Fabryka śmierci widziana z lotu ptaka (Wikipedia)

Od autora

Paradoksalnie ci, którzy zostali skazani na śmierć, otrzymali nową szansę i nowe życie – dzięki Bellertowi i jego kolegom niosącym potrzebującym pomoc lekarską przy braku wody, środków higieny, środków opatrunkowych, lekarstw i – kanalizacji.

Trzeba było być prawdziwym twardzielem nie tylko, by nieść pomoc w warunkach, które starałem się opisać na kartach niniejszej książki. Samo przebywanie w miejscu tak bardzo naznaczonym śmiercią, kiedy pielęgniarki i lekarze na co dzień dotykali fizycznych i psychicznych głębokich zranień swoich pacjentów, stanowiło poważne wyzwanie nawet dla tych, którzy widzieli już niejedne okropności wojny.

Józef Bellert – były żołnierz-lekarz Legionów Polskich, żołnierz września 1939, konspirator AK i powstaniec warszawski. Szczęśliwie przeżył niemiecką okupację, mógł w spokoju w Krakowie doczekać końca wojny. Ale to nie było zgodne z jego charakterem i powołaniem. Ten „Boży szaleniec” rzucił wszystko i w poczuciu misji pojechał do Auschwitz, aby ratować ocalałych. Co więcej – swoją postawą i zaangażowaniem pociągnął za sobą jeszcze wielu innych ochotników.

Niestety, nie napisał pamiętnika i nie zostawił żadnych wspomnień. Śladem jego działalności w Oświęcimiu jest jedynie kilka lakonicznych, wręcz oschłych raportów. Czy był zbyt skromny, aby pisać wyłącznie o sobie, a może po prostu nie miał na to czasu? Prezentowana książka powstała w głównej mierze na podstawie relacji naocznych świadków, dokumentów archiwalnych i publikacji historycznych. Ponieważ historia Józefa Bellerta i szpitala PCK w Auschwitz opowiedziana została w formie beletrystycznej, jej fabularny przekaz pozwolił na wkomponowanie w treść kilku wątków dopowiedzianych przez autora.

Niniejsza praca to przede wszystkim hołd oddany Józefowi Bellertowi oraz innym – często anonimowym – osobom z jego ochotniczego zespołu, zaangażowanym bezinteresownie w pracę szpitala PCK i ratowanie ludzi w Auschwitz w 1945 roku.



Fragment obozowego ogrodzenia i budynki obozu Auschwitz, 1945 r. (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

POWITANIE

Lato 1944

Pociąg z wolna tłukł się po szynach głośno stukocąc kołami i pokonując dziesiątki kilometrów podczas długiej jesiennej nocy. Teoretycznie monotonna jazda powinna uśpić pasażerów ciasno stłoczonych w bydłych wagonach nocnego pociągu. Maszynista chyba otrzymał rozkaz od hitlerowców, aby podróż ludzi w transportach przeładowanych do granic możliwości nie należała do przyjemności. Może to zresztą tylko faktyczna potrzeba, aby po drodze przepuścić wszystkie ważniejsze transporty z bronią i amunicją na front, czy rannymi niemieckimi żołnierzami dostającymi już porządne baty od Sowietów. Tak czy inaczej pociąg to ostro przyspieszał, to znowu gwałtownie hamował, szarpiąc przy tym łańcuchami wagonów.

Stojący, ciasno stłoczeni ludzie wywracali się na siebie albo, co gorsza, upadali wprost na gęsto ustawione na podłodze nosze z rannymi. Dopiero po krzykliwych narzekaniach i przekleństwach rzucanych po polsku można było się domyślić, kim są pasażerowie tego niemieckiego transportu w bydłych wagonach.

Siedzący w samym kącie doktor Wojnicki został wygarnięty z powstania w czasie krótkiej przepustki, kiedy z dyżuru chirurgicznego wyrwał się na spotkanie z żoną. Nie potraktowano go jak powstańca i nie rozstrzelano w ruinach Warszawy. Niemcy po wnikliwej selekcji w obozie w Pruszkowie następnego dnia po aresztowaniu wpakowali doktora razem z grupą innych aresztantów do bydłego wagonu.

Pociąg za dnia ruszył w kierunku południowo-zachodnim, prosto w stronę granicy z Rzeszą, a niebezpieczeństwo znalezienia się w złowrogim Auschwitz, Birkenau, Płaszowie, Gross-Rosen,

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Dachau czy w innym niemieckim obozie śmierci cały czas nie dawało spokoju Wojnickiemu i współpasażerom. Gdyby tylko był jasny dzień, można byłoby przez małe okienka zorientować się, w którą stronę kieruje się ich skład kolejowy. Być może po mijających stacjach można byłoby ustalić, jakie miejscowości znajdują się na drodze ich transportu. W ciemnościach nocy jednak, kiedy postoje wypadały w szczerym polu, tylko jasnowidz mógłby się zorientować, gdzie tak naprawdę Niemcy ich wywożą. Lekarz nie mógł spać i czuwając pośród swoich pacjentów, cały czas przysłuchiwał się toczonym w wagonie rozmowom.

– I dokąd to nas wiozą, panie ładny? – pytał starszy jegomość z głową obwiązaną ciasno bandażem i zakrytym jednym okiem.
– Bo ja ze swoim jednym ślipiem to nawet rodzonej swojej małżonki poznać bym nie mógł.

– Ładny to ja byłem, jak do komunii szedłem. Teraz to mną można dzieci straszyć. Drugie oko masz pan zdrowe – mamrotał poparzony młodzieniec, cały owinięty w białe bandażę, spod których widać było tylko twarz. – Ja tam panu niewiele powiem. No, kurka, nie wstanę i nie zerknę przez okno, gdzie jedziemy.

– Drocę się, panie ładny. I tak nic nie widać w tych ciemnościach. No i najważniejsze – ciągle jedziemy.

– Tylko gdzie?

– Cały czas do celu.

– Ale jakiego. Tylko mi pan nie wyjeżdżaj z celem wiekiustym, już wcześniej żem słyszał, co pan wygadujesz.

– Przecież wiesz pan, dokąd jechały transporty z więźniami z Pawiaka. Albo z Pruszkowa. Co się pan teraz głupio pytasz.

– Gdybym wiedział, że trafię do Oświęcimia, to wolałbym wybrać kulę w powstaniu i wykopyrtnąć od razu tam na miejscu. Przysięgam.

– W sumie niewiele chyba panu brakowało... – wtrącił cichutko ktoś z boku, patrząc litościwie na zawiniętego niczym kukła poparzonego powstańca.

Do rozmowy dołączyła młoda, leżąca na noszach kobieta przykryta kocem, pod którym wyraźnie było widać, że brakuje jej

Powitanie

obu nóg. – W 1940 roku mojego ojca wywieźli do Auschwitz. Po trzech miesiącach przyszła króciutka informacja, że zmarł na zapalenie płuc.

– Akurat! Do wszystkich tak szwaby pisały. Mojego podobno dopadł zawał. Dziwnym trafem w Warszawie był zdrowy. Jak tylko zabrali go do szkopskiego obozu – zgon na zawołanie.

– Przy załadunku Niemcy mówili, że pojedziemy do obozów jenieckich w Rzeszy – dodała nadzorująca ten wagon sanitariuszka.

– Mówili też, że możemy czuć się bezpiecznie i że nic nam z ich strony nie grozi.

– Na roboty nas wiozą. Na bank. Każda para rąk się im przyda, żeby ratować *heimat*. Oni tylko wojskowych do obozów mogą ciągać, żeby im jakiego nowego powstania nie wywołali – mędrkował ktoś z głębi wagonu. – Na cywilach tylko chcą zarobić.

– Póki co – żyjemy. I to jest najważniejsze. Wszędzie da się jakoś przebiedować. Wszędzie są dobrzy ludzie. Wojna się kończy, trzeba się tylko doczołgać do mety w jednym kawałku – wtrącił jednooki, trąc ciągle łzawiącą ocalałą źrenicę. – Ja tej wojny nie wywołałem i ja jej nie skończę. Ja to mała myszka jestem. I dlatego, po mojemu, warto postać z boku i poczekać, aż to za nas skończą ci mocniejsi i ważniejsi.

– I pan tak długo potrafisz udawać, że się nie denerwujesz?

– Jak idzie na mnie jakiś duży strach, panie ładny, taki naprawdę duży strach, to ja wolę poczekać i bać się dopiero, kiedy podejdziesz już naprawdę blisko. Przez ten czas niech się ten strach skradaniem zmęczy. Może będzie słabszy, kiedy podejdziesz bliżej? – sentencjonalnie ciągnął jednooki.

Po takim stwierdzeniu zapadło na moment milczenie i wtedy ktoś stojący blisko okna przytomnie zauważył, że od jakiegoś czasu pociąg nie sunie już po szynach.

– Stoimy! – zawołał nagle i kilkanaście osób skoczyło na równe nogi, stając od razu przy okienkach.

– Widać coś? – dopytywali obłożnie chorzy, niemogący w żaden sposób wstać ze swoich legowisk.

– Są jakieś światła.

LEKARZ Z AUSCHWITZ

- I coś jakby perony.
- A jeszcze?
- O cholera jasna. Niemcy. Z giwerami. I z psami.
- Ale gdzie jesteśmy?
- Nie wiadomo...

Z głośnym hukiem niemieccy strażnicy odryglowali drzwi i z dzikim wrzaskiem zaczęli ponaglać Polaków do natychmiastowego opuszczenia wagonów.

– Byle nie Oświęcim. Byle nie Oświęcim... – modliła się jakaś starsza kobiecina czyniąc bez przerwy znak krzyża, kiedy cała grupa wychodziła już na rampę.

– O Jezu! – wykrzyknął ktoś, widząc wreszcie i pokazując regularnie rozstawione wieżyczki strażnicze obozu. – To naprawdę jest...

- ...Auschwitz – usłyszał lokalizację.

Żeby przyspieszyć działanie maszyny zagłady, hitlerowcy oddali do użytku nową rampę wewnątrz obozu Birkenau. Dzięki niej więźniowie zwożeni tu pociągami nie musieli pokonywać kilkuset dodatkowych metrów do komór gazowych. Latem 1944 roku liczba więźniów w obozach Oświęcimia i podobozach przekroczyła 135 tysięcy ludzi. Była to maksymalna liczba ludzi jednorazowo zamkniętych w Auschwitz i jego filiach, a jednocześnie chyba najwyższy poziom możliwości „przerobowych” niemieckiego obozu śmierci. Równocześnie w tym samym czasie zaczęła stopniowo wyhamowywać niemiecka maszyna zagłady.

Po błyskawicznej i największej operacji ofensywnej Armii Czerwonej (operacji „Bagration”) front wschodni stanął u wrót Warszawy i zatrzymał się na linii rzek Wisły i Wistoki. Z zajętego przez Sowieców przyczółka sandomierskiego do Oświęcimia wojska sowieckie miały tylko 200 kilometrów. Przy prędkości ostatnich działań zbrojnych Armii Czerwonej było to bardzo niewiele. Właśnie to wydarzenie stało się przyczyną, że hitlerowcy na poważnie zaczęli rozważać możliwość ewakuacji obozu. Jednocześnie Niemcy podjęli próby, aby

w Oświęcimiu-Brzezince zatrzeć ślady swoich zbrodni i pozbyć się jej świadków.

Dlatego też w ciągu najbliższych tygodni zlikwidowano więźniów zatrudnionych w Sonderkommando przy obsłudze komór gazowych i pieców krematorium. Równocześnie rozpoczęto na masową skalę palenie niepotrzebnych już dokumentów (kartotek i rejestrów więźniów), które w przyszłości mogłyby posłużyć jako dowody niemieckiego ludobójstwa. Jednocześnie od sierpnia 1944 roku wysyłano z Oświęcimia w głąb Rzeszy transporty kolejowe więźniów przeznaczonych do dalszej fizycznej pracy przymusowej na rzecz okupanta. Przy segregacji zwracano szczególną uwagę na zdolność do dalszej pracy.

Po grupie wysiedlonej z Zamojszczyzny kolejny masowy napływ polskich więźniów nastąpił po wybuchu powstania warszawskiego. Wówczas do KL Auschwitz przetransportowano ponad 13 tysięcy warszawiaków, w tym 1400 dziewcząt i chłopców.

Do transportów w głąb Rzeszy zostali zakwalifikowani praktycznie wszyscy Polacy, Rosjanie i Czesi, których obozowe władze uznały za element skłonny do buntów i ucieczek. Takie ewentualne zagrożenie miało kolosalne znaczenie w związku z bliskością frontu wschodniego. W ten sposób ewakuowano z Auschwitz i podobozów około 65 tysięcy więźniów. Na terenie Birkenau rozpoczęto też prace nad likwidacją dołów śmierci. Znajdowały się w nich prochy ludzi spalonych w krematorium. Na polecenie SS doły te oczyszczano z popiołów, zasypywano ziemią i okładano darnią, aby skutecznie je zamaskować. Od listopada 1944 roku Niemcy całkowicie zaniechali zagazowywania Żydów przywożonych w masowych transportach oraz więźniów uznanych za niezdolnych do pracy. Rozebrano do fundamentów jedno z krematoriów, a w pozostałych założono materiał wybuchowy, przygotowując je do wysadzenia w każdej chwili. Wcześniej zdemontowano części w komorach gazowych i krematoriach, a całość wyposażenia technicznego wyekspediowano do Rzeszy. W sytuacji bliskości frontu całkowicie wstrzymano rozbudowę obozu, a nawet zaczęto rozbierać niektóre drewniane baraki i wysyłać zdemontowane ich części



Auschwitz. Rampa. W głębi, na horyzoncie widać kominy krematorium (Bundesarchiv)



LEKARZ Z AUSCHWITZ

do Niemiec. Pomimo pospiesznych prac ewakuacyjnych, nie zapomniano o zagrabionym mieniu ofiar – do końca trwało wywożenie zrabowanych rzeczy. W ostatnich tygodniach przed wyzwoleniem w magazynach nazywanych „Kanada” i „Kanada II” przygotowano do transportu kilkaset tysięcy sztuk ubrań i bielizny męskiej, kobiecej i dziecięcej.

Rampa była zalana światłem. Pasażerowie bydlęcych wagonów po półtorej doby jazdy w ciemnościach i półmroku mrużyli teraz oczy osłepione reflektorami. Ustawiali się niepewnie na rampie, przytulając do siebie ocalone z pociągu resztki dobytku.

Esesmańskie psy ujadły jak szalone, szarpały się przewodnikom na grubych, poczwórnych smyczach. Powietrze było rześkie, wreszcie, po tylu godzinach spędzonych w tłoku i zaduchu, można było odetchnąć pełną piersią.

– Oświećmy? Ale to jakaś pomyłka. To niemożliwe. Ja niczego nie zrobiłem. Ja nie jestem wojskowy. Ja w ogóle... – zaczął zawodzić jakiś zażywny jegomość w szarym, eleganckim paltocie. – To trzeba jakoś im wyjaśnić. Mieliśmy obiecane – na roboty do Niemiec...

– Taa, idź pan do tego z bykowcem w rękę – doradzał spanikowanemu jednooki pasażer wagonu. – Może wystawi zaświadczenie, żeś im pan powstania nie wywołał. Panie ładny – zwrócił się ze zdziwieniem do towarzysza podróży, który nieoczekiwanie zwłókł się z noszy i stanął na peronie razem z innymi. – Pan już ozdrowiał?

Poparzony przestępował z nogi na nogę. – Ile mogę, dam radę. Tacy na noszach na pewno im niepotrzebni.

Mały chłopczyk taszczył na rękach dużego czarnego kota, przychającego ciągle na esesmańskie wilczury, odłączył się od dorosłych i podszedł do najbliższej aufzejerki stojącej w towarzystwie wyższych oficerów. Grzecznie poczekał, aż kobieta skończy rozmawiać z esesmanami i podał jej kota. *Bitte*, proszę. Kobieta bez zdziwienia przejęła kota z rąk chłopca. Poglaskała młodego warszawiaka po głowie i łagodnym gestem dała mu znak, żeby wrócił pomiędzy aresztantów.



**Auschwitz. Transport nowych więźniów prawdopodobnie z maja lub lipca 1944
(Wikipedia)**



Barak kwarantanny męskiej. Na pierwszym planie – latryna (Wikipedia)

Powitanie

Doktor Wojnicki, korzystając z osłony szerokopleczystego sąsiada, wyciągnął z kieszeni chusteczkę z dwoma kawałkami chleba. Kiedyś przez wiele miesięcy opiekował się wypuszczonym z Auschwitz wielkim aktorem Stefanem Jaraczem, wiedział więc, że zanim transport nowych więźniów zostanie zapisany na stan obozu, Niemcy zamkną ich w barakach kwarantanny. Bez jedzenia, ale już po rewizji. Roztropne więc wydawało się zjeść zapasy właśnie teraz.

Rzeczywiście, dopiero po dwu dniach wypuszczono ich z obsłużonego baraku bez podłogi, w którym hitlerowcy upchali ponad 1000 osób. Przez ten czas starzy więźniowie ukradkiem przynosili spragnionym nieszczęśnikom wodę, szukając ziomek wśród nowo przybyłych

Wreszcie Niemcy zakomenderowali przejście aresztantów z baraku kwarantanny, przez łaźnię – do właściwego obozu. Sprawnie odebrano im złoto i wszelkie kosztowności, a w miejsce skonfiskowanych kenkart każdy otrzymywał małą kartkę z imieniem i nazwiskiem. Nagich poprowadzono stadem do łaźni.



Krakowskie Przedmieście zrujnowane działaniami wojennymi. Na pierwszym planie – pomnik Mikołaja Kopernika (Narodowe Archiwum Cyfrowe)

KAPITULACJA

Jesień 1944

Dwie młode kobiety ubrane w wojskowe uniformy z powstańczymi biało-czerwonymi opaskami na ramionach stały na baczność przed lekarzem i cierpliwie znosiły jego tyradę. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy na fakt, że Zofia i Maria Bellert znajdowały się przed obliczem swojego ojca Józefa Bellerta, który mówił:

– Jest podpisane zawieszenie broni z Niemcami i będzie kapitulacja powstania. Za moment do naszej dzielnicy wkroczą Niemcy i nie wiadomo, co się wydarzy. Podobno mają respektować prawa konwencji genewskiej, tak jest ustalone w protokole z zawieszenia broni, ale ja tym skurczybykom nie wierzę. Wszyscy wiedzą, co robili na Woli i na Starówce. Dlatego powtarzam wam jeszcze raz: kieruję was do służby pomocniczej w moim szpitalu PCK. Rozumiecie? Komendant AK przygotowuje rozkaz, w którym dziękując za postawę w walce, zwalnia wszystkich z dotychczasowych obowiązków. Każdy powstaniec może iść, gdzie chce – może się poddać Niemcom jako żołnierz AK, może udawać cywila, a może ratować skórę na własną rękę. Po kapitulacji, z Niemcami wejdą dzicy żołdacy ze Wschodu. Słyszałyście nieraz, że własowcy i Ukraińcy nie przepuszczą żadnej ładnej kobiecie, że rabują i zabijają. Dlatego jako oficer Wojska Polskiego i wasz ojciec nakazuję wam zostać tutaj. Na wojnie nie rosną stokrotki, ale z własnego doświadczenia wiem, że nieraz życie ludzkie uratował znak czerwonego krzyża. Zostańcie ze mną. Bardzo proszę.

– Tato – po dłuższej chwili odezwała się starsza Zosia. – Ale musimy powiedzieć ludziom z naszego oddziału o tym, że odchodzimy.

LEKARZ Z AUSCHWITZ

– Wejście Niemców to może być kwestia godzin, a tyle jest jeszcze tutaj do zrobienia. Liczyłem na waszą pomoc.

– Nam w zupełności wystarczy jedna. Jedna godzina – uśmiechnęła się młodsza Maria widząc, że ojciec spuszcza już z tonu i porozumienie może być możliwe.

– Idźcie – powiedział w końcu. Ale zaraz dodał stanowczo: – Ale meldujcie się u mnie za godzinę, ani minuty później.

Kiedy córki pobiegły do swojego pododdziału, Józef Bellert wrócił do obowiązków. Na szczęście trwające od jakiegoś czasu zawieszenie broni zapobiegło kolejnym ofiarom i do szpitala nie donoszono już rannych. W obliczu kapitulacji i wkroczenia Niemców pozostawało jednak jeszcze tyle do zrobienia, że cały personel PCK dwoił się i troił, biegając jak w ukropie. W pierwszej kolejności należało upodobnić szpital do placówki cywilnej, a więc ze szpitala musiało zniknąć wszystko to, co świadczyło, że ratowani tu byli powstańcy.

Dlatego pacjentom zabierano wszystkie części wojskowych mundurów i wyposażenia, a nawet przemyconą po cichu do szpitala broń. Od razu znalazło się kilkanaście pistoletów, z którymi ranni żołnierze nie chcieli się rozstać. Na podwórku szybko rosła pokaźna sterta wojskowych panterek, kurtek, bluz, spodni, butów, pasów, plecaków, chlebaków, kabur, ładownic. Wkrótce pistolety poukrywano w różnych zakamarkach ruin (byle dalej od szpitala), sorty mundurowe zostały polane benzyną i podpalone, a skórzane wyposażenie powrzucono po prostu do kanałów. Paradoksalnie, rannym powstańcom najtrudniej było się rozstać wcale nie z bronią, ale z biało-czerwonymi opaskami. Zresztą to samo dotyczyło personelu medycznego, którego członkowie nosili zawsze dwie opaski – jedną białą-czerwoną, a drugą białą z emblematem Czerwonego Krzyża. Kto miał możliwość, wynosił swoje opaski na zewnątrz i ukrywał na przyszłość gdzieś w swoich mieszkaniach albo po prostu w ruinach, mając nadzieję, że niedługo wróci do Warszawy i odnajdzie swój symbol heroicznej dwumiesięcznej walki.



Szpital powstańczy (Narodowe Archiwum Cyfrowe)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Przed szpitalem wywieszono świeżo wypraną białą flagę z czerwonym krzyżem, a ktoś z rozmysłem na wszystkich ścianach budynków zgrabnie wyrysował czerwonymi pokruszonymi cegłami wielkie znaki krzyża PCK. Na koniec w miarę możliwości prześcielono łóżka i materace, a pacjentom wydano czystą bieliznę. Podobnie uczynili lekarze i pielęgniarki, przebierając się w świeżo wyprane białe fartuchy, na rękawach umieszczając również czyste opaski z czerwonym krzyżem.

Po 50 minutach przybiegły zdyszane siostry Bellert i szybko zameldowały się ojcu. Ten miał już przygotowane dla nich białe kitle oraz opaski PCK. Kiedy w pośpiechu dziewczyny się przebierały, upodabniając do medycznego personelu, starsza ni stąd, ni zowąd zagadnęła ojca:

– Tato, czy w szpitalu macie jakiegoś Niemca?

Początkowo nie zrozumiał, o co jej chodzi. Dopiero po chwili wyjawiała mu więc swoją koncepcję.

– Ludzie nam doradzali, że dla bezpieczeństwa szpitala, zaraz przy wejściu należy umieścić łóżka z chorymi lub rannymi Niemcami leczonymi w tym szpitalu. Kiedy wejdą hitlerowscy żołnierze, zaraz za drzwiami natkną się na swoich rodaków, których Polacy, nie dość, że nie zabili, to jeszcze ratowali im zdrowie. Taka okoliczność może uratować cały szpital – ocalić życie lekarzy, pielęgniarek i chorych, nawet rannych powstańców. Podobno takie sytuacje miały już miejsce w powstaniu.

Doktor Bellert zastanowił się przez chwilę.

– Zaraz się tym zajmę – Józef podszedł do swoich pociech, przytulił obie córki, pogłodził po włosach i pocałował w czoło.

– Ale musimy się pospieszyć. Właśnie dotarła wiadomość, że przekazanie szpitala wojskom niemieckim ma nastąpić lada chwila.

– A może wyjść przed drzwi z białą flagą?

– Nie ma potrzeby. Budynek szpitala został dokładnie oznaczony czerwonym krzyżem, a zawieszenie broni już funkcjonuje. Słyszycie? Wszędzie cisza. Nikt do nikogo nie strzela...

Kapitulacja

Grupka lekarzy i sanitariuszek powstańczego szpitala polowego ustawiła się w przedsionku obszernej kamienicy i nowowo oczekiwiała na nadejście pierwszych niemieckich żołnierzy.

– Pst. Chyba coś słyszę...

W istocie, za zamkniętymi drzwiami słychać było tupanie wielu nóg i germańskie gardłowe komendy.

– Chyba Niemcy.

– Dobrze, że Niemcy, a nie własowcy.

– Ciii...

Ktoś z zewnątrz przeraźliwie głośno załomotał kolbą w drzwi, a potem całe ich skrzydło runęło pod naporem ramion wehrmachtowców. Nie opadł jeszcze kurz wywołany upadkiem wylamanych drzwi, kiedy do budynku wtargnęło kilku żołnierzy trzymających broń gotową do strzału. Nie zdążyli nawet wrzasnąć swojego *Hände hoch*, a już ręce polskiego personelu na wszelki wypadek uniosły się ku górze. Zaraz zresztą polscy medycy zostali otoczeni zwartym kręgiem i wnikliwie obszukani.

Dowodzący jasnowłosy oficer wydał rozkaz, aby wyprowadzić personel na zewnątrz, i wtedy, z głębi szpitala, z pierwszych łóżek dołyszał niemiecką mowę. To Niemcy leczeni z ran i chorób w tym szpitalu zaczęli zdawać relację ze swojego pobytu w polskiej niewoli i w polskim szpitalu. Chcieli wstawić się za polskimi lekarzami i siostrami przewidując, co może im grozić.

– Panie lejtnancie, melduje się gefrajter Schmidt. Zostałem wzięty do niewoli na początku powstania i szczęśliwie doczekałem wyzwolenia. *Danke Kameraden*.

– Polacy ci to zrobili? – pytał oficer wskazując na obwiązaną bandażami i usztywnioną nogę.

– Nie, *mein Leuntant*. To odłamki pocisku artylerii. Naszej artylerii.

– A ty? – lejtnant dopytywał następnego

– Zawalił się na mnie strop budynku, kiedy spadły na niego bomby. Ze stukasa.

– A tobie co dolega? – Leutnant szukał najwyraźniej kogoś poszkodowanego przez Polaków.

LEKARZ Z AUSCHWITZ

– Czerwonka, *Herr Leuntant*. Z braku czystej wody. Kiedy nasi zniszczyli wodociąg i kanalizację szlag trafił.

– Dobrze się wami opiekowali? – Zdegustowany odpowiedziami swoich rodaków porucznik kroczył pośród ustawionych przy wejściu łóżek z Niemcami, patrząc na ich wymizerowane twarze i lustrując ich zmienione opatrunki.

– *Ja, natürlich*. Traktowali nas jak jeńców wojennych, a w szpitalu opiekowali się nami tak samo jak swoimi rannymi.

– Jedzenie, *kameraden*, a jak z jedzeniem? Jeść dawali?

– *Jawohl Herr Leuntant*. Oczywiście. Co mieli. Zupę, chleb. Tak jak Polakom.

PIERWSZY OBÓZ

Jesień 1944

Obóz w Pruszkowie, *Durchgangslager* zwany Dulagiem 121, oddalony był kilkanaście kilometrów od granic zachodniej Warszawy. Tych, którzy po wyjściu ze stolicy sądzili, że wojna już się dla nich skończyła, czekało niemiłe rozczarowanie. W obozie nadal szaleli Niemcy, rozdzielano rodziny, wyznaczano palcem, kto powinien znaleźć miejsce w transporcie do obozu koncentracyjnego, kto ma jechać na roboty do Niemiec, a kto zostać zwolniony. Na ponad 50-hektarowym terenie, w olbrzymich halach przemysłowych, z których skrupulatni Niemcy wywieźli wcześniej do Reichu maszyny, zgromadzono niemal całą ludność wyprowadzoną z kapitulującej, powstańczej Warszawy.

Hitlerowcy poszczególne hale, w których upychano po pięć tysięcy ludzi, oddzielili zasiekami z drutu kolczastego, a oryginalny, wysoki mur fabryczny uzupełnili wieżyczkami wartowniczymi ze stanowiskami karabinów maszynowych. O cywilach spędzonych do obozu nie pomyśleli w ogóle; ludzie koczowali bezpośrednio na betonowej oślizgłej posadzce, nie było dostępu do bieżącej wody.

– Musimy natychmiast wybrać zawartość latryn. – Doktor Bellert został do dulagu przetransportowany z całą swoją powstańczą ekipą, więc z miejsca zajął się ratowaniem szpitala obozowego w hali numer 8. – Inaczej epidemii czerwonki będziemy mieli jak w banku. Ludzie już chorują na potęgę. Niemcy powyciągali ich w koszulach i piżamach z domów. Nadal brakuje ubrań i koców. O żywności nie wspomnę. Ludziska jedzą, co im wpadnie w rękę.

Przedstawicielka Rady Głównej Opiekuńczej załamała ręce:
– Panie doktorze, przez obóz przeszło z pół miliona Polaków,



Wysiedleńcy z Warszawy po przybyciu do Pruszkowa (Wikipedia)

w warunkach wojennych nie ma szans, żebyśmy pomogli im wszystkim. Pan wie o tym.

– Wiem, ale nikt nas nie zwolnił z odpowiedzialności za życie naszych rodaków. Skoro teraz obozem zajmuje się Wehrmacht, a nie SS, niech pani spróbuje, niech pani spowoduje, żeby zgodzili się zwolnić ciężarne i położnice. Przynajmniej jakąś ich część. Ratujmy, co się da.

– Niech jeszcze pozwolą wyprowadzić obłąkanych – dodał doktor Jaworski, lekarz urzędujący w obozie od połowy sierpnia – nie mamy ani ludzi, żeby się nimi zająć, ani leków. A spora część z nich odzyska siły, kiedy zejdzie z nich ciśnienie i wydostaną się z tego piekła.

– Ugadać coś z Niemcami? To już chyba łatwiej będzie ściągnąć leki z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża – odpowiedziała ze zniechęceniem kobieta z RGO.

– Leki – podchwycił Bellert. – Z aptek warszawskich nie możemy pozbierać najpotrzebniejszych leków? Przecież cała Warszawa nie została zburzona? – dopytywał Bellert.

Kobieta pokręciła głową. – Pan najwyraźniej nie wie, co się dzieje. Niemcy rozkradają naszą Warszawę, ulica po ulicy, kwartał po kwartale. Nawet tory kolejowe podciągnęli do śródmieścia. Wszystko, co wartościowe, ładują na wagony i wysyłają do Reichu. Wszystko. Okna, żyrandole, meble, nawet kable telefoniczne spod ziemi wyciągają, tną i – do wagonów. Potem domy palą i wysadzają. To sprawdzona wiadomość. Z naszego obozu wygarnęli grupę młodziaków, którzy dla nich szabrują Warszawę. Rozmawiałam z jednym. Niemcy nie pozwolą nam, ot, tak chodzić po mieście i wybierać lekarstw po aptekach.

– A ja, kochana pani, rozmawiałem z jednym bibliotekarzem. Dostali od szkopów glejt i pozwolili im ratować Bibliotekę Krasieńskich – Bellert spojrzął w oczy przedstawicielce RGO. – Niech władza postara się o podobną przepustkę dla kilku naszych studentów. Niech przyniosą w plecakach z Warszawy tyle lekarstw, ile udźwigną. Co szkodzi spróbować?

KRONIKA FILMOWA

Jesień 1944

– Myśli Pan, doktorze, że zostawili nas sobie na deser? – dopytywał sanitariusz, który w ostatnich dniach istnienia obozu w Pruszkowie awansował na logistyczną prawą rękę Bellerta. – Za Sturmbannführera Diabła wszystkich, którzy brali udział w powstaniu, wyłowili z obozu i posłali do Oświęcimia. Podobnież szykują dla nas cały eszelon.

– Podobnież? I co szykują? – zatrzymał się w pół kroku Bellert.

– Eszelon. No, cały pociąg dla nas.

– Wiem, co znaczy eszelon, aż się zdziwiłem, skąd pan wytrzymał takie słowo, panie kolego. Niemcy są praktyczni. Po co strzelać, kiedy można zagazować? Po co salonki dla naszego szpitala, kiedy wystarczy transport bydłęcymi wagonami razem z innymi?

– Panie doktorze, pan jest szefem, a szef ma zawsze rację. O tym eszelonie to ja wiem od kolejarzy, jutro o dziewiątej wyjazd.

Rzeczywiście. Po powrocie do swojej kwatery Bellert zastał niemiecki rozkaz pełnej ewakuacji szpitala – personelu i wszystkich chorych. Mieli być spakowani i oczekiwać na rampie punktualnie o godzinie 9 rano.

Pociąg wolniutko wtoczył się po torach. Ku lekkiemu zdumieniu personelu szpitalnego wszystkie wagony wyraźnie oznakowano czerwonym krzyżem. Były to porządne wojskowe pullmany, którymi jeszcze nie tak dawno Niemcy wozili swoich rannych z frontu wschodniego. Ostatnie, już zwykłe wagony towarowe

tego składu kolejowego, zostały umajone ogromnymi płachtami z czerwonym krzyżem.

– Co to za pokazówka się tu szykuje? – zachodził w głowę Bellert, zwłaszcza od momentu, kiedy zauważył, że na rampie pojawiła się dawno przez niego niewidziana niemiecka komenda obozu w świeżo wyprasowanych mundurach.

Za chwilę wszystko się wyjaśniło; na plac wjechały ciężarówki niemieckiej kroniki filmowej. Operatorzy sprawnie rozstawili kamery, pomimo dnia odpalili mocne reflektory, by zdjęcia stały się bardziej wyraziste. Na peronie pojawił się nawet akustyk, który z mikrofonem w rękę zaczął nagrywać odgłosy krzątający pielęgniarki wnoszących pacjentów do pociągu.

Z jednej z poszarzałych ciężarówek propagandowych wysiadł młody oficer. Bellert rozpoznał w nim lejtnanta, który jako pierwszy wkroczył do powstańczego szpitala zaraz po kapitulacji.

– *Gutten Tag, Herr Doktor*. Świat jest mały... – Niemiec dotknął ręką daszka swojej czapki. Bellert odklonił się bez słowa. – Jak pan widzi, Niemcy respektują konwencję genewską – zaczął powoli mówić Niemiec. – Szpital wroga zostanie odtransportowany bezpiecznie na tyły. Żadnemu rannemu nie spadnie włos z głowy. Żadnemu lekarzowi i żadnej pigułce. Pigułce? Tak to się u was chyba mówi? Bezpieczna ewakuacja. I my ją pokażemy światu. Na pięknym filmie.

Bellert przełknął ślinę. Jasnowłosy oficer odwrócił się tak, żeby nie być widziany przez resztę Niemców i dorzucił ścisząc nieco głos – ...pociąg jedzie do Krakowa. Nigdzie dalej. Rozumie pan, doktorze? Nigdzie dalej. Niech pan to przekazuje podkomendnym, żeby nie robili żadnych głupstw po drodze. Jesteście absolutnie bezpieczni – oficer ponownie odwrócił się i pociągnął Bellerta w stronę pociągu. Powrócił do dawnego tonu wypowiedzi. – Dzielny lekarz, jak kapitan okrętu schodzący z posterunku ostatni. To też trzeba pokazać światu. Pokazać do kamery, że my, Niemcy, potrafimy szanować dzielnych ludzi.

POCZĄTEK WĘDRÓWKI LUDÓW

Styczeń 1945

Ostatni apel w KL Auschwitz odbył się 17 stycznia. Według raportu w Oświęcimiu i Brzezince znajdowało się wtedy 32 tysiące więźniów, a w podobozach – kolejne 35 tysięcy.

Kilka dni wcześniej ruszyła kolejna wielka ofensywa Armii Czerwonej i stało się jasne, że front lada moment dotrze do Oświęcimia. Nie czekając na rozwój wypadków, Niemcy wprowadzili w życie opracowany kilka tygodni wcześniej plan pieszej ewakuacji zdolnych jeszcze do marszu więźniów obozu. W ciągu kilku styczniowych dni z KL Auschwitz i z podobozów wymaszerowały kolumny liczące razem około 56–58 tysięcy ludzi. Tylko nielicznych skierowano na zachód naprędce zorganizowanymi pociągami. Większą część więźniów pędzono trasami w kierunku na Wodzisław Śląski i Gliwice. Nienadążających w szybkim marszu i próbujących uciekać od razu rozstrzeliwano. W ten sposób w czasie morderczej ewakuacji nazywanej później „marszami śmierci” zamordowano jeszcze od 8 do 15 tysięcy ludzi.

W obozie macierzystym i podobozach pozostało jeszcze około dziewięciu tysięcy ludzi, najczęściej chorych, zagłodzonych i pozbawionych sił, którzy nie byli w stanie maszerować. Więźniów tych Niemcy planowali wymordować, ale szybkie postępy wojsk sowieckich i upadek dyscypliny w szeregach SS uniemożliwiły na szczęście wykonanie tego projektu. Wkrótce uciekła też znaczna część hitlerowskich strażników Auschwitz, wcześniej wysadzając budynki krematoriów i podpalając magazyny zawierające zrabowane rzeczy.

DROGA

Styczeń 1945

Sennie z wolna otworzyła oczy, gdy osiadający płatek śniegu ostro załaskotał ją po nosie. Nie kichnęła, ale mimowolnie zrobiła potężnego zeza, chcąc z bliska zobaczyć intruza. Zaraz jednak zamknęła jedno oko i patrząc tylko prawym, podziwiała doskonały kształt śnieżynki. Uformowana na bazie sześciokąta śnieżna gwiazdka szybko jednak zniknęła w zetknięciu z ciepłym skórą i pod wpływem jej płytkiego oddechu, pozostawiając na nosie kroplę wody. Druga spadająca śnieżynka zatańczyła w powietrzu przed jej twarzą i – o dziwo – dała się złapać na odsłoniętą wewnętrzną część dłoni. Ten okruch zlodowaciałej gdzieś w przestworzach wody prędko rozpuścił się pomiędzy kościstymi, przemarzniętymi i sterczącymi niezgrabnie palcami. Trzeci okruch śniegu wylądował na jej chudym przedramieniu, osiadając dokładnie na mankiecie utkanej w granatowo-białe szerokie pasy przybrudzonej i dziurawej obozowej kurtki. Obserwacja zewnętrznego świata i zabawa z płatkami śniegu pozwoliły jej wyjść z gąbczastej odizolowanej kuli i wrócić pełnej świadomości do jej przemarzniętej głowy. Kiedy kolejny okruch śniegu wylądował na sinofiletowym zapadłym policzku, 25-letnia Zosia Stępień z Radomia, była członkini Szarych Szeregów i ZWZ, już znowu wiedziała, gdzie jest i na co czeka. Z wolna mijała drętwo całego ciała wystawionego przez kilkadziesiąt minut na mróz i śnieg. Wracał przez to jednak ból odmrożonych członków i jednocześnie świadomość tragicznego losu.

– *Raaaus!*



KL Auschwitz II - Birkenau. Ustawieni w dwóch kolumnach Żydzi – po prawej mężczyźni, po lewej kobiety i dzieci – przed rozpoczęciem selekcji. W głębi główna brama obozu, po prawej baraki obozu kobiecego, 1944 r. (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)





Wnętrze baraku obozowego (Wikipedia)

Wykrzyczany prawie do ucha wrzask esesmana wyprostował do pionu dziewczynę i stojące obok niej więźniarki. Szereg skulonych na zimnie postaci ubranych w jednolite pasiaki zafalował i ruszył przed siebie. Przeciskając się przez wąską bramę, więźniowie skupili na sobie uderzenia pałek kapo i kolb esesmanów, a do szybszego marszu zagrzewało ich ujadanie psów wyrrywających się ze smyczy Niemców idących na końcu. Po wyjściu na główny trakt ruch kolumny zaczął przypominać zawody w maratonie. Ludzie albo szybko szli, albo podbiegali, by dogonić idących przed nimi. Niemcy mocno się spieszyli. Nie dziwota – szybki marsz pomagał im rozgrzewać się na mrozie. Ale podstawową motywacją ich wyjątkowego przyspieszenia, był doskonale słyszalny huk armat płynący ze wschodu. I dla nich, i dla więźniów wszystko było jasne – wreszcie po wielu miesiącach zastoju ruszył front wschodni, a czołgi z czerwoną gwiazdą mogły lada dzień wjechać na rynek w Oświęcimiu i gąsienicami zgruchotać ogrodzenia obozu KL Auschwitz, dając wreszcie wolność tysiącom ludzi. Ta ofensywa i oswobodzenie obozów śmierci mogły dla morderców z SS oznaczać w najlepszym wypadku – kulę w łeb.

Po kilku kilometrach marszobiegu nazwanego potem marszem śmierci na ziemię padła pierwsza ofiara. A przecież do ewakuacji obozu hitlerowcy wybrali i tak najsilniejsze jednostki – gwarantujące dalszą niewolniczą pracę na rzecz gospodarki i zbrojenia III Rzeszy. Niemożliwie wychudzony więzień kilkakrotnie potykał się w wędrówce, aż wreszcie całkowicie wyczerpany z sił uklęknął na drodze, jakby prosząc Boga o wsparcie. Esesman idący nieopodal jakby tylko na to czekał. Podszedł z tyłu do nieszczęśnika, przystawił mu lufę pistoletu do karku i wypalił. Wystrzelona z bliska kula wyrwała pokaźny kawałek czaszki, chlapiąc śnieżnobiałe pobocze na czerwono. Niemiec poszedł dalej, ale ciało mężczyzny zastygło w specyficznym pólśladzie, blokując w tym miejscu ruch kolumny niewolników podobnych do szarych cieni. Idący z tyłu więźniowie musieli omijać siedzącego w kucki trupa. Strażnik z kapo pilnujący kolejnej grupy, chcąc odblokować drogę przemarszu, podszedł do nieboszczyka i próbował zepchnąć jego truchło

LEKARZ Z AUSCHWITZ

na bok do rowu. Szarpnął przy tym ciało tak nieszczęśliwie, że cała zawartość czaszki, która została rozsadzona przy wystrzale, wylała się na drogę, jednocześnie brudząc galareta mózgu jego ręce. Esesman wzdrygnął się z obrzydzeniem, zostawił trupa, po czym szybko się oddalił, czyszcząc śniegiem ręce i mankiety swojej kurtki.

Kolumna sunęła dalej, a spadające z rzadka śnieżynki ustąpiły miejsca grubym i ciężkim płatkom śniegu. Dobywająca resztek sił, ponownie zatopiona we własnym odizolowanym świetle Zosia Stępień nie była w stanie już liczyć targanych wiatrem i osiadających wszędzie płatków. Maszerując jak automat, równocześnie spocona na plecach, ale ze zmrożonymi dłońmi i stopami, skupiła się teraz na liczeniu padłych i dobijanych jak zwierzęta więźniów. Po mężczyźnie z rozsadaną czaszką, kolejnym trupem była skulona na poboczu kobieta, dostrzelona przez strażników z SS. Potem jeszcze kilkanaście następujących po sobie, leżących w rowach nieboszczyków. Kiedy kolumna weszła do lasu, drzewa trochę osłoniły ludzi przed wiatrem i zrobiło się cieplej. To w tym miejscu dziewczyna złapała drugi oddech, a jej krok stał się równy i pewny. Paradoksalnie, właśnie w lesie znajdowało się najwięcej trupów pozostałych po idących przed nimi grupach więźniów. Kiedy Zosia doliczyła się 114 zwłok, strażnicy łaskawie zarządzili postój i odpoczynek.

– *Haaalt!*

Więźniarki szlochając i zlorzecząc pod nosem na Niemców, szybko przeszły rów i położyły się bezpośrednio na śniegu, na jakimś odkrytym polu. To samo zrobiła Zosia, ale kiedy drzemała, w mroźnym powietrzu szybko roztrwonila całe ciepło uzyskane w marszu. Obudziła się skostniała, czując, jaką lodową skorupą stała się jej przepocona przed momentem więzienna kurtka. Straciła czucie w palcach u rąk i aby je ogrzać, po kolei wkładała je głęboko do ust i ssała. Gdy hitlerowcy ponownie zarządzili marsz, dziewczyna podnosiła się bardziej zmęczona i zmarznięta, niż przed zarządzonym odpoczynkiem. Koszmar. Od początku musiała się uczyć chodzenia na zdrętwiałych, sztywnych nogach.

Kiedy jej grupa przechodziła przez kolejny las, od kolumny odłączyła się całkowicie wyczerpana młoda kobieta w ciąży. Siłą rozpędu pokonała jeszcze poboczne drogi i staniając się na nogach przytuliła się do pierwszego napotkanego drzewia. Obróciła się i plecami wsparła na pniu, trzymając jednocześnie drzewa, aby nie upaść. Otwartymi ustami głęboko łąpała powietrze, a wydychając kłęby pary, świszczła niemiłosiernie z chorych widocznie płuc. – *Hilfe* – zdążyła wysapać. Esesman zbliżył się do kobiety i zdjął z ramienia karabin. Chwilę bez słowa patrzyli sobie w oczy, a później kat szybko złożył się do strzału, celując najpierw w brzuch ciężarnej. Huknął strzał, a zaraz po nim drugi, rozsadzający tym razem głowę kobiety.

Poganiani do szybszego marszu więźniowie z kolumny nie zwracali szczególnej uwagi na podobne incydenty. Pędzeni jak stado bydła, posuwali się na zachód. Nawet ci, którzy widzieli egzekucję ciężarnej, na moment choćby nie zatrzymali się w szybkim marszu – po drodze uodpornili się już na niemieckie bestialstwo, gnani na oślep niemieckimi bykowcami, pałkami i kolbami karabinów. Po kolejnych, licząc od odpoczynku, godzinach marszu, siły zaczęły opuszczać i Zosię Stępień. Wlokła się coraz wolniej i wolniej, wydobywając z chudego ciała ostatnie rezerwy energii, ale i tak inne więźniarki coraz częściej ją mijały.

Już w ciemnościach nocy kolumna dotarła do kolejnego wielkiego kompleksu leśnego. Gęste drzewa tłumili nieco porywy wiatru. W nocnej ciszy od ścian lasu odbijały ciężkie oddechy zmęczonych do granic możliwości kobiet i skrzypienie śniegu pod ich stopami. Czasami z niedalekiego już końca kolumny dobiegało poszczekiwanie psów i co jakiś czas huk wystrzału, któremu towarzyszył odgłos upadającego ciała.

Zosia czuła, że ciągle słabnie. Zdawała sobie sprawę, że pozostanie na końcu kolumny oznaczać będzie śmierć. A ona tak pragnęła żyć – dla rodziców, dla brata, a najbardziej dla siebie... Tak bardzo chciała znaleźć się w domu, z dala od tego niemieckiego koszmaru. Z kącika oka spłynęła po jej policzku łza – jedyny świadek jej chwilowej słabości. Zaraz jednak zacisnęła usta, postanawiając

LEKARZ Z AUSCHWITZ

walczyć do końca. Ślaniając się na sztywnych i nieposłusznych nogach, przesunęła się nieopatrznie do ostatniego rzędu kolumny, tego najbardziej narażonego na razy niemieckich strażników i ich kule, rozwiązujące na zawsze doczesne problemy więźniów.

I wtedy zdarzył się mały cud – dziewczyna w zakamarkach pamięci odnalazła słowa dawno zapomnianej kolędy i nucąc sobie ją w myślach, zaczęła maszerować w takt jej melodii.

Bóg się roodzi, moc truchleeeje. No, przecież to polonez. Przez moment przypomniała sobie swoją studniówkę. To było w innym świecie. Kiedyś, przed wojną. Wreszcie złapała rytm kroków i odnalazła w sobie wewnętrzny spokój ducha. Już nikt jej nie wyprzedzał, a ona sama zdobyła się nawet na lekkie wysforowanie do przodu, pozostawiając w tyle najbardziej niebezpieczny ogonek kolumny. Kiedy tak maszerowała z nową, niespodziewaną dawką energii, nagle pod jej nogi upadła idąca tuż przed nią kobieta. Zosia mimowolnie zatrzymała się i pomogła wstać umorusanej w śniegu bidulce. To była nastoletnia dziewczyna, drobna, wyczerpana i całkowicie samotna w tej całej grupie, podobnie jak Zosia. Dziewczyna była tak osłabiona, że ciągle się potykała, w dodatku dźwigała na plecach pokaźny i ciężki tobołek.

– Rzuć to, będzie ci lżej – powiedziała pomiędzy jednym a drugim oddechem Zosia.

– Nie mogę... – broniła się dziewczyna – mam tam chleb. Jak wyrzucę, to umrę z głodu.

Mimo protestów Zosia zrzuciła majdan dziewczyny na ziemię i kopnęła go nogą, kierując pakunek w stronę pobocza. Wtedy nowo poznana na dobre się rozplakała.

– Przestań – Zosia tłumaczyła cierpliwie nowej przyjaciółce, biorąc ją pod rękę i siłą prowadząc do przodu. – Ja mam chleb, będę razem z tobą szła i będę się z tobą dzieliła jedzeniem. Przecież ty nie masz już siły czegokolwiek dźwigać.

Od tej pory dwie samotne dusze szły razem w marszu śmierci, a nastoletnia dziewczyna mimo zmęczenia opowiedziała Zosi swoją historię. Była Polką – Żydówką spod Radomia. Teraz nie miała już na świecie nikogo. Jej rodziców zabili Niemcy. Ona sama nie miała

gdzie i do kogo wracać, dla kogo żyć. Opowiadając o swoich przeżyciach, dziewczyna coraz bardziej lamentowała, zużywając przy tym sporo energii. Wreszcie Zosia postanowiła mocniej potrząsnąć towarzyszką.

– Przestań się mazać. Pójdiesz ze mną, do mojego domu. Będziemy razem. Błagam, zbierz siły, żebyśmy w marszu dotrwały do świtu. Rankiem, gdy zaświeci słońce, będzie już lżej.

Dziewczyna uspokoiła się i przez kilkanaście minut szła równym krokiem. Ale potem znowu raptownie upadła. Ostatkiem sił Zosia podniosła ją i pociągnęła do przodu. Nikt im nie pomagał, a ostatnie szare cienie ledwie idących więźniów mijały je bez słowa. Znowu niebezpiecznie zbliżyły się do krańca kolumny. Zosia musiała ciągnąć osłabłą dziewczynę, sama dobywając resztek sił. Była cała rozgrzana i spocona, a krople potu spływały jej po twarzy. Gdyby tylko żołdacy z SS zarządzili jakiś krótki postój, może by się udało uratować Żydówkę.

Kiedy dziewczyna upadła po raz trzeci, Zosia nie była już w stanie jej podnieść. Szarpiąc się z bezwładnym ciałem nowej przyjaciółki, zaczęła wzywać pomocy. Jakieś uczynne ramiona pochwyciły Zosię i szarpnęły do przodu. Siłą ciągnięta za ręce, półprzytomna ze zmęczenia jeszcze nie zdawała sobie sprawy, że pomoc otrzymała tylko ona. Ze jej biedna, mała podopieczna, której niedawno obiecywała opiekę i wspólne życie na zawsze oraz że jej nigdy nie opuści, została na drodze sama. Kiedy za chwilę padł strzał, odbił się echem od ścian lasu i pozostał w pamięci Zofii Stępień na całe życie.



Główna brama prowadząca do obozu KL Auschwitz. Nad bramą widoczny napis w języku niemieckim *Arbeit macht frei* (Praca czyni wolnym). Zdjęcie zrobione po wyzwoleniu, maj 1945 r. (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)



STAN TYMCZASOWY

Styczeń 1945

Powietrzem targnął wybuch, potem drugi i trzeci. Sońka, więźniarka z Sowietów już-już chciała wskoczyć do baraku z okrzykiem: – Zaczęło się, albo: – Nasi idą! Ale jej entuzjazm powstrzymał Żyd z Sonderkommando idący obok budynku.

– Wysadzili krematorium. Zacierają ślady – a po chwili dodał – teraz przyjdzie kolej na nas.

I powłókł się dalej noga za nogą. Zanim załoga obozu zajęła się kolejną kolumną szykowaną do wymarszu, rozszalały się aufzerjerki. Biegały po dziedzińcu, znosiły papiery, zrzucały na jeden stos i polewały benzyną. Za chwilę łapczywy płomień rozlał się po dokumentacji obozowej.

Więźniarka odpowiedzialna za dokumenty – zwana schreiberką – usiłowała schować część spisu więźniów, ale została wydana przez koleżankę. Chowane przed Niemkami za szafą papiery powędrowały w ślad za innymi do ognia. O dziwo, za tak jaskrawą nie-subordynację nie spotkał schreiberki żaden przykry los. Esesmanki zachowały się, jakby nic się nie wydarzyło. Pobita przez koleżanki za donosicielstwo więźniarka tłumaczyła, że nie mogła dopuścić, żeby na pamiątkę zachowano jej wyrok. Wyrok śmierci. Teraz jej dokumenty płoną, więc może umierać niewinna.

Współwięźniarki, słysząc taką argumentację, zostawiły dziewczynę w spokoju, uznając ją za niespełna rozumu.

Niemcy pakowali się na potęgę i zdawali się nie zwracać uwagi na więźniów. Z męskiej zony obozu polscy więźniowie przyciągnęli wielki kocioł, w którym zazwyczaj rozwożono zupe. Tym razem przywieźli w nim ukradzione z magazynów damskie ubrania...

i wiadomość, że w nocy będzie *Evakuierung*. Więźniarki zaczęły kompletować garderobę na długi marsz.

– No, dajcie spokój – nie mogą ot, tak sobie przepędzić 60 tysięcy ludzi. Za szkoda nas – tłumaczyła jedna z więźniarek.
– Przydamy się im w fabrykach. Nie warto nas zabijać. Zapakują nas po drodze do jakiegoś pociągu i jazda. Jakby mieli nas utłuc, to mogliby to zrobić sto razy tutaj.

Trzeba przyznać, że argumentacja brzmiała rozsądnie. Przed nocą nic się już nie wydarzyło. Dopiero o trzeciej nad ranem zarządzono pobudkę i apel. Nie pozwolono już rozejść się do bloków. Każdy więzień i każda więźniarka mógł wziąć na drogę chleb, margarynę, a niektórzy konserwę mięsną. Ubrani byli w cywilne ciuchy z wyraźnymi pasami wymalowanymi oleją farbą. Tylko co sprytniejsza blokowa zaznaczała pasy na swoim ubraniu czymś łatwo zmywalnym. Niektóre więźniarki twierdziły, że za pomocą szminki sprezentowanej przez kochasia z SS.

– Albo nas Ruscy wyzwolą po drodze, albo Amerykanie, a jak nie, to ja wykrochmałam do lasu i tyle mnie zobaczą – odgrażał się Bolesław. Był wysoki, widoczny z daleka, jak Kolumna Zygmunta.

– Bolo – trącił kolegę współwięzień. – Kiedy nas tu zapraszali i wchodziliśmy przez bramę, to grała orkiestra, a teraz wychodzimy na paluszkach i po cichutku. *Panta rei i tempus fugit*, jak mówi ksiądz na pogrzebie.

– Wypluj to słowo, Józus. Widziałeś kiedyś taki długi kondukt?

UCIECZKA

Styczeń 1945

Bolesław jako pierwszy zauważył wiadro z wodą wystawione przy drodze i dwa cynowe kubki. Jednym haustem opróżnił zawartość blaszaka.

– Jeszcze musimy być w Polsce, Józus. W Reichu nikt by więźniom nie wystawił wody. – Zbliżali się do małej sennej miejscowości. Szarzało. Józek, trzymający się blisko wielkiego Bolka, pokazał palcem na okna wioski. – Gromnice wystawili. To dla nas. To za nas. Może się pomodlą.

– No, co ty – powątpiewał Bolo. – Świeca jak świeca.

– A który chłop będzie świece w oknie marnował, kiedy nie ma burzy, Bolo. Życia nie znasz. Z miastaście, a dupaście, że się tak wyrażę.

Z przodu kolumny dobiegły ich jakieś dziwne odgłosy. Z daleka było widać, że esesman prowadzący rower podnosi jego kierownicę w górę niczym rycerz podrywający swojego dzielnego rumaka, a potem z fantazją opuszcza go gwałtownie na ziemię.

Za chwilę wszystko się wyjaśniło. Niemiec nie chciał marnować naboju na więźnia, tylko – dogorywającemu na drodze – fachowo złamał krtań, uderzając weń kołem rowerowym.

Niedaleko, koło małej figurki przy rozstaju drogi leżała z rozrzuconymi ramionami też inna ofiara – miejscowa dziewczynka w chuście na przestrzelonej dwukrotnie głowie, pilnująca kiedyś wystawionych dla więźniów kubków z wodą. Musiała tak leżeć od rana, bo ciało dziecka zdążyło już stężeć na mrozie.

– Na postoju nie uciekniemy – skomentował obojętnie Bolesław. – Kiedy idziemy przez las, też bardziej uważają. Jak już, to trzeba spróbować teraz, za tym ostatnim rzędem chałup. I chodu do lasu. Jak się uda, jak dobiegniemy, to już za nami nie pójda: nie mają

kim ścigać. Będą sukinkoty strzelać, ale... w tej szarówce... Tylko trzeba naprawdę szybko drałować. No i mieć szczęście. Masz Józusie szczęście? – dopytywał prowokacyjnie Bolek.

– Bolo, nogi mam tak obtarte, że nie pobiegnę. Nie licz na mnie. Sam się zrywaj – pokręcił głową Józus. – Szczęście...? Szczęście to ja mam cholerne, że się aż tu dowlokłem. I że nas nikt nie rozpoznał.

– No właśnie, jak gdzieś na miejscu zrobią ewidencję, to jak raz wyjdzie, kim jesteśmy, to nikt się z nami nie będzie patyczkował. A teraz wyglądamy na zwykłych więźniów. Józus – jak chcesz. Ja zaryzykuję. Znasz bajkę o wymionach?

– O wymionach? – zdziwił się Józus, bo wydawało mu się, że zna wszystkie kawały i rubaszne powiedzonka Bolka z Warszawy.

– Bajkę o wymionach, stary. Zaraz ci pokażę. – Kiedy wchodzili w cień rzucany przez ostatni rząd chałup, Bolo rozejrzał się uważnie i rzucił krótko: – Bajka o wymionach, stary. No, to wymię Boże. – I skoczył pomiędzy domy.



Główna brama wjazdowa KL Auschwitz II-Birkenau wraz z wewnętrzną boczną koleją i porzucanymi naczyniami. Fot. S. Mucha, luty/marzec 1945 r. (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)



POLOWANIE

Styczeń 1945

Esesmański gefrajter, kapral, w czarnych sztafetach Hitlera nazywany Sturmmannem, pedantycznie zapiął ostatni guzik pod szyją swojego płaszcza, zarzucił karabin na ramię i wyszedł z wartowni. Wyprostował się i głęboko odetchnął rześkim, mroźnym powietrzem. Popatrzył na niebo zasnuwane chmurami i spadające z nieba płatki śniegu. Zaraz wzdrygnął się i szybko wrócił do budynku. Tam na wojskowy płaszcz zarzucił jeszcze wielkie sobolowe futro zagrabione widocznie jakiemś żydowskiemu prominentowi, który już dawno opuścił obóz przez komin krematorium. Opatulony szczelnie przed zimnem gefrajter jeszcze raz wyszedł z wartowni i tym razem zwyciężywszy w konfrontacji z mrozem, dziarsko ruszył w stronę swojego rewiru strażniczego. Nie zwracał uwagi na innych kręcących się strażników i chowających się przed jego wzrokiem więźniów w pasiakach. Podobnie jak inni Niemcy zdawał sobie sprawę, że dyscyplina w obozie gwałtownie się rozluźniła, a przyczyną tego stanu rzeczy były szybkie postępy wojsk sowieckich (on sam nawet teraz wyraźnie słyszał huk nieodległych już sowieckich dział) oraz ewakuacja większości więźniów i strażników. Esesman doszedł do swojego rewiru wartowniczego i tam przy wieży strażniczej spotkał innego Niemca. Feldfelbel (sierżant, czyli esesowski Oberscharführer) ubrany w czarny skórzany płaszcz z przewieszonym na piersiach pistoletem maszynowym i z nożycami do cięcia drutu w ręce serdecznie przywitał się z kapralem. Obaj, widocznie już wcześniej umówieni, szybkim krokiem podeszli do jednego z magazynów, którego drzwi dokładnie zamknięto łańcuchem z kłódką.

Sierżant szybkim ruchem przeciął łańcuch i zdjął wiszącą już luźno kłódkę. W tym czasie kapral zapał się i rozsunał szeroko drzwi. Obaj weszli do wnętrza magazynu, lustrując kosze pełne buraków i poustawiane równo na półkach czerstwe – bo nierozdzielane od kilku dni – bochenki ciemnego chleba. Typ w czarnym płaszczu wziął kilka buraków i rozrzucił je przed wejściem. To samo z chlebem zrobił opatulony w futro kapral. Niemcy wyszli z magazynu, zostawiając otwarte drzwi, podeptali wyrzuconą przed chwilą, walającą się w śniegu żywność i ruszyli w stronę wieżyczki strażniczej. W połowie drogi sierżant schował się za róg budynku i przygotował pistolet maszynowy do strzału. Tymczasem kapral z mozołem wspiął się po drabince na wieżyczkę. Tam rozgrzany ruchem ciała i całą podniecającą go sytuacją, zrzucił futro. Potem nastawił celownik karabinu na odpowiednią odległość, wymierzył z broni w kierunku drzwi magazynu i cierpliwie czekał.

Nie minęło wiele czasu, gdy sinoszare chude szkielety, obleczone jedynie w niebiesko-białe pasiaki, zwiedziały się o jedzeniu dostępnym w otwartych drzwiach baraku. Nawołując się nawzajem w najróżniejszych językach Europy, jak sępy poczęły zlatywać się do otwartego magazynu żywności. Postępujący na przdzie ludzie szli początkowo ostrożnie, oglądając się nerwowo na boki. Kiedy jednak z bliska zobaczyli w śniegu chleb rozdeptany buciorem żołdaka, potrzeba zaspokojenia głodu stała się silniejsza od rozsądku. Coraz liczniejszy tłum zaczął wybierać kawałki chleba i buraków ze śniegu. Niektórzy jedzenie wkładali od razu do ust, inni uciekali szybko ze zdobyczą w rękę. Wkrótce doszło do porządnej szarpaniny przed wejściem, kiedy chudzielcy zaczęli nawzajem wrywać sobie znalezione przed chwilą kawałki jedzenia.

Wrzaski i bijatyka rozpoczęta przed magazynem żywności była znakiem dla czekających w zasadzce esesmanów. Pierwszy wystrzelił siedzący na wieżyczce kapral. Starannie przymierzył i z satysfakcją pociągnął za spust, eliminując jednego z podludzi. Wysoki chudzielec z poszarpaną pasiastą kapotą szeroko rozłożył



Odcinek B II z widocznymi drewnianymi barakami w byłym obozie w Brzezince, luty 1945 r. Fot. R. Mazelew (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)



LEKARZ Z AUSCHWITZ

ręce i padł twarzą w śnieg. Na ten sygnał zza ściany wyskoczył sierżant i puścił całą serię do kłębiących się, całkowicie zaskoczonych strzałami więźniów. Wystrzelił cały magazynek, robiąc w tłumie krwawą aleję i ponownie skrył się za murem, aby uzupełnić amunicję. Kilka ciał poszarpanych kulami padło bez ruchu. Reszta tłumy z wrzaskiem rozbiegła się na wszystkie strony, nie wiedząc dokładnie, skąd padają strzały. Kilku rannych czołgało się obficie brocząc krwią i brudząc świeży biały śnieg czerwoną posoką. Ale o dziwo, większość z nich naiwnie nie kierowała się w bezpieczną stronę, ale pełzła w kierunku szeroko otwartych drzwi magazynu. Tych systematycznie eliminował strzałami niezawodnego mauzera ukryty w wieżycze kapral.

Po kilku nawrotach wygłodniałej dziczy sierżant miał już puste wszystkie magazynki. Jego celne kule zmasakrowały kilkanaście ciał sztywniejących teraz na mrozie. Na migi z oddali pokazał kapralowi, że nie ma już z czego strzelać. Pomachał mu na pożegnanie i ubawiony odszedł w stronę koszar SS. Strażnikowi na wieży pozostało jednak jeszcze dużo czasu do zmiany warty. Choć po rozprężeniu się dyscypliny nikt już tego nie pilnował, służbista gefrajter postanowił pozostać na posterunku do końca. Tym bardziej że miał jeszcze sporo amunicji upchanej profilaktycznie po kieszeniach, a jego broń po naciśnięciu spustu wystrzeliwała jedną kulę, a nie trzydzieści, jak automat niecierpliwego kolegi.

Postanowił więc dalej bawić się w myśliwego, upatrując swoich ofiar w czołgających się po chleb ludziach. Sprytna tłuszcza już nie biegła co tchu w stronę magazynu, ale pełzała, starając się trzymać ciało jak najbliżej ziemi i kryć pośród załamań terenu lub chować za postrzelonymi wcześniej trupami. Tych trudniej było trafić. Wiedział o tym Niemiec i strzelał rzadziej, ale za to starał się celować dłużej i robił to dokładniej. Mimo to niektórym więźniom udało się dostać do celu. Jednym wystarczyło, że ze zmartwiałych dłoni swoich towarzyszy wyszarpią ochłapy jedzenia. Inni, bardziej odważni, mierzyli wyżej i doczołgali się do samego magazynu, buszując po chwili wśród czarnych, czerstwych bochenków. Silniejsi porywali w obie ręce dwa chleby.

Polowanie

Słabsi musieli zadowolić się jednym bochenkiem, ściskając go w drżących z osłabienia dłoniach. Mając już jedzenie w garści, zapominali o bezpieczeństwie i jak szaleni wybiegali z magazynu, gnając co sił w nogach do swoich baraków. Niejednego wówczas dosięgła kula nieznającego litości esesmana, który wyciągnięty bezpiecznie na wieżyczce każde swoje celne trafienie kwitował głośnym rechotem, jak gdyby zrobił właśnie komuś niebywały kawał.

Niektórzy co bardziej niecierpliwi, będąc już w magazynie, rozrywali bochenki chleba i jedli, starając się połknąć od razu wielkie kęsy pożywienia. Krztusili się przy tym, kasłali, ale nie przerywali jedzenia, chcąc jak najspieszniej zapełnić puste, zapadłe brzuchy. Jedna z drobniutkich kobiet również doczołgała się do drzwi i wpełzła do magazynu. Tam chwyciła pierwszy z brzegu bochenek, starając się rozłamać go na pół. Była jednak tak osłabiona, a czerstwy, wystawiony na mróz chleb był taki twardy, że dziewczyna nie miała siły dobrać się do niego. Na swoje nieszczęście mocowała się z nim dość długo, kucając w szeroko rozwartych wierzejach. W tej niekorzystnej sytuacji wypatrzył ją niemiecki snajper. Uśmiechnął się radośnie, pakując do komory karabinu ostatni nabój. Przycelował dokładnie i pociągnął za spust. Kula wpadła do pomieszczenia i uderzyła kobietę prosto w serce, po drodze dziurawiąc przyciskany do piersi twardy kawałek chleba.

WSPANIAŁOMYŚLNOŚĆ

Styczeń 1945

Tymczasowy chaos powstały po wielkiej ewakuacji w obozie Birkenau powstrzymała na moment przybyła niespodziewanie grupa esesmanów. Nie wiadomo, czy był to jakiś zabłąkany frontowy oddział z Waffen SS, czy może specjalnie wydzielona jednostka, wysłana z komendantury macierzystego obozu do zatarcia śladów niemieckich zbrodni i likwidacji pozostałych jeszcze przy życiu więźniów. Przyjechali samochodami ze wschodu i na kilkanaście godzin stali się panami życia i śmierci w Brzezince, a przewodzący grupie esesmański oficer ostro zabrał się do pracy, od razu wprowadzając niemiecki porządek i dyscyplinę. W pierwszej kolejności ustalone zostały godziny i miejsca wart, a służbę tę mieli sprawować pozostający jeszcze do dyspozycji obozowi strażnicy. Następnie w kilku barakach zebrano będących na chodzie więźniów, próbując zliczyć ich od razu dokładnie i zarejestrować. Pozostałych, dogorywających i niemogących wstać o własnych siłach, spisano już na straty i pozostawiono samym sobie w opustoszałych teraz barakach. Natychmiast także zwołano apel, na który w trybie błyskawicznym spędzono więźniów, musztrując ich przy tym pałkami i ustawiając w równe, foremne czworoboki.

Hitlerowski oficer szybko przemaszerował wzdłuż szeregów, ale i po nim widać już było brak buty i pewności siebie. Niemiec nie miał na sobie czarnego uniformu, tylko połowę kurtkę, założoną specjalnie białym kolorem do wierzchu, aby dzięki tej maskującej barwie móc się ewentualnie skryć w zimie na tle śniegu. Jego mundur nie był już jednak śnieżnobiały. Widać było na nim trudne przejścia ostatnich dni – szare połacie brudu, a nawet rdzawe plamy chyba starej, skrzepniętej dawno krwi. W dłoni nie dzierzył



**Puszki z cyklonem B znalezione po wyzwoleniu na terenie obozowym.
Fot. N. Gierasimow, luty 1945 r. (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

– jak to lubili szefowie SS z obozu – żadnej szpicruty czy pałki, miał tylko luźno zawieszony na ramieniu pistolet maszynowy. Widać było, że się spieszy, ponieważ po przejściu raz i z powrotem przed szeregiem pasiaków, zaraz zaczął szybką przemowę, przekładaną od razu w wielkim skrócie na kilka języków przez tłumacza.

– *Ja, gut.* My, Niemcy, jesteśmy wspaniałomyślni. Damy wam jeść i zabierzemy stąd wszystkich więźniów do innego obozu. Nikt nie może zostać w obozie, ponieważ wszystkie baraki zostały zaminiowane i będą wysadzone w powietrze. Kto zostanie w obozie na własną odpowiedzialność, ten z pewnością zginie. Jeśli nie pod gruzami wysadzonych budynków, to na pewno z rąk bolszewików. Dlatego zarządzam ostateczną ewakuację reszty obozu, która będzie się odbywała etapami. W pierwszej grupie wyjdą sami Żydzi. W następnych kolejni więźniowie. Żydzi natychmiast wystąp!

Na stanowcze wezwanie oficera, rzędy więźniów zafalowały lekko, ale początkowo nikt pierwszy nie chciał ruszyć się z miejsca. Brak reakcji na wezwanie i opór szarej masy poirytowały Niemca.

– *Juden vortraten. Raus!* – wrzasnął na całe gardło i dopiero wtedy pierwsi, co bardziej bojaźliwi niewolnicy zaczęli wychodzić z szeregu i ustawiać się w formowanej nowej kolumnie. W masie tej znalazła się 15-letnia Kazia z Łodzi, chyba w tej chwili najbardziej przestraszona ze wszystkich ludzi na świecie. Stojące wcześniej obok Kazi nastolatki – siostry bliźniaczki, również z Łodzi – także ruszyły, by wyjść z szeregu. W ostatniej chwili jednak powstrzymała je jakaś Polka, chwytając dyskretnie za rękę i sącąc do ucha:

– Stójta. Ani mru-mru... – i zostały.

Z grupy liczącej może 200 Żydów szybko uformowano kolumnę, a ze wszystkich jej stron gęsto ustawili się uzbrojeni esesmani. Zaraz też grupa ta z idącym na czele niemieckim oficerem ruszyła w drogę. Ale zastanawiające – kolumna nie poszła od razu na jakiś większy trakt wychodzący z Brzezinki, tylko skręciła na drożynę pośród baraków prowadzącą wprost do wysadzonego

Wspaniałomyślność

niedawno krematorium. Stojący jeszcze długo na apelu więźniowie z niepokojem nasłuchiwali wystrzałów. Ale nic takiego nie nastąpiło. Nie było też decyzji co do wymarszu pozostałych grup. Po godzinie oczekiwania na esesmańskiego oficera obozowi strażnicy rozkazali wszystkim więźniom rozejść się do baraków. Sami myśleli już widocznie bardziej o ratowaniu własnej skóry, niżli o szczegółowym wypełnianiu wydanych kilka godzin temu rozkazów.

Tymczasem niemiecki oficer w białej kurcie żwawo prowadził kolumnę Żydów na koniec obozu. Niektórzy więźniowie naiwnie myśleli, że gdzieś za ostatnimi barakami i zasnutymi gęstym czarnym dymem płonącymi magazynami znajduje się jakieś nowe przejście w ogrodzeniu, którym wyjdą na zewnątrz, kierując się prosto na zachód. Ale gdy grupa minęła ruiny krematorium i zbliżyła się do świeżo wykopanego dołu, oficer nakazał kolumnie zatrzymać się, rzekomo w celu pobrania chleba na drogę. Pomimo uspokajających tonów dowódcy jego żołnierze z bronią w ręku ściślej opasali tłum. Żydzi zaś zbili się w ciasną cizbę, poważnie już zaniepokojeni o swój los. Nikt z nich raczej nie zwrócił uwagi na to, że esesmani w czasie tej krótkiej wędrówki ponakładali bagnety na swoje karabiny.

Zaraz też do załęcznionych ludzi trzymany pod bronią podjechały samochody, dając chwilowe poczucie bezpieczeństwa. Naiwni więźniowie myśleli, że to dowóz obiecanej im wcześniej żywności. Niektórzy z niewytłumaczalnym wprost optymizmem mieli nawet złudzenie, że to wyjątkowo zorganizowany dla nich transport kołowy do dalszej podróży. Ale to był tylko blef, mający jeszcze bardziej oszukać większą część coraz bardziej zaniepokojonych Żydów. Kiedy niemieccy żołnierze otworzyli paki ciężarówek, na skrzyniach leżało całe mnóstwo narzędzi, młotków, łopat i specjalnie zaostrzonych metalowych drągów. Tyłne klapy ciężarówek opadły z łoskotem. Był to umówiony znak dla całego oddziału. Widocznie dowódca postanowił oszczędzać amunicję, a eksterminację więźniów przeprowadzić w inny sposób. W pierwszej kolejności do działania ruszyli żołdacy uzbrojeni w karabiny z bagnetami.



Strażnicy z Auschwitz. Archiwum IPN

Wspaniałomyślność

Nie strzelali, ale zadając celne ciosy bagnetami torowali sobie drogę w przestraszonej tłuszczy. Natychmiast dołączyli do nich pozostali Niemcy, chwytając z ciężarówek, co popadnie. W mordowaniu bezbronnych znakomicie sprawdziły się zaostrome metalowe pręty, którymi można było zadawać ciosy poprzez pchnięcie, podobne do ćwiczonych tygodniami walk na bagnety. Niektórzy żołdacy walili na oślep potężnymi młotkami, celując najczęściej w głowy swoich ofiar. Jeszcze inni w zapamiętaniu chwyтали łopaty i wywijali teraz nimi robiąc młynki i powalając po kilku Żydów naraz. Krew lała się obficie i spływała wąskimi strumykami na dno wykopanego dołu. Mord odbywał się praktycznie w ciszy, jeśli nie liczyć gardłowych okrzyków Niemców wydawanych podczas większego wysiłku oraz ich ciężkich oddechów. Co ciekawe, więźniowie nie krzyczeli z przerażenia, ani nie lamentowali wniebogłose o litość. Oddawali tchnienie w milczeniu, jak gdyby zmęczeni już swoją dotychczasową egzystencją i całkowicie pogodzeni ze swoim losem. Niemiecka praca szła szybko i po kilku minutach z więźniów nikt nie pozostał żywy. Tłum dyszących ze zmęczenia morderców stał i z satysfakcją patrzył na dymiące, ciepłe, rozprute ciała swoich ofiar. Również oficer zadowolony był bardzo z całej akcji. Zaraz też padł rozkaz i w ruch poszły butelki francuskiego wina, profilaktycznie zapakowane na wozy. Żoldacy odrzucili na bok swoje narzędzia zbrodni, napili się do syta gasząc pragnienie i na końcu zapakowali się na ciężarówki. Kiedy samochody SS wyjeżdżały z obozu, na miejsce kaźni szła już eskortowana przez strażników kolumna więźniów Polaków, którzy mieli posprzątać ciała i zakopać dół. Ich oczom ukazał się makabryczny widok sterty ciał kobiet, mężczyzn i dzieci. Trupy leżały w nieładzie w najróżniejszych dziwnych pozycjach, głowami na dół albo ze sterczącymi nienaturalnie nogami. Zwłoki były pocięte, pokłute, z pogruchotanymi kośćmi i rozbitymi czaszkami. Miały rozprute brzuchy, powybijane oczy, zmasakrowane twarze i parowały jeszcze na mrozie. Na wierzchu leżało ciało nastoletniej Kazi z Łodzi, całe odarte z ubrania, z rozprutym brzuchem i przebitą piersią.

SALONKA

Styczeń 1945

Gigantyczny konwój więźniów, ciągnąc nogi ostatkiem sił, doczłapał się do stacji kolejowej. Przysadziste kontury wagonów odcinały się wyraźnie na tle gwiaździstego nieba.

– W samą porę. Ja już bym nie dał rady dalej – rzucił Józus.
– No nie dałbym rady. Jeszcze trochę, to sam bym prosił, żeby mnie te hycle dobiły. Zwariowałaś?! – zmienił gwałtownie temat.
– Tylko nie siadaj, bo już nie wstaniesz – poradził koledze, z którym wspierali się po ucieczce Bolka. – Butów też nie zdejmuj, bo jak raz zdejmiesz, to już potem na spuchnięte giry nie założysz i zamarznieś na amen siedząc na bosaka.

Jego towarzysz pokręcił głową. – Ja to rozumiem. We wagonie zezuję. Zawszeć cieplej i pod dachem.

Kiedy podeszli jeszcze bliżej, z przerażeniem zorientowali się, że skład pociągu to nie wymarzone, zabezpieczone od wiatru bydłące wagony towarowe, tylko małe blaszane węglarki, puste, zimne i bez żadnego zadaszenia. Do tego do połowy zasypane w środku śniegiem.

Więźniowie, którzy dotarli do wagonów najszybciej, zawahali się przed wejściem do nich, wtedy esesmani pałkami „zachęcili” ich do wciśnięcia się do wnętrza. Konwojenci na metrze kwadratowym starali się upchać po pięciu więźniów. Kto miał szczęście, wpasował się między kolegów i miał szansę zagrzać się ich ciepłem. Kto wylądował przy lodowatej burcie węglarki, musiał zamarznąć.

Młody pryszczaty chłopak, jeszcze przed chwilą opierający się w tłoku o Józusia, zachwiał się dziwnie. Głowa opadła mu na piersi, ale oczy pozostały otwarte. Zaczął osuwać się bezwładnie.

– Zasłabł? – zapytał ktoś bez zainteresowania w głosie.

– Nie, gotów. Kaput – skwitował Józus, podtrzymując nieboszczyka. – Nie dał rady.

– Może go wyrzucimy, póki pociąg stoi? – zapytał równie obojętnie któryś z sąsiadów.

– Jemu już nic nie pomoże, a nam każda pomoc zdatna – Józus przycisnął nieżywego do ściany wagonu i zastawił sobą widok esesmańskiemu strażnikowi. – Dopóki szkop nie każe wyrzucać, trzymajmy go od ściany – wyjaśnił towarzyszom. – Izolacja. A nam w środku będzie cieplej. Chyba że wolisz się z nim zamienić na miejsca? – dociekał, ale nie było chętnych, by po samarytańsku zamienić się z nieżywym sąsiadem.

– Jak już ruszymy, pożyczymy od niego ubranie – zdecydował Józus. – Każdemu jakiś łach się przyda.

Nie dziwił się swojej obojętności na śmierć i cudze nieszczęście. W poprzednim życiu był kelnerem, kierownikiem sali w drogim uzdrowisku. W obozie – trafił do Sonderkommando i obsługiwał krematorium. Nawet nie liczył, że uda mu się tak długo przeżyć w obozowej rzeczywistości. Kiedy pojawiły się plotki o ewakuacji, był pewny, że nadeszły jego ostatnie chwile. „Wykończą nas w pierwszej kolejności – rozumował. – Za dużo widzieliśmy, a świadkowie tacy jak my są stanowczo niepotrzebni”. A potem... nieoczekiwanie dzięki marszowi śmierci, udało się wmieszać w tłum „zwykłych – kacetników. Nikt o nic nie pytał. Nikt niczego nie sprawdzał.

W kącie, wygodnie, na kozuchach układał się uzbrojony strażnik, pokazując więźniom na wręgach wagonu, że przekroczenie przez nich wyznaczonej na burtach linii i zbyt niebezpieczne zbliżenie się do leżącego Niemca będzie oznaczało śmierć od kuli.

Z daleka było widać, jak esesmani upychają w wagonach także kolumnę kobiet. Można było się zorientować, że strażnicy na trasie upatrzyli już sobie dziewczyny, które będą ich „ogrzewały” w czasie jazdy. Niektórzy podrzucili nawet na podłogę przygotowane zapobiegliwie zawczasu snopki siana.

Zagwizdała lokomotywa. Pociąg ruszył w ciemność. Na stalowych burtach wagonów zamigotał krótko napis: *Alle Räder rollen für den Sieg!*, „Wszystkie koła toczą się ku zwycięstwu!”.

WOLNOŚĆ

Styczeń 1945

Drzwi powoli się uchyliły, a za nimi na wysokości klamki pojawiła się szara, chuda i pomarszczona twarz kobiety mającej dzikie, błyszczące oczy głodnego wilka. Nie wyczuwając zagrożenia, kobieta na czworaka wpełzła do pomieszczenia, a za nią ostrożnie weszły jeszcze dwie zgięte w pół niewiasty. Dziwna ich poza była całkowicie adekwatna do sytuacji. Poruszając się na czworakach po niebezpiecznym i do niedawna całkowicie dla nich niedostępnym rewirze (budynki koszar i kantyny SS), dawały sobie chociaż minimum szans na przeżycie. W takiej niezwyklej dla dorosłych ludzi pozycji łatwiej skryć się przed niechcianym wzrokiem zabłąkanego tutaj esesmana, pod oknem, pod osłoną jakiegoś murku czy mebli. W penetrowanej kantine SS było bezpiecznie i pusto.

Niestety, nie było tam ani grama jedzenia. Kierowana instynktem głodnego zwierzęcia, prowadząca całą grupę Rosjanka Marusia zaczęła na koniec rozpaczliwie grzebać w koszu na śmieci i po chwili z wielką satysfakcją wygarnęła dłońmi zwały starych, zgniłych i zmarzniętych obierek od kartofli. Popatrzyła z radością po współtowarzyszach i z rozkoszą wzięła garść tych obierek do buzi. Obie więźniarki wzdrygnęły się trochę i nie poszły w ślady Rosjanki.

– Nie jedz teraz – próbowała jej perswadować 20-letnia Zofia Jankowska, która również była niemiłosiernie głodna, ale miała już pomysł na posiłek. – Poczekaj, weźmiemy te obierki do baraku i tam w spokoju przyrządzimy wspaniałą zupkę dla całej grupy – roztoczyła przed więźniarkami perspektywę znakomitej, królewskiej wręcz uczy. Faktycznie, możliwość ciepłej strawy, przyrządzonej już za moment, podziałała na wyobraźnię kobiet i zamiast

napychać sobie usta zmarzniętymi resztkami, zaczęły znalezione obierki ładować do kieszeni. Kiedy w kantynie nie została już ani odrobina odpadków żywnościowych, więźniarki na czworaka ostrożnie wyszły z budynku. Dopiero po chwili, kiedy nie widziały żadnego zagrożenia, wstały z klęczek i lekko zgarbione pobiegły do swojego baraku. Na miejscu szybko zgarnęły do rondelka śnieg i postawiły na kuchence, wrzucając do niego obierki. Po kilkunastu minutach woda wreszcie się zagotowała, a kuchcikująca teraz Marusia dodała do posiłku sobie tylko znane przyprawy (proch strzelniczy?) i zioła (chyba zwiędłą trawę). Pomimo nie najbogatszej woni, więźniarki pokornie ustawiły się w kolejce po jedzenie z garnuszkami i miseczkami w rękach. Po chwili już chłeptały gorącą strawę, nie zwracając uwagi na poparzone w czasie jedzenia usta i języki. Wkrótce naczynia były puste, ale pierwsza i jedyna strawa od dwóch dni, zamiast nasycić, tylko pobudziła ich apetyt. Równocześnie dała jednak też energię do dalszego poszukiwania jedzenia i na dalszą penetrację obozu ruszyło już kilka kobiecych grup.

Najbardziej na zachód zapuściła się drużyna Zofii. Kiedy kobiety dotarły do zburzonych, dymiących jeszcze ruin krematoriów, niezdecydowane przystanąły na moment. Głód jednak był silniejszy niż strach i trzy cienie ostrożnie weszły powoli w gruzowisko. Omijały zwalone kawałki ścian, kominów i resztki dachu, zbliżając się nieświadomie do komory spalania. To pomieszczenie, jak na ironię, pomimo eksplozji starannie przygotowanych ładunków wybuchowych, zachowało się w najlepszym stanie. Oczom przestraszonych więźniarek ukazały się rzędy pieców, w których – o zgrozo – tliły się jeszcze niedopalone ludzkie zwłoki. To było za dużo jak na sterane kobiece nerwy – pierwsza do ucieczki rzuciła się Zosia. Za nią ruszyły pozostałe niewiasty, szybko znajdując drogę do wyjścia. Ich głód był niemiłosierny, ale nie aż tak okropny, żeby jeść podsmażane ludzkie mięso. Więźniarki stały przez chwilę przy ruinach krematoriów oddychając głęboko, a ich spojrzenia bezwiednie powędrowały teraz w stronę znajdującego się nieopodal i sąsiadującego z krematorium rumowiska komory

LEKARZ Z AUSCHWITZ

gazowej. Co można znaleźć do jedzenia w pomieszczeniach, w których Niemcy zagazowywali na śmierć setki tysięcy ludzi?

– Ja tam nie idę – wzdrygnęła się Zofia.

– Ani ja – powiedziała kolejna z kobiet, a wszystkie pozostałe przyznały im rację. Oczywiście w tym rejonie nie znalazły ani kęsa pożywienia, ale może zrezygnowały zbyt szybko? Bo przecież w dalszej kolejności za krematorium i komorami gazowymi były przebieralnie, w których więźniowie rozbierali się niby „przed kąpielą” i zostawiali swoje osobiste rzeczy. Chociaż od miesięcy, na wieść o postępkach Armii Czerwonej, Niemcy zaprzestali zagłady na masową skalę i zajęli się ukrywaniem swoich zbrodni, to jednak w takim pomieszczeniu mogły być jakieś resztki jedzenia, pozostawione chociażby przez zakładających miny saperów. Więźniarki odpuściły jednak i poszły szukać jedzenia w innym, najbardziej odległym rewirze KL Birkenau, gdzie po kolei zaczęły zaglądać do opustoszałych w tym miejscu baraków.

Kiedy pod drzwiami jednego z budynków kobiety usłyszały jakieś dziwne skomlenia i zawodzenia, z pewną dozą rezerwy powoli uchyliły drzwi, gotowe w każdej chwili skoczyć do ucieczki. Okazało się, że tajemnicze odgłosy wydawały zamknięte w tym baraku dzieci. Była to cała gromadka zziębniętych, prawie nagich i kwilących po swojemu małych karłów liczących najczęściej po kilka lat. Wszystkie dzieciaki były niemiłosiernie chude, zgłodniałe jak wilki, zaropiałe na ciele i zaszczute przez oprawców. Najgorsze było to, że niektóre nie mówiły wcale, a te starsze posługiwały się najróżniejszymi językami świata. Nie było szans, aby nawiązać z nimi jakikolwiek sensowny kontakt słowny. Małe „turki” (bo tak kobiety nazwały obcojęzycznych więźniów) albo „muzulmany” (to znowu ci, którzy z braku sił do marszu musieli pozostać w obozie) nie wiedziały, jak się nazywają i z jakich krajów pochodzą. Z pewnością jednak bardzo potrzebowały pomocy i więźniarki, które jeszcze niedawno same dla siebie szukały pożywienia, musiały teraz zapomnieć o swoim głodzie, a zaopiekować się zmarzniętymi i zagłodzonymi małuchami. Na początku wezwały do pomocy więźniów mężczyzn i z niemałym trudem, ponieważ



**Jadwiga Budzyńska (ur. 1920 r.) zarażona przez Niemców w obozie zastrzykiem tyfusu
plamistego. Jej udało się przeżyć (Instytut Pamięi Narodowej)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

dzieci bały się otwartych przestrzeni, przeprowadziły malce do swojego baraku. Tam „turki” zostały przebrane w zdobyte z magazynu odzieżowego ubranka i koce oraz nakarmione szybko przyrządzoną potrawą (innym grupom poszukującym jedzenia bardziej się poszczęściło).

Kiedy po kilku godzinach pobytu w baraku pełnym ludzi maluchy się rozgrzały i doszły do siebie, Zofia Jankowska i jej koleżanka Marusia postanowiły zabrać je na spacer. Natychmiast po wyjściu na zewnątrz kobiety bardzo jednak się zdziwiły, ponieważ dzieci, zamiast cieszyć się z przechadzki, zaczęły głośno płakać. Ich rozpaczliwe zawodzenia zwabiły dwie Polki spoza obozu, które nie bały się drutów i przyszły, aby rozejrzeć się po okolicy i przede wszystkim znaleźć też coś do jedzenia. Na gorące prośby więźniarek, aby na wstępie najpierw zaopiekować się dziećmi, kobiety ostatecznie zrezygnowały z poszukiwania żywności i wróciły do domów, zabierając ze sobą trójkę maluchów. Obiecały również, że o trudnym losie małych sierot powiadomią inne kobiety z wiosek sąsiadujących z Brzezinką. Słowa dotrzymały i następnego dnia po dzieci zjawiły się całe rodziny okolicznych mieszkańców, zabierając wiele z nich do swoich domów. Wkrótce mały sierociniec Zosi Jankowskiej opustoszał, ale ratunek dla dzieci nie oznaczał pełnej satysfakcji dla więźniarek. Słysząc już było bliskie odgłosy sowieckiej artylerii i stawało się jasne, że front jest tuż-tuż, a wyzwolenie może nadejść lada dzień. Niestety Niemcy z SS, którzy sporadycznie pojawiali się w Birkenau, rozpuścili wiadomość, że cały obóz został zaminowany i wszystko wraz z sowieckimi wyzwolicielami wyleci w powietrze. Ta informacja podziałała na wszystkich więźniów deprymująco, pozostając w ich pamięci jako zagrożenie, że oto nadchodzi być może ich ostatnie godziny. Mimo to wszystkie kobiety z baraku, w którym znajdowała się Zofia, do późna w nocy czuwały, czekając na wyzwolenie. Ona sama zziębnięta, zmęczona i senna, postanowiła wreszcie iść spać. Mając na uwadze niemiecką plotkę o wysadzeniu obozu, pożegnała się z przyjaciółkami i prosiła, żeby pod żadnym pozorem jej nie budziły. Świadomie zdecydowała, że śmierć w eksplozji

dopadnie ją podczas snu. Grubo po północy owinęła się szczelnie w koc i poszła spać. Po kilku godzinach Zosię obudziły nagłe krzyki i nawoływania. Wstała zdenerwowana, że współtowarzyszki nie pozwalają jej porządnie wyspać się przed śmiercią. Dopiero wściekłe radosny okrzyk Austriaczki z sąsiedniej pryczy przywołał Zosię do świadomości:

– Zofia, Zofia, Ruski! Ruski!!!

Zwiadowcy w białych kombinezonach, z pepeszami w rękę, szybko przebiegli odkryty teren śnieżnego pustkowia i runęli w głęboki rów, całkowicie zlewając się ze śnieżnobiałym otoczeniem. Prowadzący młody oficer pierwszy wygrzebał się z zasy i przez lornetkę zaczął lustrować okolicę, zwracając szczególnie uwagę na drogę wylotową z miejscowości. Jak podawała nieodległa tablica informacyjna w języku niemieckim, jego oddział znalazł się na obrzeżach miasta Auschwitz. Nie widząc żadnego niebezpieczeństwa, 19-letni lejtnant Jurij Ilinski z Moskwy posłał do przodu szperaczy, aby zbadali, czy czasem „Giermańce” nie zostawili na drodze min. Po kilkunastu minutach zwiadowcy dali znać na migi, że droga wjazdowa jest wolna od niebezpiecznych pułapek. Na ten znak lejtnant posłał do tyłu gońca z informacją, że wjazd do miasta jest bezpieczny. Wiadomość ta miała uruchomić posuwające się z tyłu siły dywizji oraz czołgi z czerwoną gwiazdą. Nie czekając na wsparcie, sowiecki oficer ruszył swój oddział, który gnany chęcią stania się zdobywcą jakiegoś tam „Auschwitz”, parł teraz do przodu nie oglądając się na boki.

Żołnierze szybko przebiegli pierwsze kilkaset metrów ulicy, nie napotykając po drodze wroga. Niespodziewanie za zakrętem pojawiło się nagle kilku spóźnionych niemieckich żandarmów, którzy pozostawieni tutaj, mieli kierować ruchem wycofujących się własnych oddziałów. Zaskoczeni szybkością sowieckiej ofensywy zdążyli jedynie dwa razy wystrzelić, zanim dosięgły ich kule z pepesz. Jednak odgłos strzałów zaalarmował pozostające jeszcze w mieście inne niemieckie oddziały. Kiedy więc zwiadowcy Ilinskiego dotarli do stacji kolejowej i torów, czekała na nich niemiła niespodzianka.

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Trzy betonowe bunkry zbudowane wzdłuż linii kolejowej znakomicie ryglowały ogień podjęście do dworca i dalszy ruch na zachód. Na szczęście dla atakujących ukryci w schronach Niemcy dysponowali tylko karabinami maszynowymi. Nie mieli ani armat, ani broni pancernej. Pomimo to zmasowanym ogniem na długie kwadransy przycisnęli do ziemi sowieckich zwiadowców. Bzykające coraz niżej kule nie pozwalały nawet wychylić głowy z rowu, okopu czy też jakiegoś przypadkowego wklęsnięcia terenu. Ci bardziej odważni już dostali celną kulkę i wili się z bólu, barwiąc pod sobą białe podłoże na krwawą, karminową czerwień. Młody lejtnant miał już kilku rannych, których mimo nawały ognia próbował odesłać na tyły. Kiedy wydawało się, że żołnierze Ilinskiego do zmroku nie posuną się już ani krok naprzód, do akcji wreszcie wkroczyła odsiecz.

Dwa stalowe cielska czołgów T-34 równolegle posunęły się do przodu w przestrzeni ulicy, bo na taką liczbę pozwalała łączna szerokość jezdni, chodników i rowów. Przed ich gąsienicami musieli szybko umykać na boki nawet swoi zwiadowcy. Jednak zanim czołgowe działa rozpoczęły ostrzał, znalazł się jeden śmiałek ze strony przeciwnej. Niemiec szybko wypełził z okopu poprzedzającego pierwszy bunkier i z dwoma pancerfaustami w rękach sprawnie poczołgał się w stronę nadciągającego niebezpieczeństwa. Dobrze wyliczył moment, ponieważ zanim tanki dojechały na odległość pozwalającą na celny i skuteczny strzał w kierunku bunkra, on już był w połowie drogi, zajmując dobre stanowisko bojowe. Przez chwilę czekał, aż czołgi podjadą bliżej, przycelował i puścił pancerną pięść w stronę pierwszego tanka. Strzał był celny, ale pocisk pechowo dla Niemca trafił wprost w przedni, najgrubszy i ustawiony pod ostrym kątem pancerz czołgu. Kumulacyjna kula ześlizgnęła się po pancerzu do góry, odbiła rykoszetem od wieżyczki i odskoczyła ku tyłowi, obficie sypiąc wokół iskrami. Pojazd nie doznał żadnego uszczerbku, ale widocznie zdezorientowany kierowca na moment stracił panowanie nad sterami i czołg zjechał z ulicy, pokonał rów, zniósł siłą rozpędu ogrodzenie, zwijając drewniany płotek w śmieszoną harmonijkę, i stanął. Hitlerowiec gotowy



Wejście do Krematorium I. Fot. Z. Klewander, zima 1946 r. (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

był do drugiego strzału, ale został już wypatrzony przez załogę kolejnego czołgu. W jego stronę poleciały serie z karabinu maszynowego czołgowego strzelca, nie dając możliwości nawet na uniesienie głowy. Podobny ostrzał rozpoczęła biała awangarda dowodzona przez lejtnanta. Kiedy po długich sekundach wzmożonego ognia na moment umilkły strzały, Niemiec uniósł się, ale tylko po to, by zobaczyć pędzącego wprost na siebie pancernego kolosa. Nawet nie jęknął, kiedy przejechało po nim 30 ton stali, zostawiając za sobą wstążkę długiego, kilkunastometrowego śladu krwawej gąsienicy. Zaraz za pierwszym czołgiem ruszył drugi, którego kierowca widocznie doszedł już do siebie po rykoszecie z pancerfausta. Kiedy tanki dotarły do bunkrów na odległość oddania celnego strzału, rozpoczęły naprzemienną kanonadę. Pociski jeden za drugim szły w ich stronę, a pod osłoną czołgowego ognia do niemieckich schronów zbliżyła się również sowiecka piechota. Wkrótce dwa bunkry zostały rozsądzone kulami czołgowych armat, a trzeci obrzucili granatami i zdobyli zwiadowcy, którzy ponownie znaleźli się na czele nacierającego ugrupowania.

Po zniszczeniu bunkrów żołnierze Ilinskiego przeskoczyli tory i ruszyli na zachód. Zaraz jednak zwolnili marsz, widząc w oddali wieżyczki strażnicze i ogrodzenia z drutu kolczastego. Najpierw myśleli, że to początek kolejnej umocnionej linii niemieckiej obrony zlokalizowanej w tej okolicy. Kiedy ostrożnie podeszli do zasieków, już wiedzieli, co to znaczy. Za gęstym drucianym ogrodzeniem i rzędem wieżyczek znajdowały się dziesiątki obozowych baraków. Gdzieś z tyłu czarny dym kłębił się nad podpalonymi i wysadzonymi w powietrze zabudowaniami. Było cicho. Nikt nie bronił tego terenu. Ale też nikt początkowo nie witał wyzwolicieli. Przeczuwając niemiecką zasadzkę, przez poszarpane druty zwiadowcy ostrożnie weszli na teren pustego i martwego – zdawałoby się – obozu. Zaraz przy pierwszym baraku jeden z żołnierzy potknął się o niewidzialną w śniegu przeszkodę. Zamarł, gdy przyglądając się dokładniej, ujrzał na ziemi zamrożone ludzkie zwłoki w pasiaku. To był dopiero początek. Gdzieś za załomem ściany Sowietci znaleźli całe stosy zmarłych lub zabitych więźniów.

Na początku były to skostniałe zwłoki (zmarłych chyba w wyniku, głodu, chorób lub zimna) szeregowo poustawiane przy ścianie baraku. Dalej zobaczyli całe gromady rozstrzelanych nieszczęśników: mężczyzn, kobiet i dzieci.

Wyjątkowy widok szczególnie na długo utkwiał w pamięci 19-letniego lejtnanta. Kiedy mijał jeden z baraków, uczył silne, nieodparte wrażenie, że ktoś bacznie go obserwuje. Naprawdę zdębiał, widząc wśrubowane w siebie oczy... siedzącego pod ścianą zmarłego więźnia. Okropnie chudy szkielet ledwo co pokryty strzępami pasiaka miał odrzuconą do tyłu głowę, ale patrzył przed siebie martwymi, przeszklonymi oczyma. Widocznie więzień skończył w głodowych męczarniach, ponieważ usta miał jeszcze pełne śniegu, którym w ostatniej walce o przetrwanie zapewne próbował napęścić sobie pusty żołądek. Sowiecki oficer wiele przeżył i widział na wojnie, ale śmierć w walce wygląda zupełnie inaczej niż zamordowani przez Niemców więźniowie obozów. Coraz bardziej rozbity wewnętrznie lejtnant szedł przed siebie na czele swoich żołnierzy. Gdy dochodzili do połowy wielkiego zadrutowanego terenu, dały się słyszeć jakieś dziwaczne piskliwe odgłosy. Okazało się, że to dzieci zamknięte za drutami kolejnego obozowego rewiru. Widząc obcych żołnierzy (nie Niemców!), zdobyły się na odwagę, tłumnie wyległy z baraków i stanęły grzecznie rzędem pod drutami. Od najmniejszych, dwu-, trzyletnich maluchów, do kilkunastoletnich dziewcząt i chłopców. Chude, obdarte, chore, głodne. Ale żywe i wyzwolone wreszcie z niewoli.

WYZWOLICIELE W BIAŁYCH PAŁATKACH

Styczeń 1945

Anna Chomicz w migotliwym świetle świecy zawzięcie machała igłą, przyszywając z mozołem czerwony materiał z pościelowych wsep na białe obozowe prześcieradła. Im bliżej zdawały się brzmieć huki armat, im częściej jakieś samoloty przelatywały nad obozem, tym szybciej błyskała igła w jej ręku. Widać było, że blisko 40-letnia kobieta bardzo się spieszyła. Ona, jako konspiratorka ZWZ-AK, zawodowa pielęgniarka pracująca do końca w obozowym szpitaliku, wiedziała doskonale, jak może zakończyć się bitwa o ich obóz, a wyzwolenie może oznaczać dla więźniów także śmierć, również – co gorsza – z rąk nieświadomych niczego wyzwolicieli. Dlatego postanowiła uprzedzić ich działania i sama własnoręcznie uszyć znak, który w cywilizowanym świecie oznaczał bezpieczeństwo. Im sprawniej śmigaly jej ręce, tym bardziej siedzące po sąsiedzku więźniarki zachwycone spoglądały na powstającą właśnie w jej rękach flagę Czerwonego Krzyża.

Jeszcze nie skończyła wszystkiego, kiedy drzwi baraku gwałtownie się otworzyły i do pomieszczenia wpadła zadyszana więźniarka Estera, Żydówka z polskiego ruchu oporu.

– Drzwi! – wrzasnęły siedzące bliżej wyjścia skostniałe kobiety, czując na swojej skórze chłodny powiew zimy, pomimo rozpalonego pośrodku baraku piecyka.

– Słuchajcie! – wrzasnęła podnieconym głosem, ale potulnie obróciła się na pięcie i klapnęła drzwiami. – Słuchajcie, oni już tu są!

– Kto, Niemcy do wysadzenia obozu? – zapytała przerażona Regina z Francji.



**Dziedziniec bloku 11 i szubienica z ruchomą zapadnią, przy której stoi były więzień
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. Fot. S. Mucha, luty/marzec
1945)**



Oswobodzeni więźniowie KL Auschwitz z różnych państw przechodzący pod bramą z napisem *Arbeit macht frei* (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. Fot. B. Borysow, marzec 1945)

Wyzwoliciele w białych pałatkach

– Nie. Nasi wyzwoliciele.

– Co? Chyba oszalałaś – zachnęła się jedna z więźniarek, widząc spoconą z przejęcia twarz Estery i jej oczy błyszczące szaleństwem radości. – Front jest parę kilometrów stąd i słychać stamtąd walkę, a ty mówisz, że widziałas naszych wyzwolicieli?

– Przysięgam! – zarzekała się mała Estera. – Widziałam żołnierza w kombinezonie z czerwoną gwiazdą na piersi. To musiał być Ruski.

– Może to jakiś niemiecki przebieraniec. Fryc, który szczyci się swoimi zdobyczami na wrogu – próbowała logicznie jakoś to wytłumaczyć Anna Chomicz, nie zaprzestając szycia. Jej ruchy były teraz wolniejsze, jakby wyważone, ale flaga zdawała się już prawie gotowa.

– Na własne oczy widziałam – mówiła stropiona nieco dziewczyna, zakrzyczana i coraz bardziej ścigana kpinami przez inne, starsze kobiety.

– Idiotka, widziała Niemca, a myślała, że to ratunek nadchodzi.

– Ciesz się, głupia, że do ciebie nie strzelili!

– A może ci się spodobał ten fryc?

Gdy tak używały sobie na bliskiej już płaczu dziewczynie, nagle 16-letnia Julia Temerson z Łodzi syknęła:

– Cicho.

Jej prycza znajdowała się przy ścianie baraku, a po drugiej stronie słychać było jakieś dziwne, niezwykcyjne odgłosy. Po pierwsze były to kroki, dużo kroków. A po drugie, męskie głośne rozmowy. Wszyscy znieruchomieli nasłuchując, co to może oznaczać. Czy to po obozie spacerują już wyzwoliciele? A może to Niemcy wrócili i chcą je wysadzić, zakładając przy ścianie ładunki wybuchowe. Czy zaraz czeka je śmierć, czy może jednak radość ocalenia? Kilkadziesiąt kobiet przestało wręcz oddychać, nasłuchując, co będzie dalej. Ale Julia była już pewna.

– To nie Niemcy. To nie jest niemiecki szwargot – powiedziała podekscytowana. Jakby na potwierdzenie jej słów, drzwi baraku otworzyły się powoli i do środka weszły białe postacie z zapalonymi świecami. Więźniarki jeszcze nie dowierzały. Setki skupionych oczu

LEKARZ Z AUSCHWITZ

w ciszy patrzyły na intruzów, a wszystkie serca zamarły. Pierwszy szedł jakiś wysoki oficer w białym mundurze. Za nim w podobnych śnieżnych maskujących kombinezonach szli jego żołnierze. Szczególną uwagę więźniarek skupił skośnooki Mongoł. Oprócz tego, że był niski i nad wyraz brzydki, to w zagięciu ręki trzymał małe dziecko. Widać było, że dziecko jest z obozu – było rozczochrane, brudne i w zniszczonym ubranku. Ale też od razu zaprzyjaźniło się z wyzwolicielem – ciągle majstrowało mu przy twarzy, wkładając uporczywie palce do oczu. Dopiero widok tego żołnierza z dzieckiem na ręku rozbroił napięcie więźniów. Nagle rozległ się krzyk. A potem z płaczem i wyciem kobiety rzuciły się na swoich wyzwolicieli. Każda chciała wyściskać, wycałować, a przynajmniej dotknąć munduru wybawców. Ten masowy atak przeraził żołnierzy, których początkowo wystraszył już sam widok więźniarek – ich obłąkane radością oczy, ogolone kobiece głowy, wychudzone ciała, zapadłe twarze i słowa rzucane w różnych językach. Czerwonoarmiści byliby może nawet uciekli pod naporem wdzięcznych kobiet, ale sytuację opanował ich dowódca, który wyszedł na środek i zaczął wsłuchiwać się w zrozumiałe dla siebie słowa. Oprócz wyrazów wdzięczności i uwielbienia, często powtarzały się nazwy najróżniejszych europejskich miast.

– Paryż wolny? – pytały kobiety.

– *Da, Paryż oswobodionnyj* – mówił Sowiet.

– A do Budapesztu można wracać?

– Można.

– A Belgrad?

– Wolny.

– A do Łodzi, do Łodzi w Polsce, można?! – darła się próbując przekrzyczeć inne głosy Julia Temerson.

– Można.

– A Berlin, Berlin? – do oficera przepchnęła się jakaś Żydówka z Niemiec.

– Berlin jeszcze nie. Ale już niedługo będzie można i tam – mówił z dumą oficer, przęcąc się na baczność i wypinając pierś, jakby do kolejnego orderu.

Wyzwoliciele w białych pałatkach

Do innego baraku sowieccy żołnierze podprowadzili swojego starszego już wiekiem, siwiutkiego generała. Sterany życiem mężczyzna widział na frontach różnych kampanii z całą pewnością niejedno. Teraz zrozpaczony popatrzył po twarzach zabiedzonych ludzi.

– Wy tu żyli, w takich warunkach? – łapał się za głowę lustrując zakamarki miejsc, w jakich musieli wegetować więźniowie.

– Są tu ciężko chorzy i dzieci? – zapytał, a po potwierdzeniu przez oswobodzonych, poprosił:

– Pokażcie mi ich.

Więźniowie chętnie spełnili jego wezwanie. Ze smutkiem podchodził do kolejnych prycz, na których leżeli niemający już siły się podnieść, konający często w tej właśnie chwili ludzie. Prawdziwy jednak szok przeżył, gdy spojrzął na szkielety ustawionych przed sobą, wychudzonych dzieci. To wtedy łzy wzruszenia potoczyły się z oczu siwego generała. Kiedy opanował emocje, powiedział z mocą:

– Obiecuję wam, że ta wojna niedługo się skończy. A Niemcy, sprawcy tego... barbarzyństwa, odpowiedzą za wszystkie swoje winy. Obiecuję wam, że nigdy już nie dojdzie do takiej strasznej wojny, w której bardziej od żołnierzy cierpią małe dzieci.

Po chwili rozpoczął wędrówkę przez barak, rzucając po kolei każdemu jakieś dobre słowo, głaszcząc po główkach dzieci i dodając otuchy obłożnie chorym. Zaraz też wydał polecenie dotyczące przybycia wojskowych kuchni polowych oraz sowieckich szpitali wojskowych.

– Jest jeszcze wojna – mówił do ogółu zebranych byłych więźniów – i nie wiadomo, co może się zdarzyć. Być może jeszcze górami będą Niemcy i wrócą tutaj dokończyć swego dzieła zniszczenia i śmierci. Dlatego moja rada dla was jest taka – kogo rodzinny dom znajduje się na terenach już wyzwolonych, niech wraca do siebie. Kto może chodzić o własnych siłach, niech zabiera się stąd co prędzej. Tu oczywiście będzie zorganizowana pomoc i kwarantanna dla chorych, ale radzę wam, kto może, niech opuści to przekłete miejsce i wraca do domu.

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Tymczasem sowieccy żołnierze, widząc nędzę i głód panujące w obozie, zaczęli dzielić się z więźniami wszystkim, co mieli przy sobie. W ruch poszły konserwy świńskiej tuszonki i smalcu, suchary, chleb oraz papierosy. Miesiącami głodzeni ludzie folgowali sobie teraz w jedzeniu, nie znając umiaru w napełnianiu pustych żołądków. Ale to było dopiero preludium tego, co miało nastąpić. Prawdziwe szaleństwo zaczęło się, gdy na plac apelowy obozu wjechały sowieckie kuchnie polowe. Sowieccy kucharze szybko odprzodkowali sprzęt i rozpalili ogień pod kotłami, natychmiast warząc tłustą wojskową grochówkę. Rozchodzący się po okolicy wspañiały zapach od razu zwabił głodomorów w pasiakach. Zdarzało się, że nawet obłożnie chorzy, czując w nozdrzach zapach pysznej grochówki, zwlekali się teraz z prycz i jak cienie sunęli w stronę dymiących kuchni polowych. Kiedy strawa była gotowa, kucharze zaczęli wydawać posiłek, początkowo bez umiaru nalewając byłym więźniom zupy do misek, garnuszków, menażek i najróżniejszych innych naczyń.

– Czy wyście oszaleli?! – krzyczała wniebogłose więźniarka-pielęgniarka Anna Chomicz, miotając się pomiędzy kuchnią a stojącymi w kolejce więźniami. Ona jako jedna z nielicznych chyba słusznie przewidywała, jakie spustoszenie może wywołać nadmiar tłustej strawy w przegłodzonych organizmach. Sama, bojąc się rozstroju żołądka, już wcześniej oddała swoją konserwę, zadowolając się wyłącznie sucharami. Początkowo nikt nie zwracał na nią uwagi – głodni więźniowie oddaliby wszystko, aby porwać miskę pełną zupy, a kucharze ze Wschodu widocznie nieobeznani z głodem panującym w obłożonym Leningradzie, zupełnie nie wiedzieli, o co chodzi tej szalonej Polce. Chomiczowa zaś własnym ciałem starała się zastawiać dostęp do kuchni i odciągać od niej ludzi w pasiakach.

– Powariowaliście, ludzie! – próbowała przemawiać głodnym do rozsądku, a kiedy to nic nie skutkowało, krzyczała do więźniów: – Po to przeżyliście obóz, żeby teraz marnie zdychać?!

Sama nie była w stanie zapobiec tragedii, ale wkrótce z pomocą przybyły doskonale rozumiejące skalę zagrożenia inne lekarki

Wyzwoliciele w białych pałatkach

i pielęgniarki. Uporządkowały kolejkę i wytłumaczyły wreszcie kucharzom, że ze względów zdrowotnych należy odpowiednio dawkować jedzenie i więźniom wlewać tylko troszeczkę zupy, zapełniając zaledwie w jednej czwartej podstawiane miski i garnczki. Później na wyraźne polecenie polskich lekarek sowieccy kucharze sprowadzili z tyłów frontu zapasy i w oswobodzonym obozie przyrządzili lekkostrawne dania – gotowane suche kartofle i gotowaną suchą kaszę.

Wydawało się, że sytuacja w obozie została opanowana. Ale zjedzona w początkowej fazie wydawania posiłku tłusta zupa już zbierała swoje krwawe żniwo. Zdarzało się, że kiedy kucharze wydawali jedynie jedną czwartą porcji, sprytni więźniowie po kilka razy ustawiali się w kolejce, aby wreszcie napełnić wieczne puste żołądki. W ich wypadku zaspokojenie głodu było silniejsze niż zdrowy rozsądek. Jednak nieprzystosowane od miesięcy do przyjęcia takiej ilości kalorii organizmy odmawiały posłuszeństwa, a konsekwencje przejedzenia były straszne. Więźniowie wili się w kątach baraków, cierpiąc na bóle żołądka, skręty jelit i wtórny *durchfall*. Wszystkie latryny i ustronne miejsca zostały zajęte przez konających w cierpieniach ludzi i zanieczyszczone kałem zmieszonym z krwią. Wielu umarło wtedy w boleściach, ale – jak na ironię – odeszli z tego świata już po wyzwoleniu, bez widocznej sprawczej roli niemieckich okupantów...

DZIECI

Styczeń 1945

– Mama – powiedziała głośno i wyraźnie Maria Hukowa, a następnie patykiem na śniegu napisała wyraz „mama”.

– Mama – grzecznie powtórzyły za nią dzieci, nawet te starsze, którym nie powinno już sprawiać kłopotów ani pisanie, ani czytanie. Młodsze, wypowiedziawszy najdroższe słowo świata, niezwykle skupione, z językami na wierzchu z przejęcia, swoimi kijkami zaczęły kreślić w śniegu, próbując naśladować piękne litery wykaligrafowane przez kobietę.

– Tata – wysylabizowała drugi zwrot Maria i zamasyście śmignęła patykiem, zostawiając ślad liter z zawijasami na końcu.

– Tata – powtórzyły dzieci, dłubiąc koślawo swoje gryzmoły.

– Siostra – zaczęła trochę z innej beczki kobieta i już miała kreślić na śniegu ten wyraz, kiedy z baraku doszło ją głośne wołanie:

– Marysia, dzieci, obiad! – To starsza wiejska kobieta, pochodząca spod Lwowa, na którą wszyscy mówili Babuszka, wołała swoich podopiecznych na przygotowany właśnie ciepły posiłek. Dwa razy nie trzeba było powtarzać i czereda z wrzaskiem wpadła do budynku, porwała swoje miski z łyżkami i ustawiła się grzecznie w kolejce przed kobieciną. A ta, szczęśliwa, miała czym obdarować swoje pociechy. Po ucieczce Niemców i wejściu Armii Czerwonej, zapobiegliwe więźniarki włamały się do obozowych magazynów SS, znajdując tam prawdziwe skarby: chleb, konserwy, cukier i ciepłe ubrania. Zdobywając te specjalne, kobiety pomyślały również o pozostawionych w obozie małych sierotach, których rodziców albo zamordowano, albo pognano na zachód. Właśnie grupą takich kilkunastu młodocianych byłych więźniów zajęły się Maria Hukowa i Babuszka. W ich wypadku było o tyle łatwiej, że

miały do czynienia z polskimi dziećmi ewakuowanymi z Warszawy, których rodzicielki, jako sprawne fizycznie, popędzono na zachód w marszach śmierci. Z uśmiechem na chudej, ale ogorzałej twarzy, Babuszka nalewała dzieciom pełne miski zupy przyrządzonej na niemieckich konserwach i zachęcała do jedzenia, dodając jeszcze po kromce grubo krojonego chleba.

Po obiedzie do baraku ktoś przyniósł wiadomość, że należy wyprowadzić z obozu dzieci. Przez całe popołudnie grupa przygotowywała się do wymarszu, organizując prowiant na drogę i zapasową odzież. Niektóre dzieci znalazły w obozowym warsztacie pończosznicy setki skarpet i pończoch, które również profilaktycznie zapakowały w swoje tobołki. Podrózne węzélki z jedzeniem i ubraniem okazały się jednak stanowczo za ciężkie, szczególnie dla najmłodszych. Dwie opiekunki także nie były w stanie ponieść na swoich ramionach jednocześnie kilkunastu węzélków. Dlatego jakiś były więzień, przedwojenny stolarz, wpadł na znakomity pomysł i przerobił obozowe drewniane stołeczki na sanki, przybijając do siedziska po dwie płozy. Przez cały wieczór pracował i skonstruował kilka takich wynalazków. Było to co prawda za mało na grupę dwudziestu osób, ale idąc za przykładem stolarza, niektóre maluchy przygotowały do drogi stołeczki, które bez przeróbek ustawiły na śniegu po prostu do góry nogami i pociągnęły z powodzeniem na próbę.

Kiedy rankiem po wczesnym śniadaniu grupa Zofii Hukowej i Babuszki wychodziła z obozu, przedstawiała naprawdę niecodzienny widok. Spotkani po drodze więźniowie zatrzymywali się wielce zdziwieni, nie mogąc napatrzeć się na ten dziecięcy dziwny korowód. Sowieccy żołnierze zaś dowcipkowali, porównując maszerujące dzieci albo do zdobywców bieguna północnego, albo do jakiejś zagubionej na pustyni karawany odkrywców. Ten tok rozumowania przejęły również dzieci i pierwsze kilometry drogi upływały w miłym nastroju najwspanialszej wprost zabawy. Jednak po kilku godzinach marszu wyparował z maluchów zapał i opiekunki coraz częściej musiały zatrzymywać całą grupę na postój i odpoczynek. Pośród dzieci maszerował rażno 10-letni

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Andrzej Kozłowski, który ciągnął na sznurku swój odwrócony taborecik, do którego między nogi wepchnął zapasy jedzenia, ubranie na zmianę oraz kilkanaście zdobycznych skarpet. Szedł z siostrą – kiedy dziewczynka się zmęczyła, siadała na tych zmyślnych saneczkach. Kiedy Jędrrek nie miał już siły ciągnąć, rodzeństwo zmieniało się i teraz chłopiec mógł trochę odpocząć jadąc na stołeczku.

Kierowali się na wschód, w stronę Krakowa, gdzie jak się dowiedzieli, czekała na nich bezpieczna przystań – albo w placówce Polskiego Czerwonego Krzyża, albo w siedzibie Rady Głównej Opiekuńczej. Ale wędrówka w śnieżnych zaspach stawała się coraz cięższa, a na domiar złego zbliżała się noc. Dzieci do marszu mobilizowała chyba tylko świadomość, że są naprawdę wolne i wracają do swoich domów, do rodziców. Wieczorem osobliwy sierociniec Marii i Babuszki dotarł do jakiejś wioski, gdzie znalazł szczęśliwie nocleg u gościnnych gospodarzy. Wtedy przydały się zabrane przez roztropne dzieciaki skarpetki i pończochy, które można było oddać za pyszną kolację i dach nad głową. Rankiem grupa wyruszyła w dalszą drogę, ale już bez wczorajszego entuzjazmu. Dzieci odczuwały trudy wędrówki z poprzedniego dnia i miały świadomość, że do celu czeka je jeszcze bardzo daleka droga.

Gdy tak sunęli powoli przez zasy, ciągnąc za sobą swój skromny dobytek na saneczkach i dobywali ostatka sił, nagle z tyłu usłyszeli odgłos samochodowego silnika. Maria Hukowa wybiegła na środek ulicy i jak szalona zaczęła krzyczeć i machać rękami. Kierowca nie miał innego wyjścia. Aby nie przejechać kobiety, musiał zahamować, co wcale nie było takie łatwe na zaśnieżonej i oblodzonej drodze. Mimo wciśnięcia pedału hamulca, jego ciężarówka sunęła siłą rozpędu, a łyse opony zatrzymane tarczami hamulca w miejscu mimo wszystko parły do przodu jak bobsleje. Samochód zatrzymał się w ostatniej chwili przed przerażoną kobietą, która uporczywie stała na środku z rękami przed sobą. Gdy wóz wreszcie się zatrzymał, wściekły kierowca wyskoczył z szoferki i naskoczył na kobietę:

– *Job twoju mać!* Czyś ty, kobieto, oszalała, chcesz zginąć na tej drodze? I jeszcze samochód mi popsuć?



**Akcja wywożenia byłych więźniów do ich rodzinnych domów (zima 1945 r.
Fot. S. Mucha, Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

– Ale dzieci... – zdołała tylko wyszeptać.

– Jakie dzieci? – zapisał zirytowany młody kierowca. Polak i sądząc po mundurze, żołnierz.

– Te, kawaler, nie bądź taki do przodu! – na pomoc Marii przybyła z odsieczą Babuszka. – Powiedz lepiej, gdzie jedziesz?

– A nic wam do tego – odciął się.

– A co ty tutaj robisz wojaku, z dała od frontu? Takiś ty mało waleczny? – z politowaniem popatrzyła na jego świeżutki nowy mundur.

– Co robię – to tajemnica wojskowa. A co wy tak dopytujecie. Może z was są szpiony Hitlera?

– Zapewne – roześmiała się starsza kobieta, wskazując na podchodzące właśnie do ciężarówki dzieci. – Cała armia małych szpiegów.

Dopiero teraz chłopakowi zrobiło się głupio na widok zmęczonych do granic możliwości i nad wyraz chudych dzieciaków z tobołkami na taborecikach.

– Jadę na wschód, jak zresztą widać. Ale mam wojskową misję do wykonania.

Słuchając go jednym uchem, Babuszka z trudnością wdrapała się na tylny zderzak i zajrzała na pustą pakę.

– Może do Krakowa? – bąknęła niepewnie Maria, która dopiero teraz blada jak ściana zaczęła dochodzić do siebie po przygodzie z niebezpiecznym zatrzymaniem auta.

– Tak, do Krakowa – przyznał wojak mrużąc oczy i przez wąskie szparki zerkając na młodszą kobietę.

– Ale miejsca na samochodzie to ty masz w nadmiarze. Zabierz nas wszystkich do Krakowa.

– Nawet jakbym chciał, nie mogę. To samochód wojskowy, nie mogę na niego zabierać przygodnych pasażerów – tłumaczył się żołnierz.

Wtedy Babuszka wyciągnęła zza pazuchy glejt i podstawiła go przed oczy wojaka. Był to dokument – sowieckie pismo mówiące o tym, że jej grupę stanowią byli więźniowie niemieckiego obozu

Auschwitz i prosi się wszystkich, aby umożliwili dzieciom dotarcie do ich rodzinnych miejscowości.

– No, nie mam wyjścia – skapitulował wreszcie żołnierz, widząc na dokumencie zamaszty podpis jakiegoś sowieckiego generała. Doszedł do samochodu i otworzył pakę. – Wsiadajcie.

Uczynnie pomagał wgramolić się wszystkim dzieciom, a następnie wrzucił ich pakunki i taboreciki. Kobiety wspaniałomyślnie zaprosił do szoferki. Skorzystała z tego tylko Babuszka. – Maria zdecydowała się jechać razem z dziećmi, by mieć na nie baczenie podczas drogi. Zaraz uruchomiony silnik zaklekotał, z rury wydechowej poszedł czarny dym i ciężarówka ruszyła. Dalsza podróż minęła już bez przygód i jeszcze przed nocą grupa dojechała do miasta. Część dzieci zostawiono w placówce PCK znajdującej się w szkole przy ulicy Siennej w Krakowie. Pozostałą grupę uczynny kierowca dostarczył do siedziby RGO. W tych placówkach dzieci przebrano, nakarmiono i spisano ich tożsamość. Po kilkunastu dniach Babuszka odwiozła niektóre dzieci do Warszawy, a po drodze odstawiła też Andrzeja Kozłowskiego wraz z jego siostrą do Pabianic, gdzie rodzeństwo trafiło do domu rodziny swojej babci. Maria Hukowa prosto z Krakowa ruszyła zaś od razu na własną rękę do Przemyśla, aby po wojennej zawierusze odnaleźć dwoje własnych pociech.

Żołnierze sowieckiej 100 Dywizji Piechoty 27 stycznia 1945 roku zdobyli Oświęcim. Tego samego dnia około godz. 15 niemiecki obóz koncentracyjny w Oświęcimiu i Brzezince został wyzwolony. Ogółem na terenie Auschwitz, Auschwitz-Birkenau i Monowitz oswobodzono około 7000 więźniów. Oprócz tego z rozszanych naokoło podobozów uwolniono dodatkowo 500 osób. Jednocześnie na terenie obozów Sowietci znaleźli około 600 ciał więźniów zamordowanych w ostatnim czasie przez Niemców oraz zmarłych z głodu, zimna i ogólnego wyniszczenia organizmu. Niektóre nadpalone ciała leżały na stosach, które nie zdążyły spłonąć w całości i spopielić ludzkich szczątków przed wejściem wojsk sowieckich. Widząc bezmiar ludzkiego nieszczęścia w oswobodzonych

LEKARZ Z AUSCHWITZ

barakach, żołnierze sowieccy zaczęli dzielić się z głodującymi więźniami wszelką posiadaną żywnością. Wyciągnęli własne zapasy – suchary, chleb, słonina i konserwy. Zdarzyło się, że na rozkaz dowódcy żołnierze zabili konia, poćwiartowali, a mięso usmażyli, dzieląc posiłek pomiędzy więźniów. Prawie natychmiast uruchomiono też posuwające się za wojskiem kuchnie polowe i zaczęto przygotowywać tłuste, kaloryczne zupy. Niestety dla skurczonych żołądków uratowanych więźniów, nieprzyzwyczajonych od mięsicy do normalnego jedzenia, nadmiar pożywienia i jego ciężkostrawność stanowiły w tym wypadku poważne zagrożenie. Zdarzało się nawet, że wyzwoleni więźniowie umierali teraz w cierpieniach w wyniku przejedzenia. Dopiero kiedy w obozie pojawiły się sowieckie szpitale polowe, kierowane przez majorów doktorów Wejtkowa i Mielaja, ich lekarze i sanitariuszki miały przynajmniej jakiegokolwiek doświadczenie w postępowaniu z zagłodzonymi ludźmi. W pierwszej kolejności zarekwirowano więźniom wszystkie zapasy żywności pozostawione w dobrej wierze przez idących w pierwszej linii żołdatów. Wraz z nadejściem szpitali polowych nastąpiło też odpowiednie dawkowanie im pożywienia pod postacią lżej strawnych zupek i gotowanych kasz, a później nawet w specjalnie dobranych w miarę możliwości dietach.

COŚ SIĘ OD ŻYCIA NALEŻY

Styczeń 1945

Dwie młode więźniarki – Agnieszka, która kazała na siebie mówić „Jagusia” i Ryfka, która całą okupację, Powstanie i obóz przeżyła na aryjskich papierach Reginy Zając, przejrzały się raz jeszcze w ogromnym tremo. Wkradły się do domu esesmańskiego dygnitarza, który najwyraźniej nie zdążył ewakuować dóbr zgromadzonych w czasie wytężonej pracy w Auschwitz. Inni koledzy zapakowane meble i dywany zdołali wysłać do Reichu, ale w willi odwiedzonej przez młode kacetniczki nie brakowało niczego. Garderoba pani domu zavalona była futrami – długimi, krótkimi, z kołnierzeniami i bez. Obok kuśnia szafa pełna koronkowej bielizny.

Jagusia przypięła zgrabny toczek do swoich brudnych włosów i pokazała się koleżance – Ładnie babce w capce? – zamazurzyła. Regina owinęła się etolą. – Trzeba teraz się zdecydować... i tak zaraz przyjdą inni. Wszystkiego nie weźmiemy.

Po krótkiej naradzie spakowały wybrane łupy do wielkiego futra, które postanowiły ciągnąć po śniegu jak sanki. Z niemałym trudem wytaszczyły zdobycz na zewnątrz. Okazało się przy tym, że tylko na mokrym śniegu i lodzie futro spełnia dobrze funkcję sanek, w błocie uparcie stawało i dziewczyny musiały przerzucać toból przez kałuże.

– W życiu nie miałam takiego futra – oznajmiła koleżance Jagusia. – I jak się nie postaram, to nie będę miała. A kiedy się kradnie ukradzione, to już nie jest kradzież, co nie?

– Nam się to od życia należy, kochaniutka – sentencjonalnie podsumowała Regina – za te wszystkie lata. – Chciała coś jeszcze dorzucić, ale z ciemności błysnął snop latarki.



Sowiecy żołnierze rozmawiają z wyzwolonymi więźniami przed wejściem do bloku nr 19 (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. Fot. R. Mazelew, luty 1945)



LEKARZ Z AUSCHWITZ

– *Stoj! A wy kto? Giermanskaja swołocz?* – usłyszały pytanie zza oślepiającego światła.

– *Niet, niet, towariszcz.* My kacetniczki, *Gefangen* – zaczęły się przekrzykiwać dziewczyny.

– *Szto? Anu dawaj!* – Agnieszka i Ryfka posłyszały doskonale im znany odgłos repetowania karabinu. Jagusia z trudem podciągnęła rękaw futra, by pokazać numer obozowy wytatuowany na przedramieniu.

– *Towariszcz, my zakljuczonyje! My Polska! Nicht schiessen!*

Obozowi wartownicy podeszli bliżej, pobieżnie obejrzeni obozowe tatuaże, a uważnie tobolek z łupami.

– *A eto odkuda?* – zainteresowali się serdecznie.

Regina wskazała palcem dom, który przed chwilą rozszabrowały. Jeden z żołnierzy podszedł jeszcze bliżej do przestraszonych dziewczyn, zachęcając do pozostawienia toboła i do pójścia w swoją stronę

– *Spokojnoj noczi, graždanka, spokonoj noczi* – powiedział uprzejmie, a kiedy stały uparcie przy swoich łupach powiedział stanowczo: – *Nu, uchadi, dieuszka!*

PROPAGANDA

Zima 1945

Zaraz po wyzwoleniu do hitlerowskich obozów dotarły sowieckie ekipy filmowe, które zaczęły robić zdjęcia i nagrywać filmy dokumentujące niemieckie zbrodnie wojenne. Efektem tych prac był sowiecki film dokumentalny pt. *Oświęcim*, który funkcjonuje również pod nazwą *Kronika wyzwolenia obozu*.

Pod koniec stycznia 1945 roku pojawił się nawet polski operator Czołówki Filmowej Wojska Polskiego Adolf Forbert. Nagrał w Oświęcimiu film, wykorzystując 300 metrów taśmy filmowej, tyle, ile mu zwierzchność przydzieliła. Fragmenty jego produkcji wykorzystano później m.in. w relacji wyświetlanej w Polskiej Kronice Filmowej.

Na terenie Auschwitz do pracy ruszyli również przedstawiciele sowieckiej Nadzwyczajnej Komisji Państwowej Związku Sowieckiego do Badania Zbrodni Niemiecko-Faszystowskich Agresorów. W pierwszym rzędzie członkowie komisji lustrowali baraki, ruiny krematoriów i komór gazowych oraz miejsca, w których zakopywano ludzkie popioły. W dalszej kolejności przejrano magazyny SS pełne zagrabionego przez Niemców mienia. W ramach śledztwa za dowody rzeczowe niemieckiej zbrodni uznano: ponad milion sztuk odzieży, 43 tys. par butów, 14 tys. dywanów i około siedmiu ton ściętych ludzkich włosów.

Członkowie wysokich komisji z szacunkiem pochylali się nad przypadkiem każdego więźnia.

Kolejna ekipa ministerialna ze zdumieniem skonstatowała, że wśród ocalańców jest również legendarny rzeźbiarz Xawery Dunikowski. Przez cały pobyt w obozie był szczególnie chroniony przez polskich współwięźniów, zdejmujących z niego co

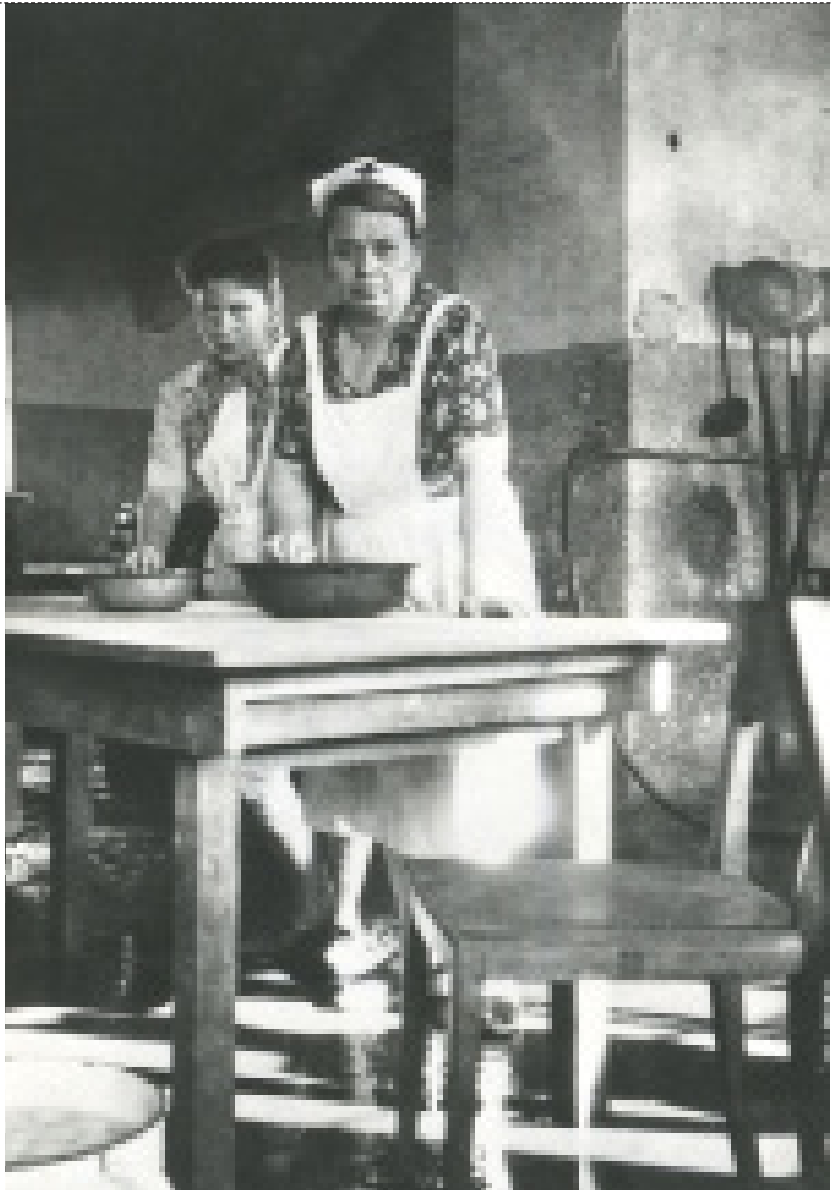
LEKARZ Z AUSCHWITZ

trudniejsze prace w poszanowaniu dla jego podeszłego wieku i traktując go jako klejnot kultury polskiej, który trzeba za wszelką cenę ocalić. Ministerialni goście starali się na wszelkie sposoby przypodobać nestorowi polskich rzeźbiarzy, a jeszcze bardziej starali się go nie urazić.

Częstowano go kawą i herbatnikami, przy których starano się dowiedzieć czegoś o życiu obozowym.

– Czy Mistrz teraz swoje doświadczenie przekuje na jakieś dzieło? Czy może myślał już o jakimś monumencie, który trzeba będzie wystawić w Oświęcimiu? – Te grzecznościowe pytania jakoś jednak nie mogły rozruszać sędziwego artysty. Odpowiadał grzecznie, czasem z wymuszonym uśmiechem.

Rozbawił się jednak serdecznie, kiedy jeden z urzędników po dłuższej rozmowie „przez ę i ą” zapytał nieoczekiwanie: – A jak długo Mistrz bawił w Oświęcimiu?



**Kuchnia PCK – kierownik kuchni Maria Drożyńska i pielęgniarka Jadwiga Anna Golec
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz–Birkenau)**

SAMARYTANIE Z KOPALNI „BRZESZCZE”

Styczeń 1945

Jeszcze zanim doszło do wyzwolenia obozu, kilkudniowy „bezpieński” okres funkcjonowania obozu wykorzystali więźniowie, aby znaleźć coś do jedzenia czy ciepłej się ubrać. W tym czasie rozpoczęła się też na szeroką skalę samoistna i spontaniczna akcja ratowania współwięźniów i pomocy chorym. Na śmierć najbardziej narażone były osoby starsze i dzieci. Zanim zarządzono jakąkolwiek ewakuację dziecięcych grup, część z nich zabrały miejscowe polskie rodziny. Również mieszkańcy Brzeszcz rozpoczęli spontaniczną działalność ukierunkowaną na ratowanie byłych więźniów, wysyłając do obozu grupę ochotników pod wodzą Tadeusza Mleko. Ochotnicy z Brzeszcz, którzy skierowali się do działania bezpośrednio w niemieckim obozie Auschwitz, od razu musieli zmierzyć się z trudnościami codziennych czynności. W pierwszej kolejności musieli uprzątnąć ciała zabitych i zmarłych więźniów. Zwłoki wynoszono z baraków i składowano w wielkim dole, który zostawili po sobie Niemcy. Następną niezbędną czynnością było posprzątanie baraków, które ochotnicy chcieli zaadaptować na prowizoryczne sale chorych. W związku z tym, że duża część byłych więźniów była obłożnie chora i krańcowo wyczerpana, cierpiąc jednocześnie na biegunkę głodową, ludzie ci nie mieli siły wstać i załatwiać potrzeby fizjologiczne pod siebie.

Dlatego koniecznie należało te baraki uprzątnąć – wymienić zabrudzone sienniki i koce, zdrapać z polepy zaschnięte fekalia, wyszorować podłogę i umyć prycze. Sanitariusze z Brzeszcz cięli

np. piętrowe prycze na pół, tworząc z nich normalne jednokondygnacyjne łóżka. Później pełnili dyżury w poszczególnych blokach szpitalnych – przynosili posiłki, karmili najciężej chorych, przenosili obłożnie chorych do łaźni i na prześwietlenie rentgena, poprawiali łóżka i posłania oraz podawali chorym leki (również dawali zastrzyki).

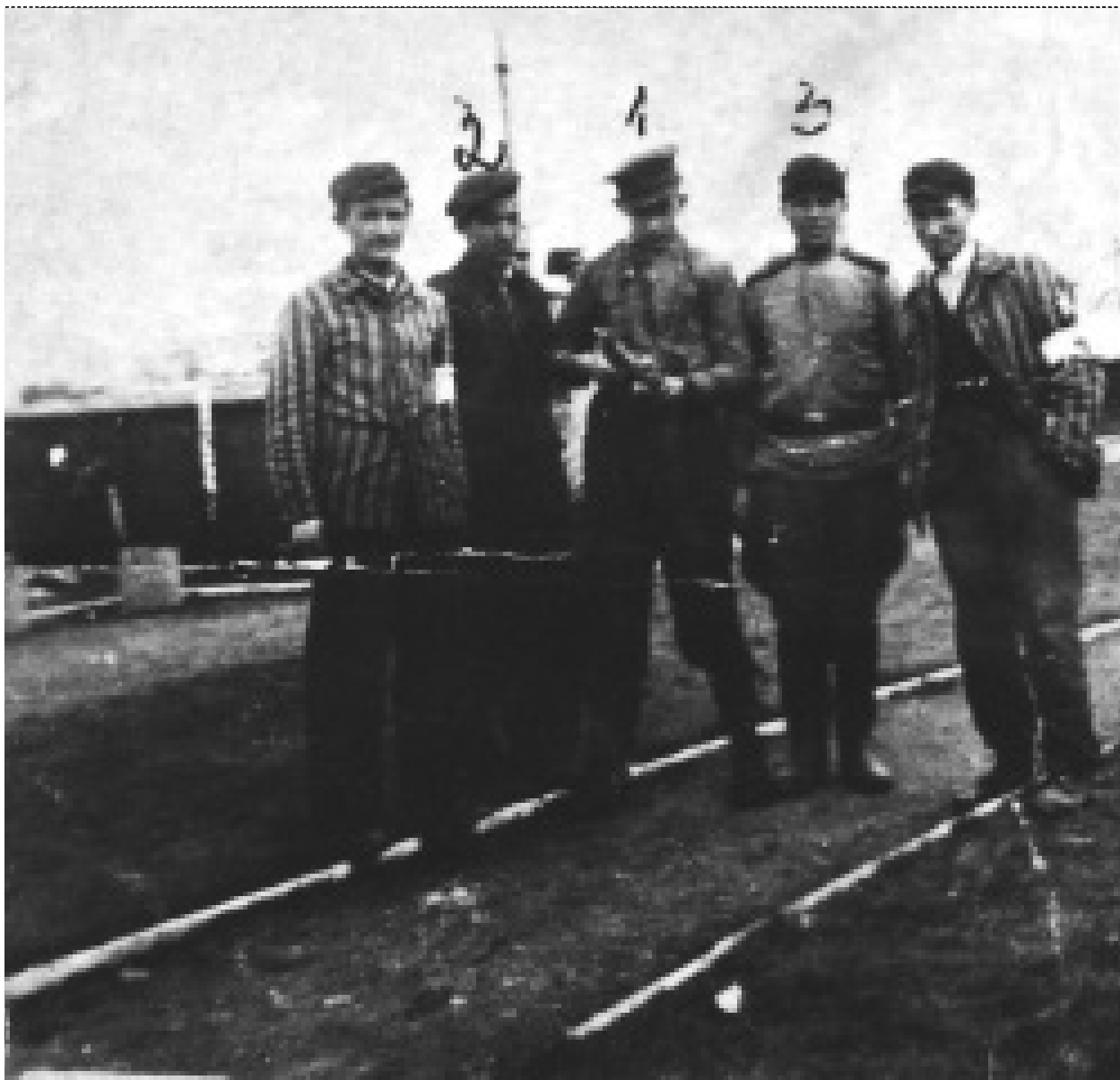
Tymczasem w wyzwolonym dopiero co obozie rozpoczęła się kolejna wędrówka ludów. Większa część oswobodzonych zaczęła przetrząsać otwarte teraz na oścież magazyny i szukać w nich jedzenia i cieplejszej odzieży. Inni, mogąc się wreszcie poruszać swobodnie pomiędzy barakami i obozowymi kwartalami, poszukiwali bliskich i znajomych. Niewielka część wyzwolonych spośród tych, którzy mieli mieszkające w miarę niedaleko rodziny i krewnych, prawie natychmiast wy dostała się z obozu, by pieszo dostać się do bliskich. Od początku pojawiła się też konieczność niesienia pomocy innym, bardziej chorym i zagłodzonym współwięźniom, którzy nie mieli żadnej już energii, aby chodzić o własnych siłach i tym bardziej potrzebowali wsparcia. Także małymi dziećmi wyzwolonymi z obozu musiał natychmiast ktoś się zająć.

Zaraz po przejściu frontu na terenie kopalni Brzeszcze urządzono mały szpital, w którym chorzy i ranni znaleźli pomoc oraz opiekę medyczną. To właśnie tam kierowani byli również cudem ocaleni z marszów śmierci oraz oswobodzeni więźniowie KL Auschwitz. W szpitalu szefowali wspólnie dr Józef Sierankiewicz i dr Marian Zieliński, a sprawami administracyjnymi zajmował się Jan Drzewiecki, sanitariusz z ukończonym kursem PCK. Do pomocy lekarzom służyły pielęgniarki oraz ochotnicy z kopalni. Ochotnicy w pierwszej kolejności zabrali z niemieckiego obozu grupę kobiet z niemowlakami i przywieźli ją na teren swojej kopalni „Brzeszcze”. Jeden z kopalnianych baraków w trybie pilnym przystosowano na potrzeby mieszkalne i tam zakwaterowano wyzwoleńców. Jak wspomina ks. Stanisław Szlachta z parafii Brzeszcze, przywiezione niemowlaki były „półżywe, sine, wynędzniałe i brudne”. Zresztą pięćoro z nich w pierwszych dniach



**Kadr z sowieckiej kroniki filmowej z wyzwolenia obozu
– siostry zakonne prowadzą oswobodzone dzieci
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**





**Ochotnicy PCK z Brzeszcz: 1. Zdzisław Bosek, 2. Adam Kolanko,
3. Żołnierz szpitala sowieckiego, 1945 (Archiwum Państwowego
Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

Samarytanie z kopalni „Brzeszcze”

zmarło, zostały pochowane na cmentarzu w Brzeszczach. Szpital w Brzeszczach funkcjonował do 28 kwietnia 1945 roku, kiedy to wypisani zostali ostatni chorzy, a personel wrócił do swojej normalnej pracy w kopalni.

Do pracy w wyzwolonym obozie włączyli się również wolontariusze z Oświęcimia, z grupą członków tamtejszego oddziału PCK na czele. Grupie tej przewodzili członkowie PCK Alojzy Etgens i Antoni Leśniak oraz lekarze Tadeusz Müller i Bogumił Pietrzyk. Duchowym liderem tej grupy był ksiądz Marian Stawarz. To on od razu na początku odprawił pierwszą mszę świętą w jednym z baraków obozu w Brzezince. Później stało się to normą i w każdą niedzielę o godz. 16 była odprawiana msza święta. Kapłan głoszący homilię podkreślał, że byli więźniowie są chlubą i relikwią Polski. Zachęcał też, aby zemstę za doznane krzywdy pozostawić Bogu. Ksiądz Stawarz był wikarym parafii pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, której proboszczem był ksiądz Jan Skarbek, również zaangażowany w niesienie pomocy oswobodzonym więźniom. Chorymi z Oświęcimia zajmowali się jeszcze księża: Stanisław Rokita, Alfred Hoffman i Jakub Wolf. Katolicy kapłani w ramach swoich obowiązków odprawiali msze święte, sprawowali inne nabożeństwa, spowiadali chorych i dawali im komunię świętą. W czasie długich rozmów księża stawali się powiernikami największych tajemnic byłych więźniów i ich przebytego niewyobrażalnego cierpienia.

W ostatnich dniach stycznia 1945 roku z pomocą chorym wyzwolonym w KL Auschwitz ruszyło kilkanaście sióstr z zakonu serafitek. Grupa zakonnice wykonywała czynności bezpośrednio związane z chorymi, jak karmienie i mycie pacjentów, a także pracowała w kuchni. Serafitki oprócz tego, że zajmowały się chorymi w szpitalu przyobozowym, to na dodatek przyjęły wielu cierpiących pod dach swojego zakonu. Inną grupę zaangażowaną w pracę na terenie dawnego obozu stanowiły siostry urszulanki oraz z zakonu Najświętszej Duszy Chrystusa.

DECYZJA

Styczeń 1945

Mężczyzna postawił kołnierz podniszczonej jesionki, chroniąc się przed wiatrem, poprawił utrzymaną za pazuchą ciężką torbę i ruszył przed siebie. Omijał większe zwały śniegu i jednocześnie uważał, aby przejeżdżające wojskowe ciężarówki za bardzo nie ochlapały mu błotem nogawek spodni, równie sfatygowanych, co jesionka. Widać było, że z poważnym wysiłkiem taszczył swoją walizkę. Można było się tylko domyślać, co się w niej znajdowało. Czy była to pokaźna walówka niesiona do otworzonego dopiero co urzędu, aby załatwić jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę? A może z wyjątkowym trudem zdobyte wiktuały na rodzinny stół? Albo też wyszperane z zakamarków witryn stare bezcenne książki, taszczone teraz do sprzedania za marne grosze jakiemuś szczwanemu antykwariuszowi?

– Bracie! Rodaku! – usłyszał nagle głośnie wołanie gdzieś daleko z tyłu. Ale że w dopiero co oswobodzonym Krakowie braci rodaków były tysiące, początkowo nawet się nie odwrócił skupiony na niesieniu torby, omijaniu zasp i uciekaniu przed lecącym spod samochodowych kół błotem.

Dopiero kolejny okrzyk „Janek!” zatrzymał go w biegu. Mężczyzna odwrócił się i zobaczył zbliżającego się w podskokach, z rozwianą burzą siwych włosów, dawno niewidzianego druha.

– Janek! Ty żyjesz! – Adam Kuryłowicz, do niedawna więzień niemieckiego obozu KL Auschwitz, dopadł Janka i rzucił mu się na szyję. – Żyjesz. Doktorze, rok temu tak nagle zniknąłeś, wszyscy myśleli, że zginąłeś. Brachu!

– Adasiu – zaczął Jan Grabczyński, ale mając przed sobą 18 lat starszego kolegę z sejmową przeszłością, szybko dodał

– panie pośle, kolejarzu najdroższy, miło cię widzieć w zdrowiu. Wiesz, miałem to szczęście i wywinąłem się spod hitlerowskiej kosi. Dużo by opowiadać. Ale co będziemy tak rozmawiać w przeciągu. Wejdźmy gdzieś, ogrzejemy się, pogadamy, a może napijemy się też czegoś na rozgrzewkę? – mrugnął porozumiewawczo okiem do swojego przyjaciela, a ten skwapliwie przystał na propozycję. Na szczęście w niezniszczonym Krakowie co krok czynne były sklepy, szynki, a nawet kawiarnie. Weszli do pierwszego lepszego lokalu, zamówili po kuflu grzanego piwa z miodem i rozsiedli się wygodnie na ławach.

– Mów, co się z tobą działo przez ten cały czas – prosił Adam.

– Miałem nadzwyczajne szczęście. Niewyobrażalne wprost. Wyobraź sobie, w kwietniu 1944 roku Niemcy sami zwolnili mnie z obozu.

– Niemożliwe. Przecież oni sami mówili, że wyjście stamtąd jest jedno – tylko przez komin krematorium.

– No właśnie. Ale ostatniej wiosny szkopy dostawały tak w dupę od Ruskich, że nie mogli się długo pozbierać. Ba, nawet swoich rannych nie byli w stanie dobrze oporządzić. Brakowało im po prostu rąk do pracy – lekarzy, pielęgniarek, sanitariuszy. I chyba tylko dlatego dali mi glejt na wyjście z obozu, ale od razu musiałem zameldować się u jednego esesmana – doktora Wirthsa. To ten SS-Hauptsturmführer skierował mnie do przymusowej pracy w tworzącym się szpitalu dla Niemców w Brzezince, gdzie nadzorowałem oddział chirurgiczny. Później latem ten sam Wirths polecił mi udać się do Gliwic, aby rozpocząć pracę lekarza fabrycznego. Ale tam szybko się zawiąłem i po miesiącu dałem nogę. Do wyzwolenia szczęśliwie ukrywałem się przed Niemcami w Krakowie i okolicach. Tak to się ze mną działo. A co u ciebie?

– Jak widać, ja też doczekałem wolności – uśmiechnął się od ucha do ucha Adam Kuryłowicz. Ale zaraz zmarkotniał, dodając: – Ale było ciężko. Najgorszy czas dla nas w obozie przyszedł wtedy, kiedy szkopy organizowały ewakuację Auschwitz. Na apelu formowali kolumny i od razu gonili wszystkich w drogę. Duża część więźniów i tak została, ponieważ schorowana i zagłodzona nie była

Męska! Męski u. 1/10 roku 1945. Męski u. 1/10 roku 1945. Męski u. 1/10 roku 1945.

. 21016

Nr. 101 291	Gef.-Art. 29	Block																																																																																																																																																
Zu- u. Vorname: Hyla Johann																																																																																																																																																		
Geb.-Datum: 21.11.1902		Geb.-Ort: Ducc																																																																																																																																																
Bevorzugte Post: Hyla Antonia																																																																																																																																																		
Bemerkungen: Lenzkurat		Arbeitskommando: Holzschleiferei																																																																																																																																																
<table border="1" style="width: 100%; border-collapse: collapse;"> <tr> <th></th> <th>1</th> <th>2</th> <th>3</th> <th>4</th> <th>5</th> <th>6</th> <th>7</th> <th>8</th> <th>9</th> <th>10</th> <th>11</th> <th>12</th> </tr> <tr><td>E</td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td></tr> <tr><td>A</td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td></tr> <tr><td>E</td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td></tr> <tr><td>A</td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td></tr> <tr><td>E</td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td></tr> <tr><td>A</td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td></tr> <tr><td>E</td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td></tr> <tr><td>A</td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td></tr> <tr><td>E</td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td></tr> <tr><td>A</td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td><td></td></tr> </table>					1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	E													A													E													A													E													A													E													A													E													A												
	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12																																																																																																																																						
E																																																																																																																																																		
A																																																																																																																																																		
E																																																																																																																																																		
A																																																																																																																																																		
E																																																																																																																																																		
A																																																																																																																																																		
E																																																																																																																																																		
A																																																																																																																																																		
E																																																																																																																																																		
A																																																																																																																																																		

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
E												
A												
E												
A												
E												
A												
E												
A												
E												
A												
E												
A												
E												
A												

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
F												
A												
B												
A												
F												
B												
A												
C												

Dokument obozowy na nazwisko Jan Hyla, więźnia nr 101291
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

Decyzja

w stanie wstać z prycz. Oni nawet nie mogli dowlec się na ten apel. Wtedy esesmani powiedzieli, że ci, którzy zostaną, to zginą, bo cały obóz został zaminowany i będzie wysadzony.

– A ty wyszedłeś?

– Miałem już iść, ale byłem taki słabiutki, że pewnie bym ustał zaraz na początku marszu. I wtedy co? – Kula w łeb i do rowu. Dlatego zostałem. Pomyślałem sobie, że jeśli umierać, to u siebie, w Polsce, a nie gdzieś na poniewierce, wśród obcych.

– I co, szkopy wysadzali?

– Wysadzali. Ale nie baraki z ludźmi, a namacalne, fizyczne ślady swoich zbrodni. Najpierw wysadzili krematoria i komory gazowe, a na koniec podpalili swoje magazyny z rzeczami zrabowanymi więźniom. Kilka dni kopciło po całej okolicy czarnym dymem. Były też jakieś rozstrzeliwania, morderstwa, ale już nie na taką skalę jak wcześniej. Kiedy zagrzmiały działa na wschodzie, a huk ten zbliżył się do Oświęcimia, ostatni esesmani dali nogę z obozu. Ja nie czekałem nawet na wejście Sowietów. Jak na własne oczy zobaczyłem odjeżdżających spod bramy na rowerach ostatnich niemieckich strażników, to dostałem takiej energii, że na własnych nogach przywędrowałem do Krakowa. Wyobraź sobie – moment wcześniej byłem umierający i nieskory do marszu na zachód. Marsz na wschód w tej sytuacji to był dla mnie spacer – entuzjazmował się Kuryłowicz. Chwilę później jednak znowu sposepniał i po kolejnym łyku piwa dodał, poważnie patrząc w oczy Grabczyńskiemu. – Doktorze, tam się dzieją dantejskie sceny...

– Gdzie?

– W obozie. W Oświęcimiu. W Brzezince. Tam co chwila ktoś umiera z głodu, chorób, z zimna. Tam jest kilka tysięcy ludzi, którzy nie są w stanie stanąć o własnych siłach. To chorzy, zagłodzeni, osłabli – wszyscy oni natychmiast wymagają hospitalizacji. Janku, na Boga, musimy coś z tym zrobić.

Sowiecka ciężarówka ZIS-5, rozklekotana na drogach i bezdrożach wielkiej wojny od Moskwy do Krakowa, wyjątkowo szybko

LEKARZ Z AUSCHWITZ

mknęła teraz, pospiesznie pokonując trasę ze stolicy Małopolski do Oświęcimia. Polski kierowca wprawną ręką prowadził wóz, maksymalnie naciskając pedał gazu i z refleksem godnym rewolwerowca omijał wszystkie wyrwy i dziury widoczne na drodze. Czasami tylko pojazd jednym kołem niebezpiecznie wpadał w dziurę ukrytą w kałuży pod równą taflą wody.

Wtedy zarówno kierowca, jak i jego dwóch pasażerów, podskakiwali wysoko z siedzeń, uderzając równocześnie głowami o blaszany sufit kabiny. Głuchy, metaliczny odgłos słychać było wtedy w całej kabinie.

Trzech nieszczęśników opadało po chwili z powrotem na siedziska, klnąc po cichu i masując się dłońmi po nowych guzach. Pomimo takich kilkakrotnych wpadek kierowca ani przez moment nie zwolnił tempa.

Krótki styczniowy dzień zbliżał się ku końcowi, a nocna jazda na drogach Polski, przez którą dopiero co przetoczył się front, nie należała do przyjemności. Oprócz tego, że wątle światła reflektorów niewiele dawały widoku w mroku, to przecież ciągle trwała wojna i tak naprawdę, dla własnego bezpieczeństwa, nie należało w ogóle używać świateł drogowych. Złamanie zakazu całkowitego zaciemnienia mogło przypadkowo zwabić niemieckie samoloty albo, co gorsza, pilnujących porządku na drogach sowieckich żołnierzy.

Pewnie polskim podróżnikom niewiele pomógłby w tym wypadku stosowny dokument wystawiony i podpisany zamasyście przez pełnomocnika rządu Rzeczypospolitej Polskiej i ministra oświaty w jednej osobie Stanisława Skrzyszewskiego. Cóż z tego, że napisano w nim, iż Adam Kuryłowicz i Jan Grabczyński są specjalnymi wysłannikami rządu polskiego, mającymi naocznie zbadać warunki życia byłych więźniów w wyzwolonym dopiero co niemieckim obozie Auschwitz-Birkenau?

Przecież i tak na obszarze Polski prawo stanowili sowieccy żołnierze z pepeszami w rękach, a nie bezbronni polscy cywile, chociażby piastujący już wysokie stanowiska w nowym lubelskim rządzie.



**Widok na mur i blok 11 od strony żwirowiska, wrzesień 1945 r.
Fot. Z. Klewander (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

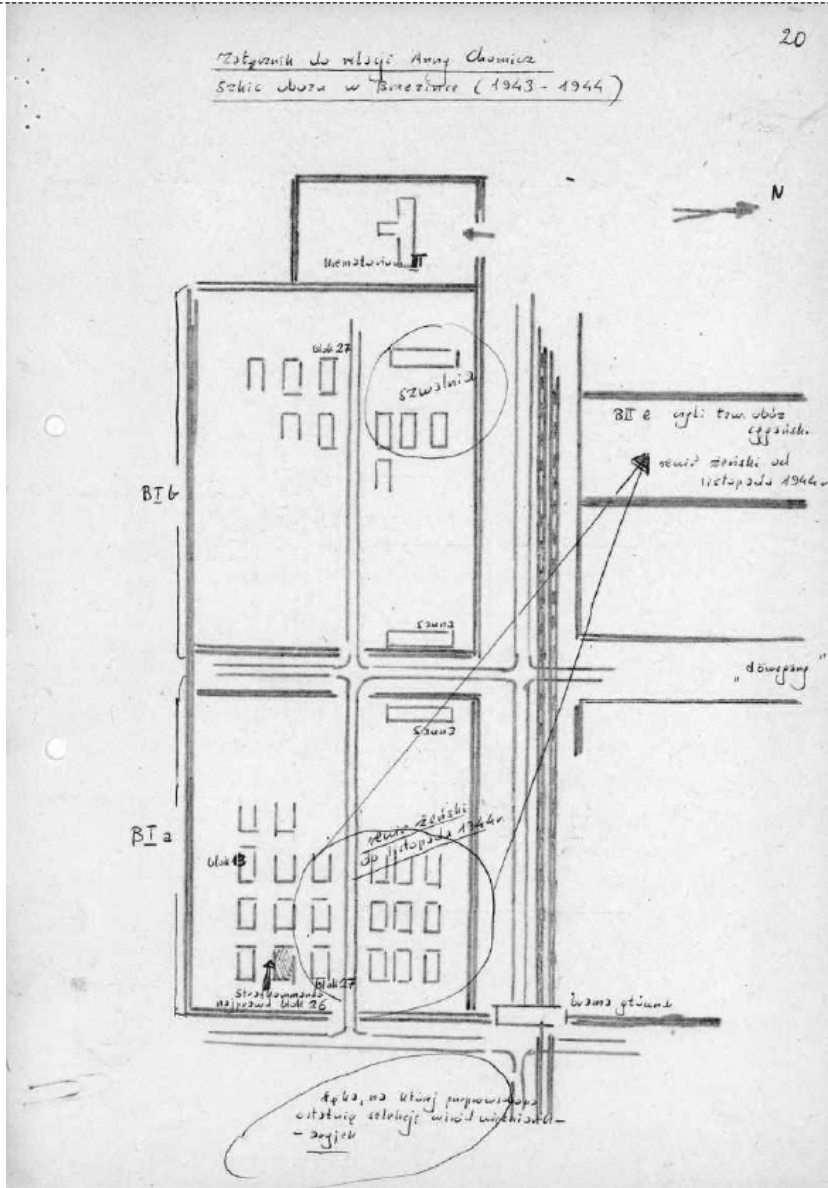
Na szczęście przebyli całą drogę bez przygód i zdążyli przed nocą. Bo kiedy wjeżdżali do Oświęcimia, czerwona tarcza słońca zbliżała się ku zachodowi. Na rogatek miasteczka stojący z karabinami wartownicy nawet ich nie zatrzymywali, tylko machnęli ręką, aby jechać dalej. Po ulicach jednak jechali już wolniej, ostrożniej. Omijali większe dziury wyłobione w bruku i wypatrywali tabliczek z napisem „miny”. Tutaj zdawało się już bezpiecznie i spokojnie. Mijane informacje głosiły jedynie, że *min niet*. Im bliżej byli obozu, tym częściej spotykali grupki byłych więźniów w pasiakach. To widocznie ozdrowieńcy, którzy nabrali na tyle sił, aby spróbować na własną rękę wyjść z obozu i dotrzeć do swoich. Tych grupek było coraz więcej i więcej, aż kręcący się wszędzie wokół więźniowie całkowicie zablokowali drogi dojazdowe. Zaraz też stojące już auto otoczyli ludzie w pasiakach, zaglądając we wszystkie kąty i dokładnie sprawdzając pustą pakę. Wygłodzeni miesiącami ludzie, pomimo funkcjonowania sowieckich kuchni polowych widocznie szukali jedzenia. Niejednemu marzyły się zapomniane dania sprzed wojny, okraszone wykwintnymi przyprawami, z dodatkiem warzyw i owoców. Ale kto na przednówku mógł mieć pomidory, marchewkę i jabłka? Więźniowie dostali więc tylko parę sucharów, które miał przy sobie zapobiegliwy kierowca. Nie było innej rady, niż pozostawienie samochodu z szoferem w tym miejscu. W dalszą drogę ruszyli we dwóch, mijając po drodze gromadki ludzi rozmawiających w najróżniejszych językach świata oraz kilku żołnierzy. To Rosjanie skierowali ich w końcu do bloku nr 21 i po przejściu oryginalnej bramy z wykutym napisem znaleźli się na terenie obozu. Dobrze trafili, ponieważ to w tym baraku funkcjonował improwizowany szpitalik prowadzony przez byłych więźniów, z zawodu lekarzy. W słabo oświetlonej lampą naftową izbie, przy łóżkach z chorymi z pomocą kilku kobiet dwóili się i troili doktorzy: Maurycy Samuel Steinberg z Francji, Jakub Wollmann z Czechosłowacji i Jakub Gordon z Polski. Pośród chorych znajdował się również dr Jerzy Kwarta, który mimo choroby również dawał medyczne rady cierpiącym. Otrzymane informacje nie napawały optymizmem. Pomimo wyzwolenia i wyjścia

Decyzja

z Auschwitz ogromnej rzeszy więźniów, w obozie głównym i podobozach znajdowało się jeszcze około 7000 chorych, którzy potrzebowali natychmiastowej opieki lekarskiej i szpitalnej. Obóz w Oświęcimiu to podobno i tak miała być „bajka” w porównaniu do KL Birkenau.

– Jedźcie do Brzezinki – mówili Grabczyńskiemu i Kuryłowiczowi lekarze z improwizowanej medycznej placówki. – Tam naprawdę zrozumiecie, co tutaj się dzieje i czego nam potrzeba, żeby uratować tych wszystkich ludzi. Jedźcie do Brzezinki.

Chwilę później ich ZIS-5 miał już błoto w wyjeżdżonych koleinach prowadzących do bramy i kolejowej rampy w Birkenau. Przy rampie zatrzymali samochód i wyszli z kabiny, rozglądając się wokół. Jakże obóz w Brzezince różnił się od zabudowań obozu macierzystego. Tutaj było pusto, gdyż chodzący o własnych siłach więźniowie już dawno opuścili to miejsce. Drewniane parterowe baraki rozrzucone na znacznym obszarze wyglądały na całkowicie wyludnione w porównaniu do murowanych piętrowych budynków w Oświęcimiu. Tylko w niektórych tliły się jakieś iskry światła. Idąc za tymi światłami, trafili w końcu do baraku przypominającego izbę chorych. W ogrzewanym, ale wciąż zimnym budynku od łóżka do łóżka biegała doktor Katarzyna Łaniewska i doktor Otto Wolken. Nie mieli czasu na dłuższe rozmowy z przybyszami, a na zadawane pytania odpowiadali zdawkowo. Pomimo tego Jan Grabczyński i Adam Kuryłowicz słuchali bardzo uważnie, a ten pierwszy szybko notował ołówkiem w grubym brulionie najważniejsze przekazywane informacje: „Brzezinka: baraki pełne chorych, umierających ludzi. Brak instalacji elektrycznej i wodociągowej. Należy jak najprędzej wywieźć z obozu umysłowo chorych w liczbie kilkudziesięciu (są pośród nich furiaci). Trzeba jak najszybciej wywieźć z obozu dzieci sieroty, nieposiadające tutaj matek i ojców. **NAJWAŻNIEJSZE!** Do obozów Oświęcim i Brzezinka trzeba przywieźć odpowiednią liczbę lekarzy, pielęgniarek, sanitariuszy i kucharzy!”.



**Szkic fragmentu obozu Birkenau – załącznik do wspomnień więźniarki Anny Chomicz
 (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

NARADA

Styczeń 1945

– To się nie uda. To się nie może udać! – mówił zbyt głośno mężczyzna, miotając się po pokoju. Wszyscy zgromadzeni patrzyli na niego, a on – znany krakowski lekarz i przedwojenny epidemiolog dr Mieczysław Bilek, aktualny kierownik Wydziału Zdrowia Województwa Krakowskiego, przywołał już wszystkie możliwe argumenty, aby przedstawić swój negatywny stosunek do pomysłu przetransportowania wszystkich chorych z obozu Auschwitz-Birkenau do Krakowa i rozmieszczenia ich w miejscowych szpitalach. Teraz bezsilny chodził w kółko i powtarzał swoją ostatnią myśl:

– To się nie może udać. To się nie powinno udać! – Wreszcie usiadł spocony i trącił w ramię swojego asystenta, który wstał i chciał rozpocząć czytanie notatek. Ale zanim zaczął, wtrącił się minister Jan Karol Wende:

– Czy nie ma możliwości transportowych, aby przewieźć tych ludzi?

– Ależ skąd – zachnął się pełnomocnik rządu i minister Stanisław Skrzyszewski. Na te słowa delegat armii sowieckiej, rozumiejący doskonale po polsku, musiał dopowiedzieć swoje propagandowe i optymistyczne bolszewickie trzy grosze:

– W każdej chwili i w każde miejsce możemy podstawić kilkadziesiąt wojskowych ciężarówek, nie licząc podwód konnych, zmobilizowanych wśród miejscowych chłopów. Z wojskowego punktu widzenia jesteśmy w stanie przetransportować kilka tysięcy ludzi w ciągu kilku dni.

– To w czym tkwi problem? – Wende ponownie spojrzał na rozgrzanego dyskusją Bilka. Ten chmurnie popatrzył na ministra

LEKARZ Z AUSCHWITZ

i nie chcąc ponownie rozprawiać o naukowo-medycznych aspektach niebezpieczeństw wystąpienia groźnych epidemii, zrezygnowany jeszcze raz stuknął w rękę asystenta. Ten zaś, cały czas stojący prawie na baczność, wreszcie zaczął czytać z kartki, posiłkując się spisanyymi danymi liczbowymi. Trwało to dość długo, kiedy po przedstawieniu szczegółowych wyliczeń liczby łóżek w tym i tym szpitalu, mężczyzna podsumował swoje wystąpienie:

– Po przejściu frontu i pożogi wojennej na dzień dzisiejszy krakowskie szpitale nie dysponują żadnymi wolnymi miejscami. Naturalnie można próbować ratować sytuację. Ze szpitali natychmiast wypisać lekko chorych i ozdrowieńców. Próbować dostawiać łóżka, materace na korytarzach, w piwnicach i suterrenach. Można pokusić się nawet o zorganizowanie prowizorycznych izb chorych, np. w szkołach czy w zakładach pracy. Ale po wnikliwym przeliczeniu daje nam to dodatkowo około 1000, 1500 miejsc szpitalnych. W perspektywie potrzeb siedmiotysięcznych jest to i tak liczba niewystarczająca.

– A przecież to nie wszystko – zerwał się z miejsca Bilek, który widocznie złapał drugi oddech i w bardziej prostych słowach próbował ponownie opowiedzieć o niebezpieczeństwie masowej zarazy. – Musimy pamiętać, że chorzy z obozu mają choroby zakaźne, jak dur brzuszny, gruźlica i licho wie, co jeszcze. Niemcy przecież bawili się tam w drastyczne doświadczenia medyczne i zakazali więźniów najróżniejszymi chorobami. Teraz mam pytanie do panów ministrów: czy Kraków stać na to, żeby te wirusy ściągnąć do siebie, do miasta? Czy nie grozi to wybuchem masowej epidemii, której nie będziemy w stanie zatrzymać?

– Wybuch epidemii to grozi, ale tam, w Oświęcimiu i Brzezince!
– Nie wytrzymał Kuryłowicz.

– Tam chorzy ludzie nie mają sił wstać. Oni leżą i robią pod siebie. Byli więźniowie umierają w swoich odchodach. Nie ma wody, nie ma latryny, nie ma światła, nie ma ogrzewania. Niczego nie ma – wyliczał podekscytowany Grabczyński.

– A czy sowieckie szpitale polowe mogą wziąć na siebie opiekę nad tymi ludźmi? – Skrzyszewski pytająco spojrział na Rosjanina.

Narada

– W żadnym razie. W tej chwili jest tam bodajże jeden czy dwa nasze szpitale polowe, ale to zaledwie kilka, kilkanaście osób – lekarzy i pielęgniarek. Oni nie są w stanie podołać tym obowiązkom. Zresztą kiedy ruszy front, szpital polowy pójdzie na zachód za armią. Musicie wymyślić coś innego.

– To może rozwieźć chorych do szpitali w różnych sąsiednich miastach? Zamiast znaleźć 7000 miejsc w Krakowie, to znaleźć załóżmy na to po 400 miejsc w dużych miastach i po 100 w mniejszych sąsiednich miejscowościach? – rozmyślał na głos Wende.

– I rozprzestrzenić pandemię po całym kraju... – powiedział cicho pod nosem Bilek, ale i tak wszyscy doskonale go usłyszeli.

– To nie jest chyba dobry pomysł ze względów zarówno organizacyjnych, jak i ewidencyjnych. Pamiętajmy, że chorzy pochodzą z różnych krajów, posługują się różnymi językami. Nie mamy ich dokumentów, ewidencji, spisu chorób. Wątpię, że istnieją takie dokumenty w obozie... – rozumował logicznie prezes krakowskiego okręgu PCK płk Stanisław Plappert, którego od razu poparli w tej kwestii inni działacze krakowskiego PCK – Kostarczyk i Trzebiński.

– To co możemy zrobić? – minister Wende specjalnie długo przeciągnął pytanie i powiódł wzrokiem po uczestnikach zebrania. – Cóż robić?

– Ja mam propozycję i przemyślany prosty projekt! – w końcu sali podniósł się z krzesła milczący dotychczas korpulentny, blisko 60-letni mężczyzna. – Panowie, my już mamy wszystko omówione i zaplanowane. Już kilka dni temu przeprowadziliśmy naradę w swoim gronie. I ja ze swoim zespołem proponujemy rozwiązanie tego palącego problemu. Obejdzie się bez szukania miejsc w krakowskich szpitalach i organizowania transportu. Nie będzie epidemii, która rozprzestrzeni się po Małopolsce i nie będziemy musieli liczyć na pomoc medyków ze Wschodu. – Powiódł wzrokiem zwycięzcy po uczestnikach narady, ale widząc tylko nic nierozumiejące miny zebranych, szybko dopowiedział: – Zorganizujemy szpital tam, na miejscu, w Oświęcimiu. Mam już zespół zaufanych

LEKARZ Z AUSCHWITZ

i doświadczonych lekarzy, a ja na ich czele osobiście mogę pokierować pracami tej wyjątkowej medycznej placówki.

– Kto to jest? – zapytał cichcem siedzącego obok Skrzyszewskiego sowiecki oficer, który do tej pory nic nie wiedział na temat błyskotliwego 60-latka.

– To Józef Bellert, z Warszawy – powiedział cicho Skrzyszewski, aby nie przerywać toku wypowiedzi perorującego doktora.

– A coś więcej? – dopytywał wyjątkowo ciekawski Sowiet, powiązany widocznie z NKWD, który już w pamięci zakonotował sobie wcześniej, że dr Bilek żadną miarą nie chce zapisać się do partii PPR, a płk Plappert był przedstawicielem PCK w niemieckiej komisji przy badaniu grobów katyńskich w 1943 roku.

– Doktor wszech nauk medycznych, ewakuowany z całym szpitalem PCK przez Niemców po zakończeniu powstania w Warszawie.

– Ach... Pewny to człowiek? – drążył temat Rosjanin, a Skrzyszewski wzruszył tylko ramionami, z coraz większym zaciekawieniem słuchając wywodów Bellerta, który przedstawiał wizję swojej koncepcji szpitala w dawnym obozie, a na ciężące wiecznie pytające spojrzenia dopowiadał: – Reprezentuję grupę lekarzy i pielęgniarek z warszawskiego szpitala PCK, który Niemcy po kapitulacji powstania ewakuowali razem z chorymi do Krakowa. Ja już byłem w obozie koncentracyjnym. Durchgangslager Pruszków. Po powstaniu. Naprawdę nie trzeba komór gazowych, żeby uśmiercać hurtowo ludzi. Brak fachowej pomocy lekarskiej, brak higieny wystarczy w zupełności.

Na wojennych frontach widziałem niejedno. Mam doświadczenia z pracy lekarza z pierwszej wojny – zawahał się na moment zerkając na sowieckiego oficera – z innych... batalii..., z września 1939 roku. Pod niemieckimi bombami operowałem rannych w Warszawie w czasie powstania i niosłem pomoc umierającym już po zakończeniu walk. Dam radę.

– Zorganizuje pan w obozie koncentracyjnym szpital polowy dla 7000 ludzi?! – zachnął się Skrzyszewski, traktując to wszystko



**Józef Bellert przy biurku podczas pracy w szpitalu
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**



Grupowe zdjęcie członków szpitala PCK wraz z członkami sowieckiego szpitala polowego. Trzeci od lewej (na pierwszym planie) z notesem w ręku Józef Bellert, obok niego mjr lekarz Żylinskaja (z torbą w ręku), w głębi pod ścianą w białym fartuchu pielęgniarka Maria Rogoż, na tle okna uśmiechnięta pielęgniarka Ewa Nowosielska (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)





Oswobodzone dzieci – więźniowie KL Auschwitz za drutami obozowego ogrodzenia w obozie macierzystym, 1945 r. Z tyłu z lewej strony widoczna opiekująca się dziećmi siostra zakonna Tacjana Pożarowszczyk (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

jako wyjątkowo nieśmieszny kawał albo niespełnioną wizję nieleczzonego od dawna wariata.

– Pyta pan prywatnie czy służbowo? Służbowo odpowiedź brzmi: tak! Zrobię to, jakem Bellert. Jesteśmy to winni tym nie-szczęśnikom jako Polacy, jako reprezentanci wspólnoty, której na imię Polska, jako lekarze, którzy składali przysięgę Hipokratesa.

A prywatnie – ja jestem im to winien. Mnie się udało – pół mojego szpitala Niemcy wymordowali albo wywieźli do obozów. Przeżyłem bombardowania i ostrzał „krowami”. I cały czas zadaję sobie pytanie, dlaczego ja ocalałem, a innym tak się nie poszczęściło. Więc chcę tam pójść. Nie sam, tylko z grupą takich samych wariatów jak ja.

– Ale proszę pamiętać, że nie dysponujemy w tej chwili żadnymi środkami finansowymi na organizację tego szpitala. Prawda, panie ministrze? – Wende spojrział pytająco na Skrzyszewskiego.

Ten kiwnął potakująco głową.

– Nie potrzebujemy pieniędzy – łagodnie odpowiedział Bellert. – My jesteśmy uciekinierami z Warszawy, tułaczami tutaj. Nam wystarczy tylko dach nad głową i jakieś jedzenie.

Ale Bilek zadowolony, że wreszcie jego koncepcja w jakimś sensie zwyciężyła, dodał:

– Początkowo możemy dać wam dwa tysiące złotych z Wydziału Zdrowia Województwa Krakowskiego na koszty administracyjne placówki. A później się zobaczy.

– A my – wspaniałomyślnie dopowiedział sowiecki oficer – zapewnimy waszemu szpitalowi jedzenie. Już teraz w Oświęcimiu pracuje kilka naszych kuchni polowych.

– Dobrze – podsumowywał naradę Wende, ocierając równocześnie chusteczką spocone czoło. – A zatem, panie doktorze Bellert, mianuję pana kierownikiem szpitala PCK w Oświęcimiu, a jednocześnie lekarzem naczelnym tej placówki.

W ostatnich dniach stycznia 1945 roku w krakowskim Hotelu Francuskim odbyło się jeszcze kilka narad, w których uczestniczyli: pełnomocnik rządu Jan Karol Wende, dr Stanisław Skrzyszowski oraz kierownik Wydziału Zdrowia Województwa Krakowskiego docent Mieczysław Bilek.



**Dr Józef Bellert i członkowie komisji, która wizytowała szpital
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

– Panie pełnomocniku, to już kolejny szpital, który przychodzi mi organizować na kamieniu. Wiem, co robić. Wszędzie bałagan i tragedia wyglądają tak samo. Różnica tkwi w ich skali. A wyzwanie polega na tym, żeby z chaosu przeprowadzić przedsięwzięcie do pełnego prostoty porządku.

– Czyli? – dopytywał Wende.

– Czyli część decyzji możemy podjąć tutaj. Kobiety ciężarne i panie, które karmią, trzeba wyprowadzić poza obóz. Oseski z mamusiami. Potrzebuję kilku placówek, które przyjmą rolę szpitali przejściowych. Oczywiście, mówię o w miarę zdrowych pacjentkach, a nie tych wymagających głębokiej hospitalizacji – tłumaczył Bellert. – Musimy podzielić całą robotę na proste segmenty do opanowania. Panowie przynieśli informacje o obłąkanych. Trzeba niezwłocznie ich odizolować. Zajmują więcej czasu i wymagają więcej personelu niż zdrowi chorzy. Czego panom nie muszę tłumaczyć.

– Ilu tylko można, ściągniemy do Kliniki Psychiatrycznej na Kopernika w Krakowie – zadeklarował Bilek – a o personel pomocniczy poprosimy jeszcze zakony żeńskie. I tak już tam urzędują. To poprosimy o więcej sióstr. Nawet tych bez przygotowania medycznego.

– Dobrze, ale proszę też pamiętać, że wybieramy się do prawdziwej stajni Augiasza. Gdzie szpital polowy, tam zawsze ludzie robią pod siebie. Dosłownie. Szpital normalnie, kiedy chory może krzyknąć: „Siostró, basen”, i ten basen ktoś mu wsunie pod tyłek. Zatem... Ludzi trzeba leczyć, ale szpital trzeba oczyścić, odskrobać do żywego i odkazić. Do tego potrzebuję mężczyzn. Młodych i silnych. Jak najwięcej.

– Tam obok obozu, w Brzeszczach, utworzono samorzutnie szpital. Ludność znosi jedzenie, lekarstwa. Są wolontariusze Czerwonego Krzyża, więc może sięgnijmy po nich.

– Dobry pomysł, potrzeba takich, którzy widzieli już niejedno i nie boją się naprawdę ciężkiej roboty.

W ciągu dwóch pierwszych dni od decyzji zorganizowano zespół ochotników PCK, który w jak najszybszym czasie miał

LEKARZ Z AUSCHWITZ

wyjechać do Oświęcimia. Członkowie tego pierwszego zespołu wywodzili się najczęściej z personelu medycznego Warszawy, ewakuowanego przez Niemców po zakończeniu powstania warszawskiego. Na czele zespołu stanął dr Józef Bellert, a towarzyszyli mu lekarze: Jan Perzyński, Jan Jodłowski, Jadwiga Magnuszewska, Zdzisław Makomski. W skład grupy wchodziło ponadto absolwenci studiów medycznych (Józef Grenda i Andrzej Zaorski), kierownik kancelarii szpitala (Henryk Kodź), kilkanaście pielęgniarek (z przełożoną Genowefą Przybysz na czele) oraz około 20 sanitariuszek i sanitariuszy. Razem dawało to trzydzieści kilka osób.



**Dzień imienin dr. Jana Jodłowskiego. Dr Jodłowski z Lidią Połońską
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

PIERWSI RATOWNICY

Styczeń 1945

– *Requiem aeternam donna eis Domine* – mówił pospiesznie ksiądz Stanisław Szlachta nad obszernym grobem, starając się plecami odwrócić w stronę dmącego uporczywie wiatru. Jednak nawet taki manewr niewiele pomógł kapłanowi, bowiem następujące po sobie podmuchy, co rusz targały wystający spod płaszcza dół jego sutanny i unosiły wysoko w górę końcówki stuły. Najgorsze i tak było dmuchanie chłodem po odkrytych uszach. Ksiądz nie miał zamiaru przechodzić kolejnego tej zimy zapalenia ucha środkowego. Zresztą w ostatnich miesiącach tyle się działo w jego parafii w Brzeszczach, że w ogóle nie miał czasu na swoje choroby i własne dolegliwości. Właśnie kończył się pogrzeb więźniów obozu Auschwitz, którzy padli w czasie marszu ewakuacyjnego i zostali dobici przez Niemców. W rejonie Brzeszcz po przejściu marszów śmierci znaleziono kilkanaście takich ciał, które należało najspieszniej sprzątnąć i po katolicku pochować.

– *Requiescant in pace. Amen* – kończył modlitwę ks. Szlachta, stojąc nad kolejnym tej wojny, świeżym grobem na cmentarzu w Brzeszczach. Kiedy grabarz zaczął zasypywać zmarzniętą ziemią trumnę, ksiądz spiesznie pożegnał się i wyszedł wraz z ministrantami z cmentarza, widocznie mając już następną posługę czy misję do spełnienia. Wrócił do plebanii i w biegu wypił ciepłą herbatę przygotowaną przez gospozię, co nieco się rozgrzewając. Po chwili jednak ponownie gotów był do drogi. Wyszedł z pomieszczenia, chwycił wysłużony rower i ruszył w kierunku wschodnim. Z trudnością przejechał kilkaset metrów, mozolnie naciskając na pedały bicykla i mieląc kołami śnieg rozdrobniony już wcześniej

setkami kół i tysiącem nóg. Kiedy ujrzał czekającego przy drodze mężczyznę, z prawdziwą satysfakcją zsiadł z roweru i doszedł kawałek, prowadząc wehikuł mało przydatny w tych warunkach atmosferycznych.

– Pochwalony Jezus Chrystus! – zakrzyknął na widok zdrożonego i spoconego kapłana umówiony z nim w tym miejscu doktor Marian Zieliński.

– Na wieki wieków... – odrzekł umęczony jazdą rowerem duchowny.

– Ksiądz ma zbędny ten rower?

– Na taką drogę to rzeczywiście niepotrzebny chyba ciężar...

– A chce się go ksiądz pozbyć?

– Znaczy oddać, sprzedać? – na potakujący znak doktora, ksiądz szybko dodał – skądże znowu. Co to, to nie. To mój jedyny niezależny środek lokomocji. Przy dobrych koligacjach z wiernymi, w dłuższe trasy jeżdżę podstawioną przez nich bryczką. Ale na krótkie odcinki wystarczą mi własne nogi albo ten rower.

– To ja szczerze nie radzę zabierać tego bicykla do Brzezinki.

– Dlaczego? – szczerze zdziwił się ksiądz, patrząc sceptycznie na starą, ale ciągle sprawną maszynę.

– We wsi chodzą słuchy, że ruscy żołnierze kolekcjonują nie tylko zegarki... – mrugnął porozumiewawczo lekarz, ale nie uśmiechnął się nawet na chwilę.

– Poważnie?

– Jak najbardziej poważnie. Jeśli chce ksiądz zachować ten rower, to dla spokojności sumienia radzę zostawić go na swojej plebanii.

– Skoro doktor tak mówi... – z pewnym niedowierzaniem kapłan wpatrywał się w twarz Zielińskiego, ale kiedy nie wyczytał z niej ani krzty drwiny, zrezygnowany zawrócił i prowadząc rower, powlókł się z powrotem w stronę kościoła.

– Mam coś lepszego niż rower – mówił lekarz sięgając za pazuchę, kiedy po kilku minutach, już bez bicykla, szli razem w stronę Brzezinki.

– Cóż tam pan doktor skrywa?

– A to! – w geście zwycięstwa na wyciągniętej dłoni dr. Zielińskiego znalazły się dwie białe opaski z czerwonym krzyżem. – Proszę księdza, proszę to założyć. Zawsze jest jakieś zabezpieczenie w razie czego. Te opaski roweru by nam nie ocaliły, ale życie może i owszem.

– Niech pan doktor nie kusi losu...

Przekomarzając się nawzajem i opowiadając sobie najświeższe wiadomości z frontu oraz lokalne plotki z życia mieszkańców, dwóch mężczyzn dziarsko maszerowało na wschód. Niestety wybrali mniej uczęszczaną trasę, prowadzącą w stronę byłego obozu Birkenau i mimo rozglądania się wokoło nie spotkali po drodze żadnej podwózki – żadnego samochodu, sań czy nawet zaprzęgniętej w konie furmanki. Pomimo to na ciekawej rozmowie prawie półtoragodzinną wędrówka minęła im bardzo szybko. Kiedy weszli na teren Birkenau, rzeczywisty obraz wyzwolonego przecież obozu całkowicie przerósł ich wstępne oczekiwania. Przyszli tu do pomocy, ale ich cztery ręce gotowe do pracy nic nie znaczyły wobec potrzeb kilku tysięcy ciężko chorych byłych więźniów od zaraz potrzebujących hospitalizacji. Po rozejrzeniu się w sytuacji i dr Zieliński, i ks. Szlachta postanowili natychmiast wrócić do Brzeszcz i zorganizować pomoc na miarę potrzeb pozostających w Brzezince chorych oraz stosownie do swoich skromnych wojennych możliwości.

Końskie kopyta równo uderzały o zlodowaciały śnieg, wyrzucając ku górze grudy ziemi i białe okruchy kryształowych iskrzących drobin, ciągnąc za sobą śnieżną mgławicę pomieszaną z parą buchającą z ich odkrytych, spoconych w biegu boków. Pomimo mroźnej aury odpowiednio podkute na zimę konie nie musiały obawiać się poślizgu i złamania kończyn – gnały do przodu radośnie, że wreszcie mogą wyjść ze stajni i nacieszyć się śnieżnym szaleństwem. Pierwsza tegoroczna sanna wyglądała wspaniale, znacząc przebytą drogę śladami kopyt, śladem płoz sań i chmurą tumanu pozostawioną po sobie w powietrzu. Dwa dobrze odżywione wierzchowce ciągnące stare sanie tylko śmiały na



**Pogrzeb bestialsko pomordowanych przez Niemców więźniów obozu.
Ekshumacja zwłok z obozu Birkenau na cmentarz przy obozie macierzystym
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, 28 lutego 1945)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

śnieżnym, zatopionym w bieli trawie, który wyznaczały przed nimi jedynie rzędy równo rosnących przy rowach drzew. Spocione w biegu końskie ciała parowały, dodatkowo para wydobywała się też z ich otwartych pysków. Szybki bieg wcale nie męczył koni. Wręcz przeciwnie – wydawało się, że śnieżna eskapada sprawia im wiele radości.

Nie sposób było powiedzieć podobnie o woźnicy i pasażerach tego wehikułu. Surowe twarze mężczyzn zdradzały jakąś wyjątkową powagę i skupienie. Czasami nawet z ich źrenic można było odczytać jakieś nerwowe oczekiwanie, a może nawet lęk? Woźnica opatulony w schodzony kozuch dziarsko wywijał co chwila batem, strzelając nad zadami koni i popędzając je do szybkiego biegu. Pozostali pasażerowie upchani z tyłu sań, zakopani pod stertą koców i futer zatopieni byli we własnych myślach. W żaden sposób nie cieszył ich mijany po drodze zimowy pejzaż. Nawet radośnie słońce migające na ich twarzach, kryjące się za gałęziami drzew i pojawiające po chwili znowu, nie wydobywało z kącików ich ust nawet cienia uśmiechu. Misja, z którą jechali do miasta, to była bardzo poważna sprawa, niedająca się zbyć żadnym dowcipem czy żartem.

Szybka, przyjemna sanna skończyła się z chwilą wjazdu do Oświęcimia. Przy pierwszych opłotkach stały już sowieckie warty, sprawdzające każdego zdążającego do miasta i z niego wychodzącego. Z wyjątkiem wojskowych pojazdów ma się rozumieć. Choć i tu zdarzały się wyjątki. Sanie z podróżnymi musiały odstać dobre kilkanaście minut w kolejce, bowiem jakiś nadgorliwy widać i młodociany bojec-wartownik, zatrzymał przed nimi do kontroli wojskową ciężarówkę. Nie przejmując się żartami znajdujących się w pojeździe starszych weteranów wojny, dokładnie sprawdził im dokumenty. W odpowiedzi na uszczypliwe uwagi pod swoim adresem zaczął obchodzić samochód, szczególnie badając jego stan techniczny. Skończył po dłuższym czasie,

Pierwsi ratownicy

a kiedy zezwolił na jazdę, z ciężarówki zegnały go gwizdy, przekleństwa i niewybredne żarty. Z cywilnymi podróżnymi poszło znacznie szybciej i wkrótce sanie mogły powoli sunąć ulicami Oświęcimia.

Podjechali do obozu od strony Soły i pośród zwałów nieodgarniętego śniegu, przez bramę znajdującą się przy willi komendanta obozu, próbowali dostać się do środka. Zaraz za bramą spłoszone konie, rozdrażnione czymś i wyjątkowo bojaźliwe, stanęły jak wryte i nie chciały dalej jechać. Woźnica szybko zeskoczył z kozła i stanął przy swoich podopiecznych. Początkowo tłumaczył im coś i głaskał po grzywach, trzymając mocno za uprząż próbował perswazją i własnym przykładem zachęcić zwierzęta do zrobienia kilku pierwszych kroków. Ale wierchowce, którym po długiej jeździe z grzbietów unosiły się kłęby pary, stały jak posągi i ani Boże mój. Z sań zeskoczyli pozostali mężczyźni i próbowali pomóc woźnicy. On ciągnął do przodu z całych sił konie za uprząż, a oni pchali sanie od tyłu. Jednak tym sposobem zrobiono może zaledwie kilka drobnych kroczków, tracąc mnóstwo sił na szarpnięcie się z końmi i saniami. Nie było innego wyjścia, woźnica klął głośno, na czym świat stoi, sięgnął po bat.

– Ażeby was darmożjady ta święta ziemia pochłonęła. Ażebyśta już owsa nigdy nie zaznały. Ażeby wam te chude giry połamały się na lodzie. Żeby wam flaki pogniły – wymyślał gospodarz, może zwykle i dobry, ale teraz rozwścieczony postawą swoich podopiecznych trząsał batem ponad końskimi grzbietami. Niewiele to jednak pomogło. Konie kładły uszy po sobie, kręciły się w miejscu, kopały pod sobą kopytami, ale nie zrobiły ani kroku do przodu.

Zniechęceni uporem zwierząt mężczyźni chcieli zrezygnować, postanowili zostawić tu woźnicę z saniami, a dalszą drogę przebyć pieszo, brnąc w zaspach. Dopiero na stanowczą prośbę gospodarza zdecydowali się spróbować raz jeszcze. Pasażerowie sań ponownie stanęli z tyłu i z całej siły napani na srąbek. W tym czasie woźnica chwycił za końskie orzędle, pociągnął i jednocześnie smagnął batem po końskich grzbietach.



Chorzy, byli więźniowie KL Auschwitz II-Birkenau, przewożeni podwodami do murowanych bloków obozu macierzystego (luty 1945 r., fot. B. Borysow, Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

Pierwsi ratownicy

Piekący ból od uderzenia rzemiennym biczem zrobił swoje i strochnięte wierzchowce kwiknęły, podskoczyły do góry i ruszyły nagle przed siebie prawie wywracając trzymającego uprząż woźnicę, który pociągnięty do przodu, musiał w podskokach biec za saniami. Mężczyźni z tyłu też o mało co nie wywrócili się w śnieg. Łapiąc równowagę i podtrzymując się nawzajem patrzyli ze zdziwieniem, jak sanie, sunąc równą wydawałoby się drogą, ciągle podskakują na ukrytych pod śniegiem nierównościach. Po kilkudziesięciu metrach takiej eskapady, podczas której woźnica cudem uniknął upadku, udało mu się wreszcie zatrzymać wierzchowce. Pomogli mu w tym sowieccy żołnierze z obsługi kuchni, którzy pracowali nieopodal i zjawili się przy bramie zwabieni krzykami i wyzwiskami. Woźnica, najwyraźniej już uspokojony, odrzucił bat na sanie i trzymając konie krótko za uprząż, tłumaczył im coś cierpliwie, wynosząc je teraz pod niebiosa i przepraszając za użycie siły. W tym czasie Sowietci zaczęli mu coś tłumaczyć, wskazując na drogę prowadzącą do bramy, ale on, zajęty swoimi pupilami, nie bardzo wiedział, co chcą mu przekazać w obcym dla niego języku.

– *Nielzja! Nielzja!* – wykrzykiwały sowieckie kuchciki w mundurach, wskazując na drogę, jaką przebyły przed chwilą sanie i zagadując woźnicę, tłumaczyły mu na przemian:

- *Eto oczeń płochaja idea.*
- *Wy nie możetje.*
- *Projti czerez drugije worota.*
- *Eto miortwyje.*

Tymczasem idąc po śladach płoz i przeskakując przez śnieżne przeszkody, pierwszy do sań dopadł Zdzisław Bosek. Chwycił łopatę, którą przezorny woźnica profilaktycznie zabrał ze sobą na wypadek, gdyby sanie ugrzęzły gdzieś po drodze w zaspach.

– *Miny?* – spytał tylko wystraszonych Rosjan, ale kiedy ci zaprzeczyli, wrócił z narzędziem do pierwszego z brzegu śnieżnego wału, wbił łopatę głęboko i zaczął odśnieżać wjazd, szybko jednak napotykał niewidoczne przeszkody. Przez moment mocował się z czymś zlodowaciałym, ukrytym pod śniegiem. Wreszcie dał za wygraną i zrezygnowany wręczył narzędzie kolejnemu pasażerowi

LEKARZ Z AUSCHWITZ

sań. Ten drugi był bardziej ostrożny i zaczął delikatnie zgarniać śnieg od góry. Wprawnym ruchem zdjął pierwszą i drugą warstwę świeżego śniegu, ale też zaraz napotkał zmarzlinę. Zanim jednak wbił głęboko łopatę, spróbował odgarnąć jeszcze nieco lodu i wtedy ujrzał kawałek materiału w paski. Przerażony odstąpił krok do tyłu, ale wtedy, widząc jego dziwną reakcję i fragment odśnieżonego pasiaka, do pracy ruszyli wszyscy pozostali Polacy. Uklękli w śniegu i rękami zaczęli odgarniać śnieg i zmarznięte grudy ziemi, niemal kalecząc dłonie o ostre krawędzie lodu. Wkrótce odkopali ze śniegu i lodu całą postać zmarłego więźnia ubranego w pasiak. Zdzisław Bosek wstał na drżących nogach i rozejrzał się wkoło. Wszędzie wokół nich, przy bramie, przed saniami, widać było małe kopczyki śniegu. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, że są to małe groby zabitych albo umarłych z wycieńczenia więźniów, których Niemcy nie pochowali w ziemi, a których sama natura litościwie okryła zimowym całunem.

Pomimo że do końca dnia pozostało już niewiele czasu, Polacy nie przerywali pracy. Pieczołowicie i ostrożnie odkrywali kolejne śnieżne groby więźniów. Idąc za przykładem Polaków, do pracy wkrótce ruszyli również Sowieci, przynosząc z magazynów jakieś łopaty, szpadle i łomy, a później też dwukołowy wózek, ponieważ woźnica za żadne skarby nie zgodził się na umieszczenie zamaryniętych ciał na swoich saniach.

Po odkopaniu zwłok najtrudniejszym zadaniem było oderwanie zmarłego od zlodowaciałego podłoża. W tym celu należało ostrożnie wsuwać pod nieboszczyka łopatę, stopniowo oddzielając go od zmarzliny. Zanim zapaliła się pierwsza gwiazda nocy, praca była ukończona, a równo wzdłuż drogi ułożono kilkadziesiąt zwłok zabieranych sukcesywnie przez sowieckich pielęgniarzy obsługujących dwukołowy wózek i odpowiedzialnych w byłym obozie za grzebanie zmarłych.

Po tym smutnym zajęciu wszystkich Polaków z Brzeszcz zaproszono na wspólny posiłek. Kiedy przy stole, na którym nie zabrakło butelek bimbru, Rosjanie dowiedzieli się, że Polacy są członkami PCK i przyjechali teraz do byłego obozu do pomocy, bardzo

Pierwsi ratownicy

się ucieszyli z nowych pomocników. Wszystkim przydzielono pryzce i wydano ciepłe koce oraz sowieckie mundury. Pokrótce też omówiono, posiłkując się głównie gestami, na mięgi, zakres obowiązków i zadania do wykonania na następny dzień. Zaraz jednak zmęczeni Polacy udali się na spoczynek. Na nocleg został też woźnica, który postanowił wrócić do Brzeszcz dopiero rano. On jednakże, zanim położył się spać, wyszedł jeszcze raz do swoich rumaków, pożegnać się na noc i wytłumaczyć się po raz nie wiadomo już który z dzisiejszego użycia bata wobec nich.

Drobna dziewczyna, opatulona pod sam nos, nieśmiało naciśnęła wielką klamkę drzwi kościoła. Nie mogąc otworzyć wieżei, przez chwilę zastanawiała się, czy na wejście do mrocznej kruchty nie jest jeszcze za wcześnie. Na drugie podejście zebrała całą swoją moc, a na dodatek zawisa prawie na mosiężnej klamce, która wreszcie ustąpiła pod wpływem jej wysiłku.

Ledwo zdołała uchylić wielkie i ciężkie drzwi, by móc wsunąć się do środka. W kościele gęsty mrok prawie nie różnił się od tego na zewnątrz, bowiem tylko przy ołtarzu błyskała jedna mała świeca. Widocznie na poranne nabożeństwo było zbyt wcześnie. Dziewczyna przeżegnała się święconą wodą, ucałowała stopy Jezusa Ukrzyżowanego i uklękła szybko w bocznych ławach. Gdy po kilkunastu minutach kończyła modlitwę i już chciała opuścić kościół, nagle gdzieś wysoko rozbrzmiały cudowne dźwięki organów. To organista rozpoczął swoją codzienną pracę i robiąc wstęp do porannej mszy świętej, bębnił wprawnie palcami po klawiszach stareńkiego instrumentu. Robił to tak doskonale, że płynąca pod sklepieniem świątyni melodia w pierwszej chwili naprawdę mogła skojarzyć się z graniem niebiańskich harf i cytr. Dziewczyna, chociaż skończyła już modlitwę, klęczała nadal jak zamurowana, wsłuchując się w dźwięki nieznaney sobie melodii. Kolejnym zaskoczeniem był dla niej śpiew, bowiem do dźwięku organów dołączył wkrótce przepiękny głos znajdującej się na chórze zakonnicy.

– *Dlaczego dzisiaj wśród nocy dnieje* – zaintonował anielski głos przy akompaniamencie niebiańskich organów. – *I jako słońce*



Sowieccy eksperci sądowo-medyczni przeprowadzają sekcję zwłok zamordowanych przez Niemców w KL Auschwitz w ostatnim okresie istnienia obozu (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, fot. B. Borysow, marzec 1945)

Pierwi ratownicy

niebo jaśniej? Chrystus, Chrystus nam się narodził, aby nas od piekła oswobodził. Dlaczego dzisiaj, Boży Aniele, ogłaszasz ludziom wielkie wesele? Chrystus, Chrystus nam się narodził, aby nas od piekła oswobodził...

Dopiero przy trzeciej zwrotce dziewczyna ocknęła się z letargu i uświadomiła sobie, że ta piękna melodia to pieśń na wejście, po której zaraz rozpocznie się msza. A skoro msza rozpoczyna się o równej godzinie, a ona miała iść na miejsce zbiórki na szóstą, to znaczy, że właśnie spóźniła się na najważniejszą misję swojego życia. Szybko się przeżegnała, poprawiła kołnierz płaszcza i wybiegła z kościoła. Na szczęście do umówionego miejsca zbiórki było niedaleko. Na przemian biegnąc i ślizgając się na śniegu kilka minut po godzinie szóstej była na miejscu. Szybko odetchnęła z ulgą, już z daleka widząc gromadkę czekających na transport osób, wśród których dojrzała też znajome twarze.

– Niech będzie pochwalony... – wyszeptała zdyszana podchodząc do jednej z kobiet.

– Na wieki wieków – odpowiedziała trochę zdziwiona takim powitaniem 27-letnia pielęgniarka dyplomowana Joanna Jakobi i dodała od razu jakby ze specjalnie akcentowaną wyższością.
– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedziała z lekka zbita z tropu 19-letnia zaledwie Genowefa Ulman. – Bo wiecie, że dziś jest Święto Matki Bożej Gromnicznej, znaczy... Ofiarowanie Pańskie. Byliście może już dziś w kościele? – Powiodła wzrokiem po zebranych, ale napotkała tylko ścianę dziwnych spojrzeń, a jej pytanie skwitowano jedynie wzruszeniem ramion. Bo któż normalny tuż przed wyjazdem do ciężkiej pracy na terenie byłego obozu w Oświęcimiu pofatygowałby się o szóstej rano do jakiegoś najbliższego krakowskiego kościoła? Tylko Joanna pokiwała głową na znak zaprzeczenia i powiedziała:

– Nie, ja nie byłam.

To krótkie zdanie wystarczyło, żeby nieśmiała Genowefa uczyła się tej jedynej nici porozumienia.

LEKARZ Z AUSCHWITZ

– A ja już byłam. Króciutko, bo przecież o szóstej mamy wyjazd. Ale zdążyłam na chwilę pomodlić się za powodzenie naszej wyprawy i o dobrą pracę. Jestem Genowefa Ulman, ale i tak wszyscy mówią do mnie Żenia – uśmiechnęła się całą buzią, odsłaniając rząd pięknych bielutkich zębów i zamasyściła wyciągnęła dłoń do powitania gestem nieznoszącym sprzeciwu.

– Joanna Jakobi, pielęgniarka dyplomowana – odwzajemniła uścisk dłoni kobieta, rozbrojona ufnością i aż przesadną szczerością towarzyski podróży. – Ale mów mi, proszę, Joasia.

– A ja pomimo młodego wieku – z wypiekami na policzkach i dumą w głosie tłumaczyła się nastolatka – pracowałam już w szpitalu frontowym. Wiecie jak tam jest, w obozie?

– Nie wiem – zamyśliła się Joanna. – Ale słyszałam opowieści człowieka, który był tam już po wyzwoleniu.

– I co mówił?

Dłuższą chwilę trwała w bezruchu wpatrzona niewidzącymi oczyma w dalekie, niewidzialne dla innych obrazy. Przesuwające się przed jej oczami widma wyobraźni musiały być upiorne, ponieważ jej twarz szybko stężała, pokrywając się starczymi zmarszczkami trosk, a w oczach zastygło przerażenie już na samo wspomnienie opowieści o piekle na ziemi. Przez ułamek sekundy 27-latką postarzała o dobre kilka dekad.

– W sumie to nic – zbyła szybko młodą przyjaciółkę i roześmiała się nerwowo. – Nie wiem. Sami na miejscu zobaczymy, jak tam jest. Z pewnością czeka nas bardzo dużo pracy... – kończyła niewygodny dla siebie temat, widząc nadjeżdżającą wreszcie wojskową ciężarówkę z zaciągniętą drelichem budą. Na widok zatrzymującego się pojazdu wszyscy zebrani chwycili swoje skromne tobołki i walizki, momentalnie rozpoczęli z pomocą czynnego kierowcy ładować się na pakę.

Pierwsza grupa pielęgniarek wyjechała z Krakowa już 2 lutego 1945 roku. Grupa główna z Józefem Bellertem na czele stawiała się na punkt zborny w Krakowie przed Hotelem Francuskim rannikiem 5 lutego (według niektórych relacji 6 lutego) i rozklekotaną ciężarówką pojechała do odległego o 70 kilometrów Oświęcimia.



**Pielęgniarka Genowefa Ulman-Tokarewicz
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Przewodnikiem tej ekipy był więzień dr Jan Grabczyński. Jeszcze tego samego dnia zespół dr. Bellerta znalazł się na miejscu. Przybyłych już na początku poraziła ogromna skala obozów KL Auschwitz i KL Birkenau. Szczególnie Brzezinka robiła przynębiające wrażenie, gdzie na kilkudziesięciu kilometrach kwadratowych przestrzeni znajdowały się otoczone drutami kolczastymi baraki. Henryk Kodź zapamiętał, że drewniane baraki obozu w Brzezince zewnętrznie przypominały stajnie. Miał rację – część baraków wykorzystanych w KL Auschwitz II-Birkenau zaprojektowana została przez hitlerowców jako wojskowe stajnie dla koni (OKH-typ 260/9). Każdy z takich budynków wedle planów miał pomieścić 52 wierzchowce. W niemieckim obozie zagłady musiało się tu zmieścić ponad 400 więźniów. Następne grupki zespołu dr. Bellerta docierały do Oświęcimia w kolejnych dniach. Np. Lidia Połowska wraz z dwiema pielęgniarkami, nie mogąc doczekać się transportu, drogę z Krakowa do Oświęcimia przebyła pieszo i zameldowała się w szpitalu PCK 12 lutego, po trzech dniach wędrówki.

Na miejscu okazało się, że po wyzwoleniu w obozie cały czas przebywa wielotysięczna rzesza byłych więźniów, którzy są chorzy, wyczerpani i niezdolni do marszu. Dr Bellert wyliczył stan tych oswobodzonych więźniów szacunkowo (ponieważ w obozach odbywała się istna „wędrówka ludów”) na około 4500–4800 osób, z których 2500 znajdowało się na terenie KL Birkenau, 1500 w obozie macierzystym w Auschwitz, natomiast 600 przebywało w Monowitz-Dwory. Trochę inne wyliczenia podawał kierownik administracyjny szpitala PCK Henryk Kodź, który w swoim raporcie pisał, że w Brzezince było 2200 ludzi, w Oświęcimiu 1800, natomiast w Monowicach ok. 800 osób. Zaraz też dodawał, że już w pierwszych dniach chorzy z Monowic zostali przetransportowani i ulokowani w blokach oświęcimskiego obozu, a tamtejsza placówka medyczna została zlikwidowana. Największą liczbę byłych więźniów pozostających w wyzwolonych obozach stanowili europejscy Żydzi, pochodzący głównie z Węgier. Polaków również było stosunkowo dużo – 730 osób, jak wyliczył



**Członkowie zespołu PCK: J. Jakobi i R. Pędzikiewicz
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

dr Bellert. Według innych danych liczba rodaków w oswobodzonym obozie zbliżała się do tysiąca, w tym poważną część (ok. 170) stanowili warszawiacy wywiezieni ze stolicy w trakcie i po powstaniu warszawskim. Wśród nich byli też żołnierze Armii Krajowej, którzy mówili o sobie z dumą: „My z powstania! My z Warszawy!”. Niestety część z nich później zmarła, nie doczekawszy końca wojny.

Najlepsze stosunkowo warunki panowały w Oświęcimiu, gdzie chorzy zajmowali początkowo aż 25 murowanych baraków. O wiele gorzej sytuacja wyglądała w zimnych barakach Brzezinki. Tam cienkie drewniane ściany nie utrzymywały ciepła w środku, a ustawione piętrowe prycze dodatkowo utrudniały pracę lekarzom, pielęgniarkom i sanitariuszom.

NOWE PORZĄDKI

Styczeń 1945

No, to zaczynamy – Bellert zatarł dłonie – podzielimy się. Jedna ekipa pod kierunkiem dr. Jana Perzyńskiego rozpocznie pracę w szpitalu znajdującym się na terenie obozu macierzystego. Na czele drugiej części personelu PCK, oddelegowanego do pracy w szpitalu w byłym obozie KL Birkenau, stanę osobiście ja. Co jest z wodą? – dopytywał swój personel zebrany w wachlarzyk wokół szefa.

– Nie ma i prędko nie będzie. Hydraulika zniszczona, przy tych mrozach trudno cokolwiek reperować. No i o fachowców trudno – referował Kodź. – Możemy wozić wodę z Soły. Już poprosiłem władze o wozaków. I o kotły, żeby było w czym wozić. Gorzej w Brzezince, bo to daleko – studnie nie działają, a gdyby działały, wołałbym ich nie ruszać.

– Płytkie – dopytywał Bellert, który lubił mieć wszystko wyjaśnione do końca – ...i mogą przesiąkać?

– Tu wszędzie cmentarz. Wszędzie niepogrzebane trupy. Nie możemy ryzykować – dokończył skrupulatny po nauczycielsku Kodź. – Z drugiej strony, póki nie ma roztopów, nie ma też niebezpieczeństwa epidemii. Mówię o tych niepogrzebanych ciałach, których wszędzie pełno. Mam obietnicę, że nam podeślą jeńców niemieckich, tylko... tylko na razie nie ma kto ich pilnować. Bo każdego, kto może utrzymać w ręku broń, biorą na Berlin.

– Pani Genowefo – Bellert odwrócił się do Genowefy Przybysz – panią wyznaczam na przełożoną pielęgniarek. Najgorzej będzie, kochana, w Brzezince; gdzie w drewnianych zimnych barakach 12 pielęgniarek musi ci wystarczyć na ponad 2200 chorych. Uczciwe dyżury, zmiany, odpoczynki wprowadzimy, kiedy mi pani za tydzień zaraportuje, co i jak. Na razie każdy pracuje, ile może. W razie jakichkolwiek kłopotów bezpośrednio do mnie.



Ochotniczki PCK, w większości pielęgniarki, na skwerze pomiędzy krematorium a willą zamieszkaną podczas wojny przez komendanta obozu. Z powodu niedostatku odzieży, kobiety ubrane są w bluzy obozowe – pasiaki. Na zdjęciu od lewej: Maria Rogoż, Anna Golec, czwarta – Helena Ambrożewicz, szósta – dr Jadwiga Magnuszewska, obok niej Ludmiła Urbanowicz i Genowefa Przybysz. Czerwiec 1945 r. (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

Chorzy zostali wymyjni, przebrani i ułożeni w czystej pościeli. Rozpoczęło się również badanie, ważenie i ewidencjonowanie wszystkich więźniów. Np. więźniarka Zofia Palińska, mając 18 lat, ważyła zaledwie 19 kilogramów... Praktycznie wszyscy chorzy byli załodzeni. Były to – jak zapamiętał Józef Bellert – „szkielety pokryte skórą ziemistego koloru, dorosli wagi 25 do 35 kg”. Byli więźniowie mieli obrzęki, ropiejące rany, odleżyny, odmrożenia rąk i nóg. Wielu chorowało na gruźlicę płuc i dur brzuszny. Najbardziej uciążliwymi schorzeniami, które zbierały obfite żniwo wśród byłych więźniów były: biegunka obozowa (durchfall) oraz tzw. choroba obozowa (dystrofia alimentaris), w której zamorzony organizm z zanikłymi organami trawiennymi, pomimo jedzenia w ogóle nie przyjmował pokarmów, a chory ciągle chudł i wreszcie umierał. Byli więźniowie obawiali się praktycznie wszystkiego – bali się, że wróci głód, więc chowali w siennikach i pod poduszkami kawałki chleba. Lękali się ludzi w białych fartuchach, zastrzyków i wyjścia do łaźni. Słowo „łaźnia” było w obozie synonimem śmierci, a byłym więźniom kojarzyło się ono najczęściej z niemieckimi komorami gazowymi. Chorzy kacelnicy często mieli też senne koszmary – budzili się w nocy z krzykiem i trudno było ich uspokoić, wytłumaczyć, że makabra śmierci w niemieckim obozie już minęła, że są wolni i pod dobrą opieką polskich lekarzy i pielęgniarek.

Z powodu braku kanalizacji ściekowej w barakach Brzezinki, lub jej uszkodzeniu w blokach Oświęcimia, potrzebą chwili stało się pilne urządzenie latryn. Początkowo w barakach ustawiono kubły, a ich wynoszenie należało do obowiązków sanitariuszy. Potem pomiędzy barakami i blokami zbudowano prowizoryczne latryny, by wreszcie ostatecznie uruchomić normalne toalety wewnątrz murowanych bloków w obozie macierzystym.

Na początku wyżywienie wszystkich chorych oraz polskiego personelu szpitala PCK wzięły na siebie sowieckie kuchnie polowe. Od kwietnia 1945 roku zespół PCK założył własną kuchnię w obozie macierzystym. Gotowano tam posiłki dla polskich lekarzy i pielęgniarek oraz specjalne dania dla chorych, którzy musieli przestrzegać diety. Polska kuchnia przejęła na siebie obowiązek wyżywienia wszystkich chorych ze szpitala PCK.



Dzieci oswobodzone w obozie w Auschwitz (wolne zasoby Wikipedii)

ZNALEZISKO

Zima 1945

Rozdzielmy się – zakomenderowała Janina Zawiślak-Judowa. Bellert ze swojego spisu „niezbędności” odhaczał hasło lekarstwa. Po krótkiej naradzie pielęgniarki wyruszyły na poszukiwanie medykamentów do zony SS. – Chcę was co chwilę słyszeć. Macie wołać do mnie swoje imiona.

Ja bym i bez tego wołała, dla mnie tu wszystko straszne – odpowiedziała młoda sanitariuszka.

Przeszły przez obszerne pomieszczenia izb żołnierskich, zajmowanych niegdyś przez panów i władców obozu zagłady. Niewiele w nich pozostało. Więźniowie dawno wynieśli wszystko, co mogło stanowić jakąś wartość. Janina doświecała sobie karbidową lampką, którą przynieśli jej ochotnicy PCK z kopalni „Brzeszcze”. – Przeszła przez rodzaj kancelarii, zauważając stopy dokumentów, których najwyraźniej Niemcy nie zdążyli zniszczyć. „Trzeba tu będzie wrócić i zebrać to wszystko. Jako dowód ich zbrodni”, pomyślała. Otwierała szuflady i wielkie szafy, ale lekarstw w nich nie było.

Janina! – zawołała czekając na odzew. Ania! – wróciło. – Maryśka!

Po chwili usłyszała jeszcze – Ola! Ja coś mam. Musicie tu przyjść.

Trzy pielęgniarki spotkały się na klatce schodowej. – Ola! Na strychu! – naprowadzała je koleżanka. – Jest mnóstwo lekarstw, dziewczyny.

Wchodzące po schodach usłyszały odgłosy gwałtownych wymiotów. Przyspieszyły kroku. – Ola! Niczego nie dotykaj! Czekaj na nas! Co się tam dzieje?!

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Mocno zaniepokojone dziewczyny wbiegły na obszerny strych. W wielkich pudłach, metodycznie opisane, stały tam prawdziwe skarby – lekarstwa, którymi można było powstrzymać czerwonkę, chinina, a nawet proszki od bólu głowy „z kogutkiem”.

No, to mamy wreszcie prawdziwy szpital – postukała w pudła Janina. – A ty, co cię tak wzięło? Łyknełaś coś?

Ola podeszła w głąb strychu i podniosła latarkę. Światło karbidówki wyłowiło z ciemności setki ogromnych szklanych słoików z niemowlętami pływającymi w formalinie i preparatami przygotowanymi z ludzkich szczątków.

Po kilku dniach przeglądania nowo odkrytych zapasów pielęgniarki zaraportowały Bellertowi, że znaczącą część zdobywszy stanowiły nowe lekarstwa, które hitlerowcy testowali na więźniach. Medykamenty te należało przejrzeć, podzielić na rodzaje i opisać. Sytuację pogarszał fakt, że w nieodległym Rajsku (2 km od Oświęcimia) hitlerowcy usytuowali laboratorium, w którym przetrzymywali szczepy różnych bakterii, w tym dżumy i cholery. Zarazki te wykorzystywano do pseudodoświadczeń medycznych przeprowadzanych na więźniach KL Auschwitz. Po przejściu frontu i rozszabrowaniu tego laboratorium zachodziło niebezpieczeństwo rozprzestrzenienia się chorób zakaźnych w tym rejonie.

TRUDNE POCZĄTKI

Zima 1945

Wjechali na teren obozu od strony rzeki, bramą przy willi komendanta obozu. Na szczęście przymarznięte do ziemi i przykryte śniegiem ciała nieboszczyków zostały już z tego miejsca posprzątane i ich ciężarówka nie musiała gruchotać pod kołami zamarzniętych na kość trupów. Samochód ostro zahamował i zatrzymał się przed jednym z murowanych bloków. Grupa ochotników z Krakowa rażno wyskoczyła z budy ciężarówki i ze swoimi nader skromnymi tobołkami stanęła w rzędzie witana przez przedstawicieli Armii Czerwonej, którzy od razu poprowadzili Polaków do miejsc zakwaterowania. Drużynę pielęgniarek i sanitariuszek, do której należały Genowefa Ulman i Joanna Jakobi, zaprowadzono do budynku zajmowanego wcześniej przez SS. Kiedy przechodzili koło jednego z bloków, ich wzrok przyciągnęły przedziwne szaro-buro-sine wysokie kopce usypane wzdłuż ściany i ciągnące się przez całą długość budynku. Z daleka wyglądało to jak sterty zgniłych główek kapusty albo przemarzniętych do cna warzyw przysypanych z lekka jasnobłękitnym śniegiem. Jednak im bliżej byli tych dziwnych zwałów, tym bardziej docierała do nich makabryczna prawda.

Pierwsza wzrok odwróciła Joanna, wiedząc już, że sterty domniemanych warzyw tak naprawdę są stosami nagich w większości ludzkich ciał, szarych i zsiniałych od mrozu. Tylko niektóre odziane były w jakieś strzępy biało-niebieskich pasiaków i przyprószone z wierzchu świeżym śniegiem. Młodziutka Żenia odwrotnie. Chociaż w szpitalu polowym widziała już najróżniejsze rany i niejedną śmierć, teraz otwartymi szeroko oczami rejestrowała po

raz pierwszy w życiu przerażający skutek chorej polityki niemieckiego narodowego socjalizmu, niemieckiej domniemanej wyższości „rasy panów” i prawdziwe oblicze niemieckich obozów koncentracyjnych. Mijając stopy zwłok, Polacy mimowolnie przyspieszyli kroku, ale makabryczne zwały ciągnęły się wzdłuż najdłuższej ściany bloku i ludzie, chcąc nie chcąc, mogli napatrzeć się do woli na dzieło niemieckich zbrodniarzy.

Wreszcie po długim marszu, kiedy sekundy rozciągały się w długie minuty, minęli ten przerażający blok, służący widać za kostnicę, skończył się straszny widok ciał leżących w zwałach pod ścianami. Idąc dalej, zaczęli spotykać po drodze żywych więźniów, widocznie na tyle już wyzdrowiałych i przywróconych do życia, że mogli chodzić o własnych siłach.

Z daleka ludzie ci wyglądali w miarę normalnie. Jednak dopiero kiedy mijano ich w niewielkiej odległości, można było poznać ich marność, biedę i egzystencję na skraju przetrwania. Zgarbione chude szkielety naciągnięte skórą koloru ziemi, nakryte najczęściej jakimś łachmanami, kocami, postrzępionymi pasiakami, były zaprzeczeniem człowieczeństwa, w takim znaczeniu tego słowa, do jakiego przyzwyczyły się przez lata swojego życia i Joanna, i Genowefa.

Byli więźniowie z dzikimi, wiecznie głodnymi oczami, umykający ze strachu przed wszystkimi i wszystkim, bardziej przypominali dzikie, dopiero co schwytane w niewolę zwierzęta, niżli normalnych ludzi.

Wreszcie dziewczęta trafiły do miejsca kwaterunku. Pokoje, w których miało mieszkać po kilka kobiet, przygotowali im ochotnicy PCK z Brzeszcz. To oni również wydali im jakieś poduszki, koce i białe fartuchy do jutrzejszej pracy. Dziewczyny zanim położyły się spać, naszykowały sobie niezbędne medyczne akcesoria zabrane ze sobą z Krakowa. Potem, po myciu i wspólnym pacierzu, szybko zgasiły lampę naftową i wskoczyły do łóżek, przykrywając się kocami, płaszczami i czym tylko było można, ponieważ w pokoiku było bardzo zimno.

Trudne początki

Pomimo zmęczenia dziewczyny nie mogły usnąć. Każda na swój sposób przeżywała lęk przed jutrzejszym dniem, w którym miały podjąć prawdopodobnie najtrudniejszą służbę swojego życia. Bały się konfrontacji z pacjentami i chorób, których nie znały. Nie wiedziały, jacy lekarze będą nimi kierowali i kto będzie ich przełożoną. Młodej Żeni oprócz strachu o jutrzejszy dzień ciągle przed oczami stawały posępne postacie przygarbionych i chudych więźniów albo, co gorsze, stosy ziemistych ludzkich trupów. Wierciła się na skrzypiącym łóżku i wzdychała, łapiąc nerwowo oddech. W końcu nie wytrzymała:

– Joasiu, śpisz?

– Nie.

– Ty jesteś doświadczona lekarka, powiedz mi, proszę, co będzie jutro?

– Jak to co? Wstaniemy rano – mają nas obudzić, a więc możemy spokojnie sobie spać. A więc wstaniemy rano, ubierzemy się i umyjemy, a potem pójdziemy na sale chorych. Ktoś ma przyjść i zaprowadzić nas do wyznaczonych bloków i sal. Każda z nas dostanie do opieki jedną salę z chorymi, którymi będziemy się zajmowały. Normalnie, jak w szpitalu – mierzenie gorączki, dawanie zastrzyków, wydawanie lekarstw, uzupełnianie kart chorych, przynoszenie basenów, mycie, ścielenie, sprzątanie. Takie tam, normalne szpitalne zajęcia. Mam nadzieję, że raz dziennie będzie lekarski obchód, w którym musimy uczestniczyć, aby przedstawić każdy przypadek chorego i zapamiętać wydawane przez doktora dyspozycje – Jakobi roztaczała przed dziewczyną wizję szpitala marzeń, w którym nikt nie umiera, a wszystkim żyje się lepiej.

– A chorzy... Nie boisz się tych chorych?

Joanna milczała, zastanawiając się nad odpowiedzią. Trwało to długo, bowiem do rozmowy wtrąciła się trzecia sublokatorka, młoda dziewczyna chyba w wieku Żeni:

– Ja tego nie wytrzymam... – powiedziała prawie z płaczem.
– Jutro wracam do domu, do Krakowa...

LEKARZ Z AUSCHWITZ

– Oj, głuptasie – roześmiała się najstarsza z nich, Joanna.
– Przecież jeszcze nie zaczęliśmy, a ty już chcesz uciekać?

– Ale tu jest... tu jest... strasznie.

– Dziewczyno! – prawie wykrzyknęła czwarta z pielęgniarek zakwaterowanych w pokoju, ta najbardziej milcząca i zamknięta w sobie. – Na wojnie też jest strasznie. W powstaniu było strasznie. I wiesz co? Wiesz, ile było sanitariuszek w powstaniu? – Nie spodziewając się odpowiedzi, dodała od razu: – Tysiące. I wiesz, w jakich warunkach pracowaliśmy? W ciemnych piwnicach w czasie bombardowań, pod sypiącymi się cegłami i tynkiem. Parę razy nas zasypało... Wiedziecie, jak smakuje powietrze po odkopaniu spod gruzów? Jak najlepsze na świecie perfumy. A wiedziecie, jak smakuje stęchła woda po odkopaniu z zasypanej piwnicy? Jak najdroższe na świecie wino. Operowaliśmy bez znieczulenia, ludzie krzyczeli i chcieli uciekać. Musieliśmy ich przypinać do łóżka pasami i trzymać w kilkoro. Młodzi chłopcy umierali mi na rękach... Po powstaniu nic mnie już nie przestraszy.

– Ale ja i tak się boję...

– Wszystkie się boimy – wtrąciła poważnym głosem Genowefa.

– Ale spróbuj chociaż kilka dni. Jak nie wytrzymasz, same załatwimy ci jakiś transport do Krakowa.

– No widzicie – radośnie zakończyła temat rozmowy Joanna.

– Idziemy spać, a jutro zobaczy się, jak tu jest. Dobranoc, kochane.

– Dobranoc. Dobranoc. Dobrej nocy – odpowiedziały jej trzy dziewczęce głosy.

Następnego dnia rano Joanna zdołała w biegu zabrać ze sobą termometr, strzykawkę i buteleczkę spirytusu i już musiała pędem gonić swojego przewodnika. Dopadła go tuż przed blokiem, ale i tak musiała czasami potruchtać, aby nadążyć za szybko idącym sowieckim żołnierzem. Maszerowali dość długo, mijając posępne mury budynków i ogrodzenie z drutów kolczastych, będących kiedyś pod napięciem. Mieli też przechodzić przy bloku, przy którym znajdowały się sterty ludzkich zwłok. Wtedy kobieta



Janina Zawiślak-Judowa pośród innych członków szpitala PCK, w miejscu ekshumacji zwłok więźniów, luty 1945 (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

nie wytrzymała. Chwyła wojaka za ramię, wskazała z daleka na nagich nieboszczyków i poprosiła:

– Nie tędy! Obejdźmy to miejsce.

Żołnierz natychmiast ją zrozumiał i od razu skręcił w inną alejkę, aby dłuższą drogą, omijającą traumatyczny dla Joanny punkt, dotrzeć do celu. Niedługo też weszli do budynku nr 4 i przeskakując w nadzwyczajnym tempie po kilka stopni schodów naraz, znaleźli się na miejscu.

– To tutaj – rzekł ubrany w sowiecki mundur mężczyzna, po którym wcale nie było widać zmęczenia szybkim marszem i ostrym finiszowaniem na schodach.

– Polak? – szczerza zdziwiła się zaskoczona i zdyszana Joanna.

– Tak. Ochotnik PCK z Brzeszcz. Pracujemy tutaj w grupie od kilku dni. Ciężko jest... Ale próbujemy poskładać to, co szkopy ze swoim Hitlerkiem rozp... To znaczy popsują.

– Ale dlaczego w ruskim mundurze?

– Nie było za bardzo wyboru. Lepsze to niż niemiecki pasiak... No nic, muszę pędzić dalej do roboty. Szczęść Boże przy pracy.

– Dziękuję i również powodzenia.

Kiedy Joanna wchodziła na przydzieloną sobie salę chorych, czuła mocne pulsowanie w skroniach i tłuczenie serca w piersiach. Nie przejmowała się tym, biorąc takie objawy za skutek szybkiego porannego marszu, zmęczenia kilkoma ostatnimi dniami, źle przespaną nocą oraz nerwowym oczekiwaniem na pierwszy dzień pracy. Zamaszyście otworzyła drzwi i wchodząc do pomieszczenia, zrobiła kilka pierwszych kroków. Skąpany w lekkim półmroku pokój oświetlała jedna lampa naftowa i ogień płonący w piecyku. Cierpiący chorzy najczęściej leżeli, jęczeli z bólu i głośno wzdychali, czekając na pomoc. Tylko niektóre zgarbione cienie koczowały przy piecyku, na którym przypiekali sobie kawałki chleba. Zaciemniona sala, kontrastująca z dniem budzącym się za oknami i skąpanym w białym śniegu światem, i tak nie była najgorsza. To smród sprawił, że Joanna natychmiast po wejściu do pokoju stanęła jak wryta i od razu chciała się wycofać. Woń kału pomieszanej z ludzkim potem, gnijącego ciała i dymiących piecyków



Z kroniki filmowej – sowiecka komisja w magazynie, w którym Niemcy przechowywali worki z włosami... (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

oraz przypiekanych nad nimi kawałków chleba, na zawsze już będzie się jej kojarzył z zapachem śmierci i ludzkiego upodlenia. Nic więc dziwnego, że zatrzymana przez odór dziewczyna chciała po prostu odwrócić się na pięcie i uciekać jak najdalej od tego miejsca.

– Boże, tylko nie to – myślała gorączkowo, przymknęła oczy, a pot gęsto skropił jej pobladłą twarz. – Wszystko, tylko nie to. Może być szpital na froncie pełen krwi i amputowanych kończyn, szpital ewakuacyjny z zagłodzonymi biednymi ludźmi i masą sierot, każdy inny szpital, tylko nie ta umieralnia...

Znów otworzyła oczy, obraz nie uległ zmianie – ludzie nadal jęczeli, a inni trwali przy piecyku. Kiedy jednak chciała po cichu zrobić krok wstecz, z pierwszej przy brzegu pryczy odezwał się słaby głos – ktoś jednak zauważył jej przyjsście. Do tego pierwszego głosu dołączyły zaraz kolejne i z każdego miejsca sali słychać było wezwania z prośbą o pomoc:

– *Schwester! Schwesternen! Hilfe!*

Widocznie chorzy, choć różnej narodowości, przyzwyczajeni przez lata niewoli do niemieckich rządów, używali najczęściej języka niemieckiego okupanta. Młoda pielęgniarka postawiona w takiej sytuacji nie mogła już odejść i z termometrem w dłoni podeszła do pierwszego łóżka.

Tak zaczęła się wyczerpująca praca Joanny Jakobi w szpitalu obozowym PCK, gdzie w pierwszych tygodniach określenie „dyżury” było tylko teoretycznym pojęciem. Pielęgniarki schodziły na odpoczynek dopiero wtedy, gdy nie mogły już ustać na nogach i zasypiały na stojąco. Jedna mówiła wtedy do drugiej „idź się położyć”. Przez ten pierwszy, najtrudniejszy okres, ona sama nie pamiętała nawet, co jadła i czy w ogóle jadła, taka była zmęczona i zaangażowana w niesienie pomocy chorym.



Urodzona w Berlinie Belgijka Margarete Kantor. Zdjęcie wykonane w szpitalu PCK w bloku 23 podczas oględzin Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. Fot. S. Łuczko, maj 1945)



**Magazyn z okularami skonfiskowanymi więźniom przybywającym do Auschwitz
(Wikipedia)**



POWROTY

Zima 1945

– Ilu zgłosiło się lekarzy z naszych więźniów? Z naszych pacjentów? – Poprawił się Bellert. Dopytywał szefa administracji, Kodzia, który cały czas usiłował zaprowadzić porządek w ewidencji szpitala. – Zdadzą się do pomocy?

– Jest kilku specjalistów wysokiej klasy – z Węgier, Rosjanie, są Polacy. Dobrze, że medycy potrafią sobie tłumaczyć choroby po łacinie, bo z tymi Węgrami to panie dyrektorze – jak w bajce – „rozmawiała gęś z prosięciem”. Ale wie pan, wczoraj na moment oprzytomniał lekarz, który twierdzi, że pana zna – zerknął do notatek – Wojnicki się nazywa.

– Wojnicki? Chirurg? Z Warszawy! – ożywił się Bellert. – Gdzie on leży?

– Z niego nie będzie wielkiego pożytku w szpitalu. Ta rosyjska lekarka mówi, że jego już dopadł *trzeci gradus dystrophia alimentaris*. Rosjanka twierdzi, że to kwestia dni. Że on już nie jest do przeciągnięcia na naszą stronę. Teraz to on księdza potrzebuje.

– Zejdę do niego. Posiedzę choć chwilę. To dobry człowiek. I doskonały chirurg. Potrafił dokonywać cudów w powstaniu. Taki majster bardzo by nam się przydał.

– Panie doktorze, on raczej jest... nieobecny. Nawet, kiedy bywał przytomny, leżał sztywno, wpatrując się w sufit. On nawet śpi z otwartymi oczami. Pan wiedział o tym? Nasze dziewczyny mi powiedziały, że dopiero zaczął reagować jak ktoś żywy, kiedy jeden z tych oficjeli, z kolejnej komisji, co je nam na kark zwalają, zapytał niby to żartem: Czy jest lekarz na sali? Wtedy zaczął podnosić rękę.

RĘCE DO PRACY

Zima 1945

Dwóch mężczyzn ubranych w stare, poprzecierane sowieckie mundurowe drelichy przez dłuższą chwilę trwało w bezruchu, z satysfakcją zaciągając się skrętami. Te krzywe papierosy na własny użytek skręcili z ruskiego marnej jakości tytoniu i jakichś ichniejszych drukowanych cyrylicą gazet. Stali naprzeciw szeroko rozwartych drzwi do drewnianego baraku, ale mimo zimna wcale nie pragnęli schować się do środka. Wręcz przeciwnie, odpalając następne papierosy, jakby specjalnie odkładali na później chwilę wejścia do budynku. Ostatnie pety odrzucili dopiero wtedy, gdy żar zaczął parzyć ich palce. Na koniec wypuścili z płuc ostatnią chmurę dymu, ale i tak chwilę jeszcze zwlekali. Dopiero po kilku minutach młodszy z nich zagadnął, patrząc bezmyślnie na uzbieraną pod ich nogami niemałą kupkę wdeptanych w śnieg niedopałków:

– To jak w końcu, wchodzimy?

– Niech się dzieje... W imię Boże. Amen – powiedział starszy i zamasyście się przeżegnał. Po tych słowach, jak na rozkaz, nerwowo splunęli pod nogi i naciągnęli na twarz dziwaczne chusty, upodabniające ich teraz do jakichś westernowych bandziorów z Dzikiego Zachodu, zgoła nie przypominali polskich ochotników PCK. Po takich przygotowaniach chwycili stojące pod ścianą łopaty i weszli do środka. Chociaż dzień już dawno się zaczął, w baraku z niewielkimi okienkami nadal panował półmrok. Mimo to największą ich bolączką był trudny do opisania smród, na który nie było żadnych środków, a chusta na twarzy naprawdę niewiele pomagała. Obrzydliwy fetor był połączeniem odoru rozkładających się zwłok, starego kału i moczu, gnijącego

LEKARZ Z AUSCHWITZ

drewna, zbutwiałych łachów, koców oraz drażniącej woni wszędobylskich tutaj gryzoni. Właśnie głównie na szcurach skupił się pierwszy wysiłek mężczyzn. Z dzikim wrzaskiem podskoczyli do prycz z nieboszczykami, płosząc chmarę uczujących gryzoni i tłukąc na oślep łopatami uciekające po kątach szczury. Kiedy już je przepędzili, zajęli się wynoszeniem trupów na zewnątrz. Przy pryczy układali stare koce, chwytali równo za sztywne, zmrożone ciała i ściągali je z łóżek na leżące na podłodze koce. Potem wynosili je na zewnątrz, układając równo w szereg pod ścianą baraku po killkanaście. Kiedy wydawało się, że zrobili już najgorszą tego dnia robotę i jak najdalej od baraku i ułożonych zwłok zapalili papierosy, nagle, nie wiadomo skąd, zjawił się ruski żołnierz powożący jak szalony konnym zaprzęgiem.

– Dawaj, dawaj! – wrzeszczał, tnąc batem zdezorientowane konie i ponaglał Polaków, wskazując ręką na szereg trupów.

Nie mieli wyjścia, zgasili napoczęte dopiero co skręty i schowali je na później. Potem zabrali się do ładowania nieboszczyków na wóz, którego woźnica, wcale się nie kryjąc, pociągnął parę razy z butelki rozgrzewający samogon. Kiedy skończyli ładowanie, chcieli wrócić do swoich spraw, ale pijany bojec nie dawał im spokoju. Spod kozła wyciągnął teraz karabin i machając lufą, zapraszał ich na furmankę. Naburmuszeni wdrapali się na górę i zajęli miejsce obok załadowanych wcześniej trucheł, woźnica zaciął konie batem. Krótco jechali. Niedaleko był wykopany duży dół, w którym umieszczano zwłoki znalezione po wyzwoleniu obozu i zmarłych w ostatnich dniach byłych więźniów. Choć dół szybko się zapełniał, to w związku z dokładaniem kolejnych ciał nie zasypywano go na razie ziemią. Po skończeniu niewdzięcznego zajęcia wykonanego pod lufą sowieckiego żołnierza Polacy, już na piechotę, wrócili do swojego baraku. Jedyne pożytek z całej tej eskapady był taki, że mogli trochę odetchnąć świeżym powietrzem z dala od obozowego fetoru.

Po powrocie zajęli się pryczami. Jednak zanim w ruch poszły piły, najpierw należało uprzątnąć całą tę zgniliznę z nich – a więc zbutwiałe, zatechłe, zasrane, zasikane i uwalane ropą z niegojących

się ran koce i poduszki – namiastki obozowej pościeli. Z prawdziwym obrzydzeniem zdejmowali z łóżek śmierdzące łachmany i wyciągali to wszystko na zewnątrz, przygotowując poważnych rozmiarów stertę do spalenia. Samo podpalenie wielkiego ogniska zostawili na później. Teraz z piłą w rękę zakrzętnęli się przy pryczach, dzieląc na części piętrowe, niepotrzebne już drewniane konstrukcje. Płynny ruch rąk, to w jedną, to w drugą stronę wyrzucał spod zębów piły drewniane trociny, a w powietrzu unosiła się wzniecona tym zajęciem mgiełka kurzu i pyłu. Pot spływał po twarzach mężczyzn, kiedy tak pracowali zapamiętałe, tnąc kawałek po kawałku. Pocięte belki i deski wynosili na zewnątrz, a w środku pod ścianą ustawiali przygotowane już do użycia na nowo pojedyncze parterowe prycze, niezbędne do funkcjonowania normalnego poobozowego szpitala.

Na popołudnie zostawili sobie do wykonania najcięższą tego dnia pracę. Po krótkiej przerwie na obiad dostarczony również przez Sowieców (tym razem nikt nie groził im karabinem, a resztki gorącej zupy w kotle przywiózł inny żołnierz), jeszcze raz zapalili papierosy. Zachłannie wciągali dym drażniącej płuca ostrej machorki, myśląc jednocześnie, że to w sumie zbyt małe znieczulenie w stosunku do wykonywanej przez nich roboty. Ich myśli uparcie wracały do nachalnego ruskiego żołdaka pociągającego jawnie bimber, chociaż nie rozmawiali na ten temat i nie wiedzieli nawet, że myślą o tym samym. Gdyby to oni mieli do dyspozycji choć trochę alkoholu, zupełnie inaczej zagłębialiby się w nieznośny smród obozowego baraku. W funkcjonującym od niedawna polskim szpitaliku występujący w niewielkich ilościach spirytus był jednak na wagę złota i miał zupełnie inne przeznaczenie, niż wlewanie go sobie do gardła.

Mężczyźni skończyli palić papierosy, znowu naciągnęli chustki na nos i usta, wzięli łopaty i weszli do budynku. Posuwając się teraz ramię w ramię w jednej linii, zaczęli łopatami zrywać z klepiska zaschnięte i wdeptane w podłóże stare ekskrementy zmieszane z trocinami i innymi odpadkami. Robotą szła bardzo ciężko, ponieważ ludzkie odchody wdeptane setkami nóg w podłogę zmieszały

LEKARZ Z AUSCHWITZ

się z polepą, tworząc jednolitą twardą strukturę. Czasami trzeba było głęboko zdzierać całe połacie gliny, lub w innych wypadkach precyzyjnie pracować nożami, czy sporządzonym z kawałków blachy czymś na kształt szpachelek. W kryzysowych momentach mężczyźni przynosili wiadra wody, polewali nią klepisko i chwilę czekali, aż twarda skorupa nieco rozmięknie. Dopiero wtedy kłękali i na czworaka wydłubując spod siebie stare nieczystości, brnęli kolanami i rękami w rozmięczonym gównianym błocie. Po zlaniu wodą nieczystości łatwiej było co prawda sprzątnąć, ale dla odmiany cuchnęły one jeszcze bardziej niemiłosiernie, wywołując mdłości. Zdarzało się, że młodszy z mężczyzn, umorusany kałem i gliną, zrywał się i wybiegał na dwór targany torsjami. Starszy był bardziej odporny i nie wymiotował, ale i on musiał czasami rzucić tę robotę i wyjść na zewnątrz, aby odetchnąć świeżym powietrzem i popatrzeć na coś innego niż ludzkie odchody.

PIELĘGNIARKI

Zima 1945

Marianna Rogoż stała prawie na baczność przed naczelnym lekarzem, doktorem Bellertem, i przełożoną pielęgniarek Genowefą Przybysz – słuchała ich ostatnich wskazówek. Do szpitala PCK w Oświęcimiu przyjechała pod koniec lutego, w kolejnej turze personelu ochotniczego. Na odprawie przed pracą, na pytanie o swoje doświadczenia, nieśmiało wybąkała, że przed wojną była zaledwie higienistką w harcerskiej placówce w Sromowcach Wyżnych w Pieninach. Mimo to zaliczono ją od razu do grona pielęgniarek i przydzielono salę chorych do samodzielnego dyżuru. Natomiast prawdopodobnie dlatego, że była tylko higienistką, przełożeni nadzwyczaj starannie i długo objaśniali jej rodzaj pracy i obowiązki, kładąc nacisk na odpowiednie dozowanie lekarstw i żywności oraz pozbywanie się ciał zmarłych na jej zmianie. Ze zrozumieniem potakiwała głową, ale z niecierpliwością czekała już na koniec zbyt długiej tyrady. Wreszcie doktor Bellert skończył mówić, a przełożona Przybyszowa osobiście odprowadziła ją do bloku. 24-letnia Marianna spojrzała na numer budynku i od razu poczuła się nieswojo. Co prawda nie dawała wiary jakimś tam przesądom i zabobonom, ale numer 13 jednak nie wróżył niczego dobrego. Jeszcze przed wejściem przełożona życzyła jej powodzenia, pożegnała się, odwróciła na pięcie i szybko pomaszerowała do swoich obowiązków. Marianna sama weszła do środka, a kiedy zamknęła za sobą drzwi, znalazła się w całkiem innym świecie.

Na początku musiała zameldować się blokowej – sowieckiej pielęgniarce Marusi, która z wyższością patrzyła na wszystkie pracujące w jej budynku Polki. Nie obyło się bez uszczypliwych uwag na temat umiejętności polskich lekarzy i pielęgniarek, a skończyło

LEKARZ Z AUSCHWITZ

na osobistych animozjach względem przestraszonej już na dobre dziewczyny. Te uszczypliwości to były w sumie drobiazgi – a to, że fartuch ma nieuprasowany, a to, że nie ma własnego termometru, a to, że jej doświadczenie higienistki można sobie w buty wsadzić – mimo to mocno zdeprymowały świeżo upieczoną ochotniczkę. Dopiero w ostatnich słowach ostrego monologu Marusia przekazała Polce uwagi dotyczące jej bloku: otóż w budynku nr 13 znajdowało się około 200 chorych byłych więźniów. W salach na parterze leżały kobiety, a na piętrze mężczyźni. Jedną salą na parterze z 80 kobietami miała opiekować się w czasie swojego dyżuru Marianna.

Gdy po raz pierwszy otworzyła drzwi i weszła na swoją salę, mimowolnie musiała się cofnąć. Ostry zapach dymu z piecyka, przypalanej żywności i ludzkich odchodów, sprawiły, że dziewczyna z powrotem znalazła się na korytarzu. Wtedy zobaczyła uśmiechającą się ironicznie Marusię, która odprowadziła do pracy swoją nową pielęgniarkę i specjalnie poczekała na jej pierwszą reakcję. Widząc kpiący wzrok blokowej i jej szyderczy uśmiech, Marianna zacisnęła zęby, nabrała w płuca powietrza, zrobiła ostatni normalny oddech i po raz drugi przekroczyła próg sali.

Pierwsze wrażenie było okropne. Do ostrego, nieprzyjemnego zapachu należało jeszcze dodać wstrząsający widok. Skrajnie wycieńczeni chorzy w większości leżeli na piętrowych pryczach, czekając na pomoc. Tylko nieliczni mogli zwlec się ze swoich legowisk. Ci ostatni obstąpili piecyk i przypiekali na nim kawałki chleba i inną żywność. Zanim Marianna przywykła do widoku swoich podopiecznych i wdobyła się w nowe obowiązki, na korytarzu zrobił się ruch i ktoś krzyknął, że wydawany jest posiłek. Faktycznie, po izbach roznoszono w kociołkach zupę uwarzoną z przecieranych kartofli. Tylko taką „dietetyczną” potrawę można było zapewnić z sowieckich kuchni polowych. Mając w pamięci uwagi dr. Bellerta i siostry Przybyszowej, Marianna Rogoż osobiście wydawała posiłek swoim chorym. Tym będącym na chodzie – po jednej czwartej menażki lub miski, tym skrajnie wyczerpanym – zaledwie po kilka łyżek zupy.

Przez cały dzień Marianna wykonywała normalne czynności – myła chorych, poprawiała im poślanie i zmieniała pościel, którą najczęściej stanowiły koce. Te najbardziej zanieczyszczone ekskrementami wyrzucała na zewnątrz, a przynosiła nowe, czyste, pochodzące jeszcze z dobrze zaopatrzonych niemieckich magazynów. To podczas tej czynności zauważyła, że wielu byłych więźniów w siennikach ukrywa resztki jedzenia, np. kawałki chleba. Nie pomagały tłumaczenia, że głód już im nie grozi.

Przeżyty obozowy koszmar i skrzywienie psychiczne powodowały, że chorzy cały czas gromadzili żywność i chowali ją w najróżniejszych zakamarkach na wypadek głodu. Oprócz tego polska pielęgniarka dozowała swoim podopiecznym lekarstwa doustne, dożylnie i domięśniowe. Okazało się przy tym, że wielkim problemem są zastrzyki, ponieważ byli więźniowie jak ognia bali się szczypień. Ci bardziej opanowani z nieukrywającym strachem w oczach pytali:

– A co to jest? A do czego to służy?

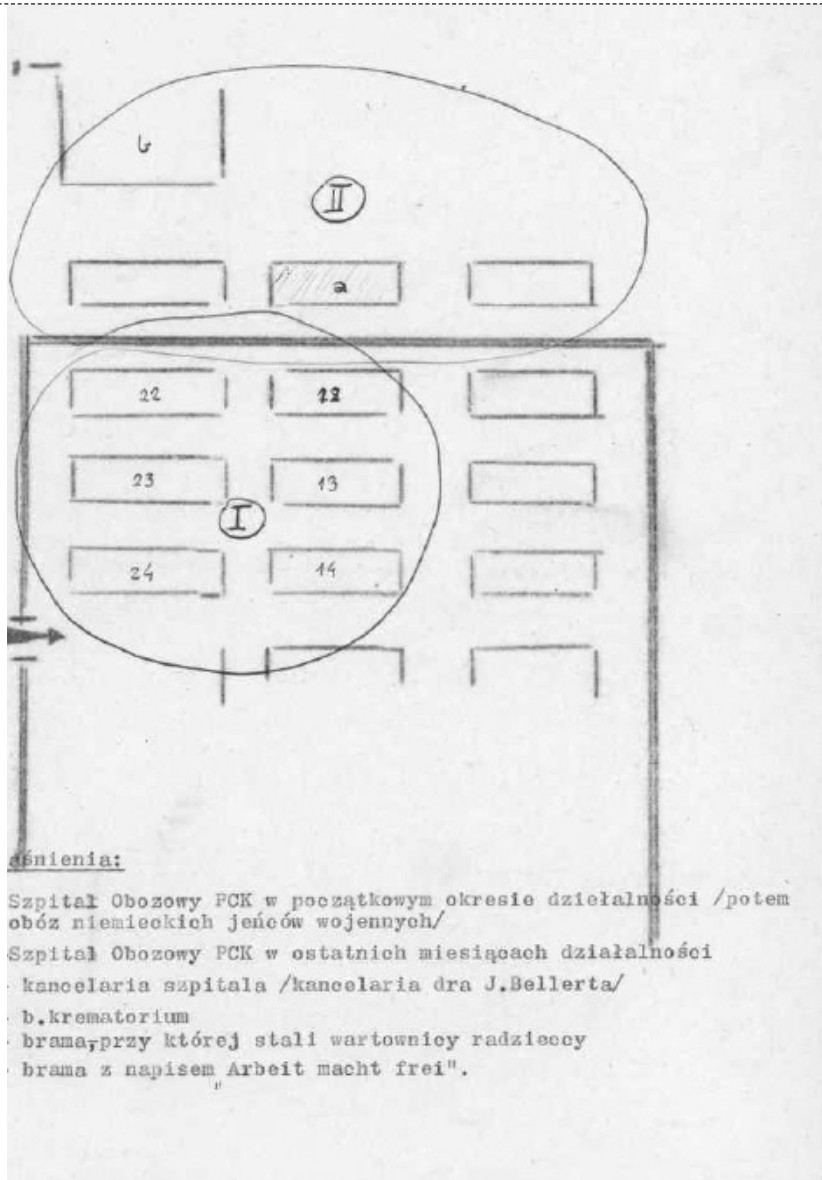
Inni byli tak potwornie przerażeni, że gotowi byli porwać i potłuc strzykawkę albo uciec w jak najdalszy kąt pokoju, byle tylko nie dostać zastrzyku. A przecież podawano im niezbędne dla nich lekarstwo. Miesiące niewoli i zwierzęcego upodlenia zrobiły swoje. W niemieckim obozie złe wieści rozchodziły się szybko – wkrótce wszyscy więźniowie wiedzieli, że jednym z głównych sposobów uśmiercania ludzi przez Niemców w obozach koncentracyjnych było podawanie im trucizny (fenolu) właśnie w zastrzykach. Kolejną uciążliwością dla świeżo upieczonej pielęgniarki była powszechnie występująca wśród chorych biegunka głodowa (z niem. *durchfall*). Będąc sama na nocnym dyżurze Marianna nie miała nikogo do pomocy. Musiała sama obsłużyć swoich 80 podopiecznych. Zdarzało się, że w środku nocy, wykorzystując chwilę spokoju, usiadła gdzieś na krześle na korytarzu przy otwartych drzwiach sali. Nie miała jednak żadnego szans na zmrúzenie oczu – za moment z najróżniejszych zakątków pokoju dawało się słyszeć słabe, pełne cierpienia głosy:

LEKARZ Z AUSCHWITZ

– *Schwester! Schieber! Schwester! Schieber!* (siostrzo, basen).

Najgorsza jednak była śmierć pacjentów. Podczas jej pierwszego nocnego dyżuru z 80 chorych na jej sali kobiet zmarło aż jedenaście. Po stwierdzeniu zgonu, z niemałym wysiłkiem Marianna musiała ściągnąć czasami ciepłe jeszcze ciała z łóżka na przygotowany pod spodem koc. Kiedy nieboszczyk znalazł się już na kocu rozłożonym na podłodze – to był właściwie dopiero początek wysiłku. Prawdziwym wyzwaniem było wytaszczenie zwłok na korytarz. Drobną dziewczyna zapierała się nogami i pracując z całych sił, po troszeczkę posuwała się do przodu, pociągając za sobą koc ze zmarłym. Były momenty, kiedy spocona i całkowicie wyczerpana z sił opadała na podłogę, aby choć przez parę sekund odpocząć. Kiedy po dłuższej chwili podejmowała wysiłek, zdarzało się, że koc zaczepiał o jakieś wystające drewniane drzazgi pryczy albo zmarły nie chciał zmieścić się w wąskich przejściach pomiędzy gęsto ustawionymi łózkami. Musiała wtedy sama, bez żadnej pomocy, nie mała się naszarpać, aby ściągnąć nieboszczyków z łóżka i wytargać na korytarz. Dopiero rano przychodzili sanitariusze i zabierali zwłoki z bloku, dziwiąc się, że aż tylu chorych odeszło z tego świata w ciągu jednej nocy.

Wielkie stado gawronów siedziało na ziemi i grzebało pazurami w dopiero co odtajałym śniegu, szukając widocznie pożywienia w trudnym okresie przednówka. Co poniektóre ptaki pracowały też dziobami, tłukąc nimi głęboko w rozmrożonej ziemi. Szczęśliwcom udało się nawet znaleźć coś większego i odlatywały wówczas szybko ze swoją zdobyczą w dziobie, ścigane niekiedy przez zazdrosnych sąsiadów. Większość ptaków pracowała wytrwale, nie zwracając uwagi na otoczenie i zjadając od razu jakieś obudzone z zimowego snu pędraki, czy drobne nasiona roślin. W pewnym momencie największy ptak pierwszy zauważył niebezpieczeństwo i zaskrzeczał przeraźliwie. Nadjeżdżająca w oddali konna furmanka, głośno hałasująca swoimi nienaolionymi osiami, nie stanowiła jednak żadnego zagrożenia dla pozostających w sporej odległości ucztujących ptaszysk, na



Szkic rozmieszczenia bloków obozu macierzystego wykorzystanych na potrzeby szpitala obozowego PCK w Oświęcimiu; na podstawie relacji dr. Jana Szczęśniaka (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

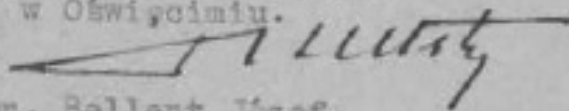
dodatek odgrodzonych od zaprzęgu wysokim i gęstym ogrodzeniem z drutu. Pomimo to zaalarmowane przez przywódcę stado zerwało się do lotu, przekrzykując nawzajem i w powietrzu już formując jako taki szyk. Chmura czarnych ptasiów zatoczyła łagodny łuk, zbliżając się do ogrodzenia wyznaczającego granicę byłego obozu. Zaraz też stado rozpierzchnęło się na wszystkie strony, nawet na milimetr jednego pióra nie wlatując w powietrzną przestrzeń niemieckiego byłego obozu Birkenau.

Całe to zdarzenie obserwował mężczyzna, który wbiwszy łopatę w ziemię, chwilowo oderwał się od żmudnej pracy. Stał teraz wyprostowany i osłaniając ręką oczy przed drażniącym słonecznym światłem budzącej się wiosny, zadziwiony patrzył na umykające stado gawronów. Mężczyzna już wcześniej słyszał opowieści o tym, że na terenie obozu nie można uświadczyc żadnych zwierząt oprócz szczurów, a wszystkie ptaki omijają szerokim łukiem niebo nad obozem. Dopiero teraz jednak, wraz z przyływem cieplejszej temperatury w ostatnich dniach lutego, na własne oczy przekonał się, że to najprawdziwsza prawda. Ochotnik Zdzisław Bosek z Brzeszcz jeszcze długo wodził wzrokiem za oddalającą się czarną chmurą ptaków. Dopiero gdy obok zatrzymał się wóz, który z daleka spłoszył ptactwo, chwycił łopatę i wrócił do pracy. Trzeba przyznać, że jego robota nie należała do przyjemnych.

Po raz pierwszy od kilkunastu już dni śnieżnych zadymek i siarczystego mrozu na niebie pojawiło się słońce, a wraz z nim powiał ciepły wiatr, zapowiadający nadejście tak upragnionej wiosny. Momentalnie w ciągu dnia puściły lody i zaczął topnieć zalegający na polach od listopada śnieg. Przez kilka godzin temperatura skoczyła o kilkanaście stopni, a śnieg i lód zamieniły się w błotnistą breję. Ta nagła zmiana pogody stała się powodem, że w sztabie osób odpowiedzialnych za szpitale funkcjonujące na terenie byłych niemieckich obozów w Oświęcimiu i Brzezince (sowieckie szpitale polowe i polski szpital PCK), ktoś na serio zaczął się obawiać

Oświęcimiu od dnia 24 lutego 1945r do chwili obecnej.
nie z powodu likwidacji szpitala odchodzi w celu dalszego
nia się w służbie pielęgniarskiej.
ez, cały czas swojej pracy wykonywała powierzone sobie obowiąz
arannie i wykazała zdolności i pracowitość, zasługując z tego
a uznanie, ze strony przełożonych lekarzy i Zarządu Szpitala.
trza Rogoż Marii życze na dalszej drodze życia owocnych wyni
y i dziękuję za ustosunkowanie się, do swych obowiązków w imie
ny.

Lekarz Naczelny P.C.K.
w Oświęcimiu.



/-/ Dr. Bellert Józef.

im
a 1945r.

**Podpisany przez dr. Bellerta dokument Marii Rogoż, poświadczający,
że pracowała w Szpitalu Obozowym PCK w Oświęcimiu
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

wybuchu zaraźliwej epidemii pośród chorych. Gwałtowna odwilż odsłoniła płytkie groby pomordowanych i zmarłych więźniów, a wysoki skok temperatury sprawił, że zakopane jedynie pod śniegiem lub przetrzymywane w pomieszczeniach zwłoki zaczęły się szybko rozkładać. Postanowiono w trybie pilnym przenieść wszystkich znajdujących się jeszcze w Birkenau chorych do szpitala w obozie macierzystym i w ciągu kilku dni kawalkada samochodów i furmanek pracując non stop przetransportowała chorych z Brzezinki do Oświęcimia. Po drugie zdecydowano, aby zebrać wszystkie zwłoki do jednego wielkiego grobu umiejscowionego na terenie obozu macierzystego. W tym celu należało ekshumować zmarłych pochowanych w prowizorycznych grobach i zalegających w najróżniejszych zakamarkach obozu w Brzezince oraz zabrać zwłoki zalegające w bloku nr 11.

Szybka poprawa pogody i gwałtowna odwilż pomagały co prawda kopać w zamrożonej do niedawna ziemi, ale też stwarzały poważne zagrożenie szybkim gniciem ludzkich szczątków i wybuchem epidemii. Dlatego niezwłocznie ruszyły w teren specjalne brygady robocze składające się najczęściej z polskich ochotników PCK, odkrywające masowe groby i przemieszczające zwłoki w jedno miejsce. Pośród takich właśnie robotników pracował teraz Zdzisław Bosek, który już dawno pozbył się zniszczonego sowieckiego munduru i miał na sobie jakąś cywilną kapotę. Po krótkiej przerwie wykorzystanej na obserwację dziwnego zachowania ptaków, przez długie minuty pracował zawzięcie, odkrywając połacie ziemistego błota. Przybycie wozu, którym transportowano ciała, zwiększyło tempo prac i Polacy pracujący obok Zdziśka machali teraz łopatami i szpadlami jak na wyścigi. Wkrótce zdjęli wierzchnią warstwę błota i rozbili cienką już skorupę zmarzliny, docierając do... szaroburych rozciągniętych koców. Jedynie przez chwilę trwała konsternacja robotników, bowiem ktoś ściągnął pierwszy koc, odkrywając całe zwały pomieszanych ze sobą nagich szarych rąk, nóg, torsów i głów. Szybko się okazało, że działający widocznie pod presją czasu Niemcy pod kocami ukryli masowy grób pełen szczątków pomordowanych ludzi, lekko tylko przysypany ziemią.



Oddział gruźliczny na poddaszu bloku 22. Na pierwszym planie dr J. Jodłowski, obok stoi pielęgniarka L. Połońska. W łózkach leżące były więźniarki (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Wszystko się zgadzało – według oświadczeń niektórych więźniów na końcu obozu, praktycznie już przy samym ogrodzeniu, miały jeszcze być doły z ludzkimi zwłokami.

Po odkopaniu grobu i ściągnięciu koców ludzkie szczątki ostrożnie przenoszono na wóz. Kiedy furmanka była pełna, woźnica odwoził transport do jednego z drewnianych baraków znajdujących się nieopodal zburzonego krematorium, mniej więcej pośrodku obozu. W baraku tym od świtu do zmierzchu pracowała sowiecka komisja lekarska. Na specjalnie zbitych drewnianych dużych stołach lekarze przeprowadzali oględziny i sekcję zwłok, zapisując wyniki w specjalnym grubym brulionie. Po tej czynności polscy ochotnicy z PCK przynosili zwłoki do innego pomieszczenia i wkładali je do trumien. Te drewniane skrzynie na bieżąco wykonywała inna grupa ludzi, również pracując bez przerwy. Jednakże z braku materiału na trumny i ze względu na obfitość ludzkich szczątków, do jednej skrzyni wkładano po trzy, niekiedy cztery i pięć ciał – ile tylko można było zmieścić. Tak przygotowane i napełnione do granic możliwości skrzynie zabijano gwoździami i przewożono – ustawione po kilka, kilkanaście na konnych wozach – do bloku nr 11 w obozie w Oświęcimiu. Blok ten na długie dni stał się miejscem przetrzymywania ludzkich zwłok i zamkniętych już trumien. W ostatnich dniach lutego 1945 roku trwały przygotowania do uroczystego pogrzebu masowych ofiar niemieckiego ludobójstwa. Według oficjalnych wyliczeń przygotowano wówczas do pochówku 700 ludzkich szczątków. Zdzisław Bosek zapamiętał to trochę inaczej i według niego liczba ta jest stanowczo zaniżona. Zgodnie z jego późniejszą relacją do pogrzebu przygotowano wtedy około tysiąca, a może i więcej zwłok.



Zwłoki więźniów obozu KL Auschwitz pozostawione w jednej z sal bloku 11 (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, fot. S. Mucha, luty/marzec 1945)



**Wejście na dziedziniec bloku 11, wprost na ścianę straceń, widok współczesny
(fot. Szymon Nowak, 2019)**



POWRÓT NADLUDZI

Zima 1945

Młody student medycyny i obecny pracownik ochotniczego szpitala PCK w Auschwitz po zejściu z nocnego dyżuru marzył tylko o śnie. Słońce jednak tak mocno świeciło przez okno jego pokoiku, że za żadne skarby nie mógł ani na chwilę zamknąć oczu. Na początku przekręcał się z boku na bok i układał w taki sposób, aby schować twarz w cieniu. Potem próbował zasłaniać twarz kocem, ale wtedy brakowało mu tlenu. Wreszcie wstał i zdesperowany zaczął zastawiać okno jakimiś kocami, ale wynikiem jego mozolnej pracy było tylko zerwanie solidnych niemieckich karniszy. Wkurzony odstawił opadłą rurę w kąt, a zwinięty koc odrzucił na stolik, niestety tak niefortunnie, że rozsypały się ułożone na nim przy ścianie kolumny książek. Jego zdenerwowanie sięgało zenitu. Miał spać po nocnej pracy, a teraz nie pozostawało mu nic innego, jak uprzątnięcie zasłanej setkami porozrzucanych woluminów podłogi.

Były powstaniec z batalionu „Chrobry II”, 22-letni Andrzej Zaorski, bezmyślnie na powrót ustawiał książki, zzymając się na złe słońce i niesprawiedliwość tego świata, kiedy nagle jedna otwarta przy upadku książka szczególnie zwróciła jego uwagę. Bogato opisane zdjęcia najróżniejszych ptaków na kartach znalezionej woluminu zupełnie nie współgrały z tym miejscem. Trochę zaskoczony podniósł książkę i spojrział na okładkę. Wydany w Wiedniu w 1942 roku 52. „Rocznik Muzeum Historii Naturalnej” nic mu nie powiedział. Wrócił więc do artykułu z ptakami i odczytał nazwisko autora oraz tytuł: dr Günther Niethammer *Obserwacje nad ptakami Auschwitz (wschodni Górny Śląsk)*. Dalej w periodyku znajdowały się treści w języku niemieckim, bogato ilustrowane

zdjęciami polskich ptaków, które można było spotkać na tym terenie. Fotografie przedstawiały ptaki na wolności, jak również już wypchane okazy. Jako zakładki w książce znajdowały się kartki z odręcznymi notatkami najprawdopodobniej autora tekstu, mapka szkicowana ołówkiem, przedstawiająca miejsca zawieszenia budek lęgowych na terenie Auschwitz i Birkenau, oraz osobno włożone dwa zdjęcia. Na pierwszej fotografii uśmiechnięty mężczyzna w tyrolskim kapelusiku stał przy rowerze ze strzelbą na ramieniu, bardziej przypominał łowczego z Bawarii niżli hitlerowskiego funkcjonariusza. Druga fotografia rozwiewała wszelkie wątpliwości – ten sam mężczyzna stojący przy bramie wjazdowej do KL Auschwitz w mundurze SS, z trupią główką na czapce. Z tyłu obu fotografii widniał podobny podpis – Obersturmführer SS, doktor ornitologii Günther Niethammer. Końcowy tekst artykułu o oświęcimskich ptakach również nie pozostawiał złudzeń: *(...) mogłem się temu zajęciu oddać i wyrobić sobie dosyć kompletny obraz ornitologicznych stosunków tych interesujących i jeszcze zupełnie nieopisanych nowych niemieckich terenów wschodnich, szczególnie jeśli idzie o gatunki ptactwa tu gniazdującego. Zawdzięczam to ogromnemu zrozumieniu, jakie nieustannie wykazywał komendant KL Auschwitz, Sturmbannführer Höss i jego adiutant, Obersturmführer Frommhagen, dla naukowego poznania tych terenów oraz zadań badawczych, jakie stawia niemiecki wschód przed nauką.*

Andrzeja Zaorskiego najbardziej zainteresowała mapka z budkami dla ptaków. Faktycznie, już wcześniej zauważył, że na terenie KL Auschwitz znajduje się ich dość sporo, ale do tej pory nie zaprzętał sobie tym głowy. Teraz, po przypadkowym znalezieniu artykułu niemieckiego SS-mana i ornitologa opisującego ptactwo w Auschwitz, postanowił wyjść na powietrze i zrobić sobie spacer śladami wyrysowanych na mapce budek. Sen i tak nie przychodził, a piękny ranek zachęcał do wędrówek. Zresztą sprawa hitlerowskiego ornitologa, który był równocześnie strażnikiem SS w obozie koncentracyjnym, już sama w sobie stanowiła nie



**Dyrektor szpitala dr Józef Bellert podczas pracy w swoim gabinecie
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

lada ciekawostkę. Ptasich domków rzeczywiście było całe mnóstwo, niektóre dość zmyślnie ukryte pomiędzy konarami drzew. Andrzej spacerował z głową zadartą ku górze. Wyszukiwał zaznaczone przez Niemca na mapce budki i próbował obserwować żyjące tutaj ptaki.

Na granicy miasta skończyła się mapa, ale on dalej szedł przed siebie, rozmyślając o SS-manie zakochanym w polskim ptactwie. Początkowo czuł nawet niewielką sympatię do niemieckiego ornitologa. Im bardziej jednak zagłębiał się w sprawę i starał się zrozumieć tego człowieka, tym bardziej przeżywał wstrząs. No bo jak można było chodzić pomiędzy mordowanymi i umierającymi dookoła ludźmi i obserwować sobie życie ptaków w górze pośród drzew, nie zauważając jednocześnie makabry rozgrywającej się dookoła na ziemi. Szwabska hipokryzja!

Dopiero teraz zauważył, że zamyślony doszedł już do wejścia na teren KL Birkenau. Postanowił i tutaj rozejrzeć się za ptakami. Ale Brzezinka była olbrzymią pustynią, jeśli chodzi i o ptaki, i o drzewa – na kilku tysiącach hektarów nie można było uświadczyc choćby jednego z nich. Tylko słupy podtrzymujące druty kolczaste, wieżyczki wartowników i szczyty barakowych dachów stanowiły najwyższe punkty na tym obszarze. Dopiero daleko na horyzoncie widniała linia lasu pełnego drzew, na których z pewnością mieszkają też ptaki.

W pewnym momencie, rozglądając się wokoło, Andrzej Zaorski zauważył dziwny, załamujący promienie słoneczne i błyszczący przedmiot. Tyle już razy nasłuchiwał się legend o złocie spływającym nurtami Soły i jego drobinkach odnalezionych w hałdach popiołów Brzezinki, że w pierwszej kolejności pomyślał o jakiejś złotej szczęce czy mostku dentystycznym. Kiedy jednak podszedł bliżej, wiedział już, że to tylko zwykła półlitrowa butelka. Ostrożnie wyjął ją z popiołów, z niemałym trudem odkręcił i spostrzegł wewnątrz podniszczony papier. Była to złożona kartka, na wierzchu zapisana w języku francuskim i zaadresowana ogólnie do Polskiego Czerwonego Krzyża. Ponieważ list nie był w kopercie, a tylko złożony, Andrzej, szukając czegoś więcej, rozwinął kilka

LEKARZ Z AUSCHWITZ

kartek papieru. Szczegółowy adres odbiorcy listu we Francji znajdował się dopiero w wewnętrznej części korespondencji, ale mimo to mężczyzna nie przestawał czytać.

Autor listu kierował swoje słowa do mieszkającej we Francji żony. Opisywał swój straszliwy los i obozowe przeżycia, jakie przypadły mu w udziale jako pracownikowi krematorium zatrudnionemu przez Niemców. Francuz wyraźnie zaznaczał, że na pewno zginie, tak jak zginęli wszyscy jego koledzy i poprzednicy zatrudnieni w ekipie krematoryjnej. Z dalszej treści listu wynikało, że nie miał żadnej nadziei na zobaczenie kiedykolwiek żony i dlatego na papierze dawał jej szereg wskazówek życia po wojnie. Prosił, żeby w przyszłości nigdy nie przyjeżdżała do Auschwitz, Birkenau i w ogóle do Polski. Osoba, która napisała list i umieściła go w butelce, doskonale zdawała sobie sprawę, że Niemcy wywozili popioły z Birkenau i rzucali je do Soły. Miała też nadzieję, że butelkę ktoś wyłowi z rzeki, a list trafi ostatecznie do adresata.

Andrzej Zaorski przeraził się szcztawszy czasami nawet intymne wyznania obcego Francuza. Złożył jednak starannie kartkę i schował ją za pazuchę, obiecując sobie własnoręcznie dostarczyć list do ambasady francuskiej w Warszawie. Osobista tragedia francuskiej rodziny to było prawdziwe życie i realny dramat. To nie był bujający w obłokach i nudzący się na warcie SS-mański ptasznik z Auschwitz.

Blisko trzydziestoletnia kobieta w białym fartuchu i ze strzykawką w ręku zatrzymała się w biegu, nasłuchując przez chwilę. Zdawało się jej, że przed momentem słyszała grzmoty zwiastujące nadciągającą burzę. Ale przecież w lutym nie ma w Polsce burz i wyładowań atmosferycznych. Stała jak wryta, a kiedy przez dłuższy moment było cicho, ruszyła dalej do swoich obowiązków. Zdążyła dać zastrzyk jednej pacjentce, zmierzyć temperaturę kilku następnym, wreszcie standardowo podała lekarstwa grupie osób leżących na tej sali. Kiedy wyszła na korytarz, ponownie powrócił złowróżbny pomruk. Była już pewna, że to z pewnością nie mogło być złudzenie. Szybko zakończyła czynności medyczne i weszła na stryszek, aby lepiej widzieć... No właśnie, tylko nie

Powrót nadludzi

wiadomo co. Nadciągającą burzę? Będąc już na poddaszu, zbliżyła się do okienka wychodzącego na południe. Faktycznie, pośród ogólnej nieprzeniknionej ciemności, daleko na horyzoncie można było dostrzec zapalające się błyski. Rzeczywiście z oddali wyglądało to na błyskawice, którym towarzyszyły pomruki grzmotów. Trochę zdezorientowana zeszła na dół i wyszła na zewnątrz, aby jeszcze raz spojrzeć w niebo. Kiedy już znalazła się przed budynkiem, do dalekich pomruków dołączył jeszcze jeden, zupełnie inny odgłos. Z oddali brzmiało to jak wycie i zgrzytanie równocześnie. Nieprzyjemny dźwięk narastał i narastał, aż przemienił się w głośny, jednostajny huk sunący wprost na nią.

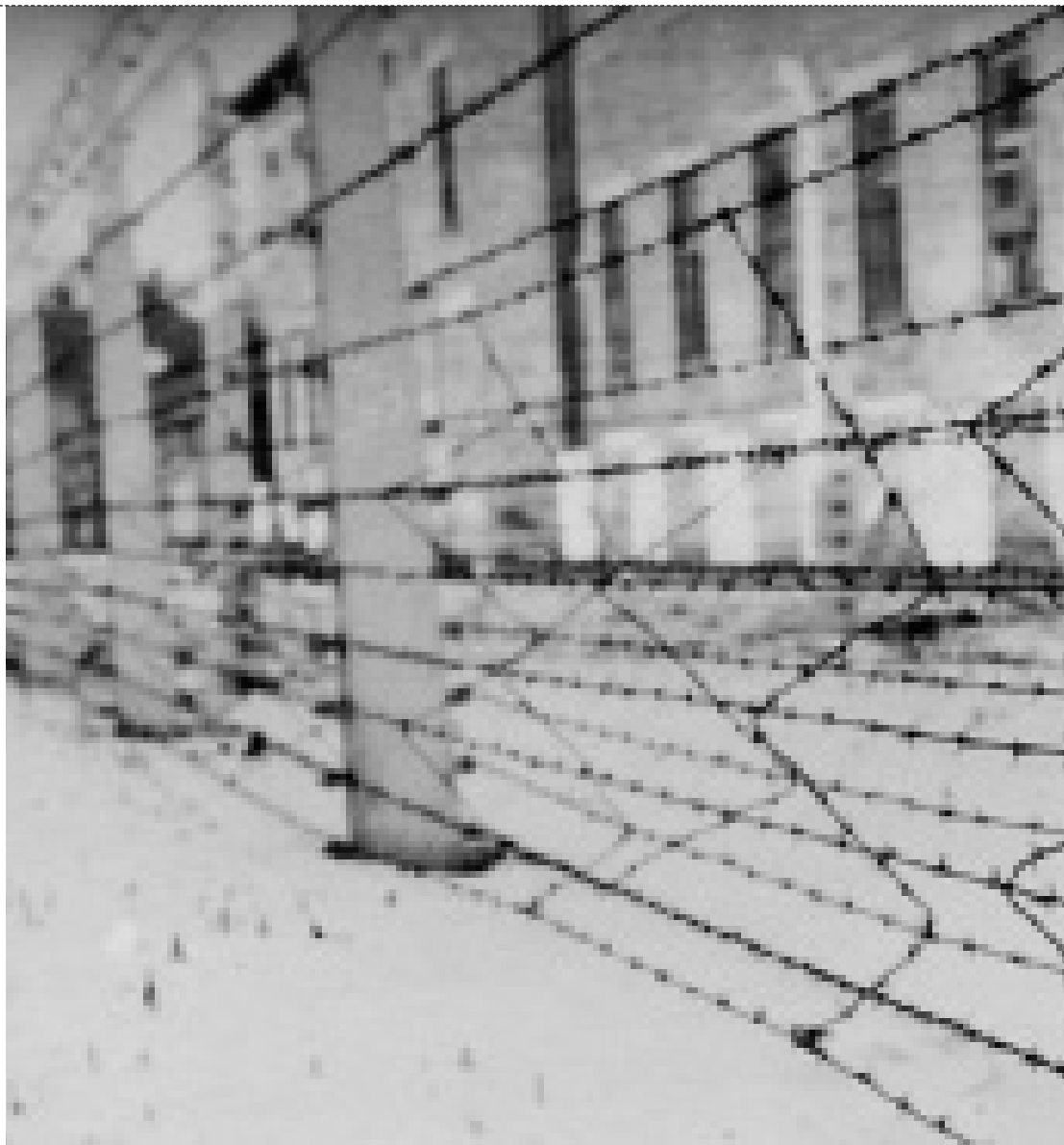
Pielęgniarka szpitala PCK w Oświęcimiu Joanna Jakobi musiała zakryć uszy, gdy kolumna sowieckich czołgów, jadąc na pełnym gazie i wrywając spod gąsienic ziemię i kawałki kocich łbów, przemknęła ulicą sąsiadującą z obozem. Za tankami jechał jeszcze dłuższy konwój ciężarówek zapakowanych do granic możliwości uzbrojonymi po zęby krasnoarmiejcami. Pielęgniarka ze zdziwieniem zauważyła, że kolumna kieruje się dokładnie w stronę nadciągającej rzekomej burzy.

Nie wyzbywszy się do końca wątpliwości, siostra wróciła do budynku i zajęła się normalnymi szpitalnymi obowiązkami. Kiedy właśnie zaczęła wydawać swoim podopiecznym posiłek na kolację, nagle drzwi rozwarły się z łoskotem i do pokoju wpadł zdyszany polski sanitariusz.

– Wojna! Wrócili! – O mało nie wypuściła na podłogę pełnej miski, gdy wydarł się na całe gardło, wzbudzając przerażenie wśród chorych. – Niemieckie wojska zbliżają się do Oświęcimia. Bardzo możliwa ewakuacja szpitala. Bądźcie gotowi w każdej chwili do natychmiastowego wyjścia.

Skończył i chciał biec dalej, ale wyjście skutecznie zastąpiła mu Joanna.

– Stój, człowieku! Jaka znowu wojna, miesiąc po wyzwoleniu? Jakie znowu niemieckie oddziały?



**Auschwitz. Fragment ogrodzenia obozowego i drutów,
z prawej blok nr 11. Fot. Z. Klewander, zima 1945/1946
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**



LEKARZ Z AUSCHWITZ

– Przekazuję tylko to, co mi kazali ruscy dowódcy – już chciał ją wyminąć, by gnać dalej, ale dziewczyna nie dawała za wygraną i łapiąc go za rękaw, jeszcze raz stanęła mu na drodze.

– Zaraz, zaraz, bracie. Mnie możesz powiedzieć. – Pierwsza wyszła przez drzwi i wyciągnęła zdyszanego chłopaka na zewnątrz, cały czas trzymając go mocno, aby nie uciekł.

Ledwie łapał oddech i tłumaczył, że musi jeszcze obskoczyć mnóstwo budynków, aby dać znać o grożącym niebezpieczeństwie. Kiedy jednak Joanna nie puszczała jego ramienia, a on sam troszkę się uspokoił, zaczął mówić:

– Wiem tylko tyle, że Niemcy przerwali front i duży ich oddział zbliża się do Oświęcimia. Mnóstwo ich wojska z czołgami było okrążone przez Ruskich pod Żywcem. Właśnie udało się im stamtąd przebić i idą jak burza prosto na nas. Sowiecki komendant miasta zarządził już ewakuację, ale nim wszyscy dadzą dyla, naprzeciw Niemcom wysłane są wszystkie oddziały, jakimi dysponują Ruscy w tym rejonie, a więc uzbrojone kuchciki, sanitariusze i kwatermistrze. Szykuje się niezła jatka pod miastem.

– Ale co my mamy robić?

– Przygotujcie się do wymarszu. Przygotujcie niezbędne rzeczy, które jesteście w stanie zabrać na własnych barkach ze sobą. Bądźcie gotowi do wyjścia i czekajcie na dalsze wskazówki – wyrwał się z jej objęć, a ona już nie chciała dłużej go zatrzymywać. Szybko wróciła na swoją salę, jeszcze raz dokładnie przekazała hiobową wiadomość i wydała odpowiednie dyspozycje. Pacjenci przerazili się nie na żarty, ale też część z nich – ta, która była już na chodzie – od razu zaczęła przygotowywać się do drogi, pakując nader skromny dobytek w podręczne tobołki, szykując buty i odzież wierzchnią. Gorzej mieli ci chorzy, którzy nie byli w stanie ani chodzić, ani nawet wstać z łóżek o własnych siłach. To nimi targał największy strach, kiedy zadawali wokół dziesiątki pytań:

– A co będzie z nami?

– Weźmiecie nas, obłożnie chorych, ze sobą?

Powrót nadludzi

– Zostawicie na pastwę Niemców? Ja się nigdzie nie ruszam. Ja już raz przeżyłam ewakuację obozu. Nigdzie się nie wybieram.

– Kogo z pacjentów zabierzecie ze sobą?

– Czy przyjadą po nas samochody?

– Nic więcej nie wiem – próbowała opanować sytuację i uspokoić rozgorączkowanych ludzi Joanna Jakobi. – Kto może, niech się przygotowuje do wyjścia. Kto nie może wstawać, musi cierpliwie czekać. Jeśli naprawdę dojdzie do ewakuacji szpitala, z pewnością wszyscy ranni zostaną ewakuowani w bezpieczne miejsce. Proszę się nie obawiać, nikt z personelu medycznego nie odejdzie od łóżek, jeśli przynajmniej jedna osoba zostanie w szpitalu.

Chwilowo sytuacja została opanowana, a pacjenci przynajmniej choć trochę uspokojeni. Po dodających otuchy słowach pielęgniarka wyszła do swojej służbówki i sama szybko przygotowała do zabrania najpotrzebniejsze rzeczy. Potem wróciła do sali i pomagała pacjentom w pakowaniu ich rzeczy. Wkrótce wszystko było przygotowane do ewakuacji. Chorzy poruszający się o własnych siłach siedzieli na łóżkach gotowi w każdym momencie do wyjścia. Bardziej denerwowali się leżący pacjenci, uzależnieni całkowicie od pomocy innych ludzi. Ale i oni się uspokoiли, widząc krzątających się po korytarzach sanitariuszy z noszami.

Późnym wieczorem na nocnym niebie spotęgowały się błyski ostrzału artyleryjskiego i z wielokrotną siłą huk kanonady armatniej, zwiastując kulminację prowadzonej walki i niebezpieczeństwo dla Oświęcimia i szpitala PCK. Ludzie niepewnie zerkali po sobie, ściskając w dłoniach węzełki na drogę i zadając trudne pytania: Co dalej? Co z nami?

Inni, ci bardziej zdenerwowani, wychodzili na dwór w oczekiwaniu na spodziewany w każdym momencie wymarsz. Kiedy nic takiego nie następowało, jeszcze bardziej zaniepokojeni wracali do siebie i zdając relację innym współtowarzyszom niedoli, tylko powiększali ich niepewność i zdenerwowanie. Długie nocne godziny trwał alarm w obozowym szpitalu i stan czujności dla pacjentów. W środku nocy Joanna kilkakrotnie wchodziła na stryszek obserwować ogień toczącej się właśnie w oddali bitwy. Potem

LEKARZ Z AUSCHWITZ

wychodziła na dziedziniec obozowy, gdzie mimo zapowiedzi ewakuacji przez całą noc panował względny spokój. Zdenerwowani niepewną sytuacją i czuwający praktycznie przez całą noc chorzy dopiero nad ranem zmęczeni poszli spać. Ona sama również przed brzaskiem zdrzemnęła się nieco. Wraz z nadejściem zorzy dnia z radością zauważyła, że coraz rzadsze pomruki huku armat się oddaliły, aż wreszcie stopniowo wygasły. Widocznie sytuacja na froncie została opanowana, a niebezpieczeństwo nagłej ewakuacji szpitala w środku nocy, być może pod gradem wrogich pocisków – zażegnane.

Dr Bolesław Urbański do obozowego szpitala w Oświęcimiu dołączył pod koniec lutego 1945 roku i nie miał możliwości pracowania w placówce znajdującej się w Brzezince. Ale o KL Birkenau słyszał już tyle rzeczy i zawsze interesowało go to miejsce, że szczerze pragnął zobaczyć tę część niemieckiego obozu, aby na własne oczy przekonać się o krematoriach, komorach gazowych i hałdach usypanych z ludzkiego prochu. Niestety w natłoku medycznych obowiązków w obozie macierzystym przez pierwszy okres pracy dosłownie nie miał na to ani chwili czasu, pracując po 16, a niekiedy nawet 24 godziny na dobę. Dopiero w połowie marca sprawy zaczęły się normować i wreszcie któregoś dnia doktor Urbański, zaopatrzony w lornetkę i aparat fotograficzny, wyszedł na dłuższy spacer.

Od razu skierował się na drogę prowadzącą do Brzezinki. Minął przejazd kolejowy i niebawem dotarł do dużego murowanego budynku, będącego jednocześnie bramą wjazdową do obozu. Kiedy ją przekroczył, znalazł się jakby w zupełnie innym świecie, o którym na długie tygodnie zapomniała ludzka cywilizacja. Wysokie wiosenne trawy zaczęły porastać całą wolną przestrzeń, powoli zajmując puste do niedawna miejsca na torowisku i zwirowanych ścieżkach kompleksu. Zdarzało się, że rośliny wily się przez rozbite drzwi i okna, wpełzając do opustoszałych baraków. Wiosenne szaleństwo flory nie współgrało jednak w tym miejscu z fauną. Wolna przestrzeń obozu i odkryte niedawno masowe groby wabiły tylko gromady szcurów, których i tak nie można było uświadczyc tutaj



**Pokój lekarza naczelnego Szpitala Obozowego PCK w Oświęcimiu
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

w słoneczne piękne popołudnie. Zabawiający się właśnie w obserwatora życia zwierząt i roślin doktor ze zdziwieniem odkrył, że na terenie obozu Birkenau nie można zobaczyć ani jednego wróbla, sikorki, zająca czy lisa. Może wszystkich tych mieszkańców pól i lasów zniechęcił odór zgnilizny, który ciągle wisiał nad obozem. Bo przecież ekspansji dzikich zwierząt nie wstrzymywało ogrodzenie, które zostało już w wielu miejscach przerwane.

Obserwując przez lornetkę otoczenie, Bolesław Urbański zrobił kilka starannych zdjęć i tak spacerując i zataczając koła, znalazł się prawie na krańcu obozu. Zrobiło mu się nieswojo, kiedy spostrzegł, że jest tuż przy zburzonym przez Niemców krematorium. Z jednej strony korciło go, aby wejść w ruiny i dokładnie spenetrować ten element niemieckiego mechanizmu zagłady. Z drugiej strony jednak bał się sam wkraczać w nieznanne i niezbadane wcześniej rewiry. Słońce już zachodziło, kiedy wycofał się sprzed krematorium i rozpoczynając powrót do Oświęcimia, kierował się prosto na wschód.

Przechodził właśnie obok górki usypanej porządnie z ludzkiego prochu, kiedy znowu poczuł niepokój. Był tak blisko ludzkich spopielonych szczątków. Myśląc, że to jest właśnie przyczyna jego trudno wytłumaczalnego strachu, zaczął okrążyć hałdę, aby jak najszybciej ją minąć i zostawić z tyłu. Dodatkowa droga wydłużyła jednak czas trasy jego powrotu. Hałdę miał nieustająco w polu widzenia, kiedy ostatni rąbek słońca skrył się za horyzontem. Od razu zrobiło się jeszcze bardziej nieswojo, ciemniej i zimniej. Chociaż dla odmiany przestał wiać wiatr. Zrobiło się zimno, ciemno i cicho. Mężczyzna coraz bardziej wydłużał swoje kroki, aby wreszcie opuścić niegościnne miejsce. Ogromna przestrzeń KL Birkenau sprawiała jednak, że niewiele oddalił się z miejsca, z którego zawrócił. Kiedy oglądał się za siebie, ciągle widział ruiny krematorium i hałdy ludzkiego popiołu.

Na dodatek w wiszącą w powietrzu ciszę wdarł się dziwny, niespotykany tutaj dźwięk. Warkot silnika samochodowego nijak się miał do pustyni panującej na obszarze obozu w Brzezince, skąd daleko było – o dobrych kilka kilometrów – do najbliższej



**Zdjęcia SS-manów, strażników z załogi KL Auschwitz
(Instytut Pamięci Narodowej)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

normalnej drogi. Słuch doktora jednak go nie zawodził. Faktycznie, silnikowe wycie narastało i narastało. Nie wiedząc, co się dzieje, Bolesław Urbański zszedł ze żwirowej ścieżki i wkroczywszy prawie po pas w wysokie badyle roślin, ukrył się za belką stojącej tutaj drewnianej wieżyczki.

Bardziej spodziewał się zabłąkanej kolumny sowieckich samochodów, która nie znając dobrze drogi, zagubiona tutaj się pojawiła. Zadygotał, kiedy ujrzał wyjeżdżające zza zakrętu samochody z czarnym krzyżem na drzwiczkach. Uklęknął szybko kryjąc się wśród traw, nie zwracając już uwagi na to, że właśnie brudzi sobie odświętne wyjściowe spodnie.

Jadący na przedzie wielki, generalski samochód osobowy Adler wyjechał zza hałdy, zrobił okrążenie i zatrzymał się nieopodal krematorium, wzbudzając przy hamowaniu wielką mgławicę kurzu. To samo zrobiła jadąca za nim ciężarówka. Kiedy tylko pojazdy się zatrzymały, z adlera wysiadł oficer i przyłożył lornetkę do oczu. Doktor Urbański przez moment był przekonany, że Niemiec patrzy dokładnie na niego. Jeszcze bardziej się zniżył i starał się złąć z otoczeniem, jednocześnie nie przerywając obserwacji.

Z ciężarówki najpierw wyskoczyła drużyna żołnierzy SS, którzy sprawnie jak na ćwiczeniach rozstawili dwa cekaemy, sytuując swoje stanowiska wylotem luf w kierunku wschodnim – to z Oświęcimia spodziewali się jakiegoś przeciwdziałania. Z osobowego auta wysiadło kolejnych dwóch oficerów i z mapą w rękę zaczęli krokami odmierzać odległość od narożnika zburzonego krematorium. Pozostali żołnierze niemieccy wyskakiwali z paki ciężarówki i zawiesiwszy na plecach swoje karabiny oraz pistolety maszynowe, ze szpadlami w rękach na wyścigi zajęli się kopaniem.

Przez dłuższy moment w górze fruwały jedynie wyrzucane szpadlami kęsy ziemi. Przez cały ten czas jeden z oficerów bacznie lustrował okolicę przez lornetkę. To samo czynili dowódcy karabinów maszynowych, a ich celowniczości nie spuszczały palca ze spustu. Ukryty w trawie Polak również chciał wziąć lornetkę do ręki, aby bliżej przyjrzeć się niespodziewanym gościom. Bał się jednak, że błysk światła w szklach jego binokli może zdradzić

Powrót nadludzi

szkopom jego pozycję. Z tego samego powodu zrezygnował z wykorzystania w tej sytuacji aparatu fotograficznego i zrobienia kilku zdjęć.

Po kilku minutach pracy hitlerowskie szpadle zazgrzytały na niewidocznym dla Urbańskiego i ukrytym w ziemi przedmiocie. Po krótkiej pracy dwóch hitlerowców wskoczyło do wykopu i z niemałym trudem wyciągnęło stamtąd dwie duże skrzynie. Żołnierze zataaszczyli je do ciężarówki i wsunęli na pakę. Potem wrzucili szpadle i sami wskoczyli do auta. Na koniec do osobówki wsiedli oficerowie, a obsługa cekaemów zwinęła swoje stanowiska. Kiedy wszyscy SS-mani byli już w pojazdach, te z rozpędu szurając po żwirze oponami szybko odjechały na zachód, kryjąc się za zwałami hałd.

Kiedy znowu zrobiło się cicho i spokojnie, z chaszczy wyszedł również dr Urbański i nie oglądając się już za siebie, rzucił pędem do Oświęcimia, aby powiadomić o Niemcach tamtejszy sowiecki garnizon. Na przeciwdziałanie było już jednak za późno. Niemiecki oddział jak niespodziewanie pojawił się w Brzezince, tak niespodziewanie zniknął nie wiadomo gdzie. Można tylko się domyślać, co mogło być ukryte w wykopanych skrzyniach. Bolesław Urbański był przekonany, że Niemcy zabrali ze sobą schowane tu wcześniej cenne przedmioty zrabowane przez hitlerowców ofiarom masowej eksterminacji.

Istnieją jednak przesłanki bardziej wskazujące na to, że w zakopanych skrzyniach mogły być rzeczy o wiele cenniejsze dla hitlerowców i bardziej dla nich niebezpieczne, niż zrabowane mienie, czyli niewywiezione wcześniej dokumenty świadczące o ich zbrodniach przeciwko ludzkości i akta osobowe załogi fabryki śmierci.



**Z kroniki filmowej – żołnierze sowieccy nad zwłokami w dołach śmierci,
styczeń/luty 1945 (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

SZACUNEK

1945

Długi rząd niezliczonych trumien ustawionych równo obok siebie robił niesamowite wrażenie. Zdawało się, że tylko nagła jedno-razowa katastrofa mogła pochłonąć aż tyle ofiar. Dopiero szybka lustracja całego otoczenia wyjaśniała wiele budzących się wątpliwości – baraki, rozciągnięte druty, wieżyczki strażnicze. Każdy, nawet najmłodszy uczestnik mszy pogrzebowej w Oświęcimiu zdawał sobie sprawę, co tu się dzieje i kim są grzebani właśnie ludzie. Jednak chyba nigdy w historii miasta nie chowano do wielkiego masowego grobu aż tylu trumien na jeden raz.

W nieprzebranym tłumie ludzi na pierwszy plan wychodzili oczywiście inicjatorzy całej uroczystości, a więc księża katoliccy, zakonnice i ministranci. To oni prowadzili mszę pogrzebową i asystowali w ceremonii. W drugim rzędzie rzucali się w oczy Sowietci w mundurach – oficerowie, żołnierze, lekarze szpitala polowego i sanitariuszki. Spośród nich najbardziej ruchliwą grupką była ekipa filmowców i fotografów, która z kamerami i aparatami fotograficznymi w rękach biegała w najróżniejsze strony, aby znaleźć najlepsze stanowisko i sfilmować (sfotografować) jak najwięcej momentów z toczącej się uroczystości. Trzecią grupę stanowili Polacy, mieszkańcy Oświęcimia, Brzezinki i innych okolicznych miejscowości, z przedstawicielami władz miasta na czele. W polskiej miejscowej społeczności na pierwszym planie rzucali się w oczy członkowie orkiestry dętej z kopalni „Brzeszcze”. To oni, zanim jeszcze na dobre rozpoczęła się ceremonia, wygrywali najróżniejsze, smutne tym razem, utwory muzyczne.

Polaków niezmiernie cieszyły jednak przemycane w repertuarze ckiwe, ale wówczas już politycznie niepoprawne, wojskowe

LEKARZ Z AUSCHWITZ

melodie *My Pierwsza Brygada, Szara piechota* czy *Rozkwitały pąki białych róż*. W polskiej grupie można było też zaobserwować wystające spod płaszczy i jesionek części białych fartuchów należące do lekarzy oraz pielęgniarek z obozowego szpitala PCK. Ostatnią, czwartą grupę również wyróżniał charakterystyczny strój. Wiadomo, że pasiaki były domeną byłych więźniów, a na mszy pogrzebowej zebrał się bardzo liczny tłum ludzi pochodzących z najróżniejszych krajów Europy, mówiących obcymi językami, wyznających inną wiarę. I chociaż niektórym z nich bardzo daleko było do Boga katolików i wiary w Jezusa Chrystusa, i chociaż część z nich zupełnie nie rozumiała ani po polsku, ani po łacinie, bardzo żarliwie uczestniczyli we mszy świętej, płacząc ze wzruszenia na wspomnienie swoich zamordowanych braci.

– Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli. – rozpoczął mszę świętą ksiądz Jan Skarbek. – Chwalimy Cię. Błogosławimy Cię. Wielbimy Cię. Wysławiamy Cię. Dzięki Ci składamy, bo wielka jest chwała Twoja.

W asyście licznego zastępu księży ksiądz prałat prowadził liturgię, a w kazaniu podkreślał dziękczynienie za odzyskanie wolności. Wspominał również tragiczny los zgotowany ludziom przez Niemców.

– Jesteście największą relikwią obecnego świata i chlubą naszych czasów – mówił ksiądz, zwracając się przede wszystkim do byłych więźniów. – Nie możemy takiego boskiego zadatku w żaden sposób zmarnować i roztrwonić w naszych ludzkich ułomnościach i przyziemnych porachunkach. Bądźmy chlubą naszej cywilizacji i posłańcami samego Jezusa Chrystusa. Głośmy Słowo Boże i dajmy wszystkim świadectwo naszego życia, naszej wiary, doznanych w nim cudów. Bo czyż nie jest cudem to, że jesteśmy tutaj razem pośród żywych? Że chowając naszych zmarłych braci i siostry w chwili uroczystości pogrzebowych, my sami możemy czuć się wreszcie wolni?

W ostatnich dniach obóz w Birkenau przeszedł znaczną zmianę. W związku z przeniesieniem wszystkich chorych do szpitala



**Sowiecki lekarz mjr Polakow, Genowefa Przybysz, dr Z. Makomaski
i komendantka sowieckiej jednostki wojskowej mjr Żylinskaja
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**



Teren KL Birkenau. Trumny ze zwłokami więźniów niemieckiego obozu, które przeniesiono na cmentarz. (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, fot. B. Borysow, 28 lutego 1945)



LEKARZ Z AUSCHWITZ

w obozie macierzystym, opustoszały zapyziałe drewniane baraki, straszące teraz pustymi otworami drzwi i okiennic. Miejscami zniknęły całe połacie zasieków z drutów i niektóre drewniane wieżyczki rozebrane w czasie największych mrozów na opał. Martwy teren obozu odstręczał teraz wszystkich, nawet najbardziej zjadłych szabrowników. Nawet teraz, w czasie katolickiego uroczystego nabożeństwa, widać było, że pośród szarych bloków, drutów i wielkich kałuż wody, na tym terenie panuje tylko śmierć.

– I ja wam powiem, Jezus też był w Auschwitz. Jezus też był w Birkenau. Jezus Chrystus był w każdym niemieckim obozie śmierci. I jego również niemieccy oprawcy mordowali zastrzykiem z trucizną, gazowali na śmierć i palili w krematorium. I jego głodzili, wieszali i bili pałkami. Z jego włosów hitlerowcy robili sienniki, z jego skóry wykonywali abażury do lamp i okładki do książek. Jego kości służyły Niemcom do robienia makabrycznych mebli, a jego czaszka ozdabiała biurka esesmańskich dygnitarzy. To jego Najświętszą Krew germańscy barbarzyńcy wykorzystywali do swoich pseudomedycznych doświadczeń, wstrzykując do niej zarazki najbardziej wymyślnych i okropnych chorób. On był tutaj. Był pośród was. To wy jesteście dowodem na to, że on tutaj był – żyjecie, macie siłę uczestniczyć we mszy świętej, dajecie świadectwo jak tutaj można było przetrwać i co tutaj naprawdę działo się w czasie niemieckich rządów.

Kiedy ruszył orszak żałobny, prawie każdy wzdrygnął się z zimna, ale wszyscy byli radzi, że wreszcie opuszczają to nie-miłe, niegościnne miejsce. Korowód prowadzili ministranci, siostry zakonne i księża, intonujący po drodze pieśń żałobną. Zaraz do głosów ziemskich pasterzy dołączyło kilka tysięcy silnych głosów należących do wiernych idących w kolumnie, cierpliwie postępujących za wolno jadącymi konnymi platformami załadowanymi po brzegi trumnami. Wkrótce w sam środek nieboskłonu popłynęły słowa pieśni:

Przybądźcie z nieba na głos naszych modlitw. Mieszkańcy chwały, wszyscy święci Boży. Z obłoków jasnych zejdźcie aniółowie. Z rzeszą zbawionych spieszcie na spotkanie. Anielski orszak

niech twą duszę przyjmie. Uniesie z ziemi ku wyżynom nieba. A pieśń zbawionych niech ją zaprowadzi. Aż przed oblicze Boga Najwyższego.

Pogrzebowy korowód ciągnął się długą i grubą ludzką wstęgą, począwszy od bramy obozu Birkenau, poprzez drogi i pola Brzezinki, a skończywszy na przedmieściach Oświęcimia. Chociaż akurat była odwilż, kapiąca gęstymi strugami z dachów i pławiąca się w nieprawdopodobnej ilości kałuż, to ludzie zziębnięci na lutowym chłódzie mocniej stawiali kołnierze i mimochodem przyspieszali kroku. Niedługo od rozpoczęcia marszu cała kolumna przejechała pod bramą *Arbeit macht frei*, minęła dawny blok SS i zatrzymała się obok wykopanego nieopodal wielkiego dołu. To tutaj złożono grubo ponad 100 trumien z ciałami pomordowanych i zmarłych więźniów obozu. Kiedy zakopano dół i księża zakończyli cmentarną ceremonię, wszystkie polskie głosy wyśpiewały ku niebiosom:

Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki. Otaczał blaskiem potęgi i chwały. Coś ją osłaniał tarczą Twej opieki. Od nieszczęść, które przygnębić ją miały. Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!





Ministranci i siostry zakonne uczestniczący w zbiorowym pogrzebie pomordowanych przez Niemców więźniów KL Auschwitz i KL Birkenau (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, fot. W.J., 28 lutego 1945)

PACJENCI I MEDYCY

Luty 1945

Silniki samochodowe pracowały równo, wyrzucając z rur wdechowych kłęby dymu. Wskutek podmuchów wiatru w dymie spalinowym kilka razy znaleźli się stojący opodal kierowcy przygotowanych do drogi ciężarówek. Dusili się wtedy niemiłosiernie i uciekali z ciemnego, gryzącego obłoku w inne miejsce. Było to trochę dziwne zachowanie, zważywszy na to, że mężczyźni, widocznie się niecierpliwiąc, cały czas palili papierosy, a ciężki kaszel dopadał ich dopiero wtedy, kiedy zawionęła ich chmura spalin od samochodów. Głośny kaszel kierowców miał też chyba inne, konkretne znaczenie. Było to również działanie trochę na pokaz, mające zwrócić uwagę sanitariuszy, że kierowcy czekają już zbyt długo, a silniki pojazdów z pewnością są już rozgrzane. Była to czynność jak najbardziej usprawiedliwiona. Na początku lutego panował tęgi mróz, a wokół leżało mnóstwo śniegu. Długie stanie na mrozie bez większego ruchu powodowało szybkie przemarzanie ludzkich organizmów. Dlatego też co jakiś czas kierowcy wykonywali dziwaczne ruchy – podskakiwali, machali rękami i tupali w miejscu – próbując się rozgrzać i odzyskać czucie w przemarzających z wolna palcach rąk i nóg.

Kiedy mężczyźni dopalili papierosy, a z budynku, przed którym stali, w dalszym ciągu nie było żadnego odzewu, ich dowódca postanowił działać. Jan Grabczyński, oddelegowany teraz do łączności pomiędzy szpitalem obozowym PCK w Oświęcimiu a Krakowem, miał dziś do wykonania wyjątkową misję. Jego działanie uzależnione było jednak od pacjentów, którzy do tej pory nie pojawili się w drzwiach szpitala. Dlatego nie czekając już dłużej,

wskoczył do kabiny swojego wozu i zgasił silnik. To samo uczyniło dwóch innych kierowców. Potem odetchnął głęboko kilka razy, by wreszcie wkroczyć do obozowego bloku, stanowiącego teraz istotną część polskiego szpitala.

Niezatrzymywany przez nikogo Grabczyński wszedł do środka i przeskakując dla rozgrzewki po kilka schodków, kierował się w stronę gabinetu lekarskiego. Nagle niesamowity wrzask zatrzymał go w miejscu. Głos dochodził gdzieś z dołu, z parteru, ale był tak przeraźliwie głośny, że z pewnością rozchodził się po całym wielkim budynku. Na pewno zresztą usłyszeli go też pozostali na dworze kierowcy, którzy trochę zbici z tropu odruchowo mocniej naciągnęli na głowy czapki i stanęli bliżej swoich samochodów. Było to jakby nienaturalne, zwierzęce wycie przechodzące jednocześnie w coś na kształt charchotu jakiegoś mitycznego potwora. Grabczyński wzdrygnął się usłyszawszy ten odgłos, ale kiedy nieludzki wrzask powtórzył się kilka razy, odważnie zawrócił na niższy poziom. Poruszając się za głosem, wszedł niepewnie do znajdującej się od razu przy wejściu na parter sanitarnej dyżurki. To na niej działy się dantejskie sceny i stamtąd wydobywały się okropne wrzaski wywołujące wśród słuchaczy gęsią skórkę. W kącie pomieszczenia na szeroko rozstawionych nogach, z rozcapierzonymi pazurami stała gotowa do obrony albo ucieczki kobieta w pasiaku. Dopiero przy bliższej lustracji można było zauważyć, że była więźniarka miała szalony wzrok, potargane włosy i rozmemłaną więzienną bluzę. Z trzech stron podchodziły do niej szpitalne pielęgniarki, tłumacząc coś spokojnie i stopniowo się zbliżając. Jedna z nich trzymała w rękę strzykawkę. Trochę z tyłu za pielęgniarkami posuwał się dr Jan Oszacki, który przyjechał w zorganizowanym w Krakowie transporcie, aby tam przewieźć z Oświęcimia umyślowo chorych pacjentów. Po wtargnięciu Grabczyńskiego, tylko jedna z pielęgniarek zauważyła jego wejście i od razu, by wyjaśnić całą sytuację, powiedziała krótko:

– Furiatka...

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Kiedy wydawało się, że monotonna mowa uspokoiła chorą psychicznie kobietę, a pielęgniarki zbliżyły się do niej już na tyle, że mogłyby ją zatrzymać i zrobić wreszcie potrzebny zastrzyk, ta zawyla przeraźliwie i podskoczywszy do jednej, gwałtownie wyrwała jej strzykawkę z ręki. Rzuciła ją od razu na podłogę, tłukąc w drobny mak, skoczyła zwinnie na stół i po chwili znalazła się w drugim końcu pokoju, okupując teraz przeciwległy kąt pomieszczenia. Dwie siostry i dr Oszacki natychmiast ruszyli do niej, odcinając jej możliwość ucieczki przez drzwi. Trzecia pielęgniarka, zrezygnowana, zaczęła zbierać resztki rozbitej strzykawki z podłogi i dopiero teraz zauważyła stojącą w drzwiach postać Grabczyńskiego.

– Sami nie damy rady – powiedziała jakby do siebie, ale zaraz potem, patrząc już prosto w oczy Grabczyńskiemu dodała: – Niech pan nam pomoże i zawoła też pozostałych kierowców.

Skoczył na jednej nodze, a w tym czasie pielęgniarka od strzykawki zajęła jego miejsce, blokując skutecznie drzwi. Kiedy wrócił z towarzyszami, w sanitarce niewiele się zmieniło. Trzy kobiety i jeden mężczyzna – wszyscy w białych kitlach, w tym jedna siostra z nową strzykawką w ręku – próbowali schwytać zapędzoną w róg pokoju szaloną kobietę. Ta jednak ze skowyttem próbowała ich kąsać zębami albo uciekała w inną część pokoju, sprytnie lawirując pomiędzy meblami. Jan chwycił leżący na łóżku szary koc, rozwinął go przed sobą i trzymając jak rozpostartą przedziwną pelerynę, zbliżył się do wariatki. Za jego plecami posuwali się dwaj pozostali kierowcy, uważając, aby kobieta nie wymknęła się pomiędzy nimi. Tymczasem pielęgniarki z lekarzem dali za wygraną i usunęli się do tyłu. Trzej mężczyźni powoli się zbliżali, a Jan rozpoczął długi, monotony monolog, opowiadając, jak to w przyszłości będzie pięknie, spokojnie i bogato.

I stało się coś dziwnego – chociaż jego słowa były zapewne całkowicie niezrozumiałe dla kobiety, gdyż nie była Polką i nie rozumiała ani krzty po polsku, to jednak tembr jego głosu zaczął ją powoli uspokajać. Grabczyński zbliżał się do niej stąpając na palcach jak matador z rozciągniętym kocem-mulecą, ale jego widok



Wieże strażnicze KL Birkenau, widok współczesny. Fot. Szymon Nowak, 2019

LEKARZ Z AUSCHWITZ

zupełnie jej nie deprimował, szalona kobieta już nie chciała uciekać. Być może to widok białych fartuchów i strzykawki, zapamiętany z czasu niemieckich doświadczeń medycznych w obozie, sprawiała, że furiatka wpadała w niekontrolowany szał. Ubrany zaś w ciemnobrunatne kolory i po cywilnemu Grabczyński zupełnie nie rzucał się w oczy, wręcz stapiał się z panującym w pomieszczeniu szarym półmrokiem. Nie przerywając opowiadania o pięknej przyszłości Polski i ludzi ją zamieszkujących, stał już przy kobiecie. Łagodnie objął ją ramieniem i okrył kocem, jednocześnie mocno przytulając (a może raczej krępując?). Trzymając ją silnie w ramionach poprowadził chorą psychicznie do najbliższego łóżka, usadził na nim i odwrócił twarzą do ściany. Nie kończąc monologu, dał na migi znak, aby do kobiety podeszły pielęgniarki ze strzykawką, równocześnie swobodnie odchylił rąbek koca, odsłaniając nagie, chude ramię byłej więźniarki. W tym czasie, kiedy przedstawiał chorej wizję nowego świata bez bólu i cierpienia, dwaj jego towarzysze podeszli od tyłu i chwycili silnie ramiona kobiety. Kiedy była już całkowicie unieruchomiona, do akcji wkroczyła wreszcie siostra ze strzykawką i szybko zrobiła zastrzyk. Pacjentka, uspokojona tokiem słów Grabczyńskiego i jego ludzkim podejściem, przyjęła zastrzyk nadzwyczaj spokojnie i w zasadzie bez sprzeciwu, tylko nieznacznie drgnęła przy ukłuciu. Po zabiegu ponownie zawięto ją szczerlnie w koc i dodatkowo związane pasami, krępując jej ręce do tułowia. Lekarstwo zaczęło już działać i kobieta biernie przyjmowała wszystkie czynności wykonywane wokół niej. Bez problemu można było wyprowadzić ją na zewnątrz i usadowić na pace ciężarówka. Został z nią dr Oszacki, a Grabczyński i dwóch kierowców dalej asystowali pielęgniarkom przy kolejnych zabiegach szczepienia chorych psychicznie byłych więźniów. Wszystko potoczyło się dalej nadzwyczaj gładko. Bogatsi już o doświadczenie i pomni przejść z pierwszą, chyba najgroźniejszą furiatką, łagodnie przemawiali do chorych i zawijali ich w koce, dając poczucie bezpieczeństwa, a równocześnie robiąc zastrzyk z działającym szybko i skutecznie uspokajającym i nasennym lekarstwem. Po takiej aplikacji pacjenci stawali się apatyczni i senni, znosząc już spokojnie

wszystkie niedogodności i dając się bez problemu wyprowadzić ze szpitala.

Wkrótce trzy ciężarówki zapełniły się chorymi i korowód samochodów z otulonymi kocami i otumanionymi zastrzykami chorymi psychicznie wreszcie mógł ruszyć w drogę. Podróż nie trwała zbyt długo i po godzinie pierwszy pojazd kierowany przez Grabczyńskiego zatrzymał się przed krakowską kliniką psychiatryczną. Zaraz za nim dojechało trzecie w kolejce auto z lekarzem. Ale środkowego wozu długo nie było. Doktor pobiegł do szpitala, aby dowiedzieć się, czy czasem drugi samochód nie przyjechał przed nimi inną, krótszą trasą. Jan Grabczyński wypatrywał na ulicy przyjazdu samochodu, ale również zaczynał się poważnie niepokoić. W czasie trwającej ciągle wojny obawiał się, że może polski samochód wpadł w jakąś zasadzkę zagubionych hitlerowskich grup wojskowych. Gotów był nawet zawrócić i wyjechać naprzeciw zagubionej ciężarówce, ale obawiał się, czy czasem nie obudzą się pozostający na skrzyni i utuleni drogą do snu chorzy. Po kwadransie wrócił dr Jan Oszacki z wieściami, że w klinice nic nie wiedzą na temat zabłąkanego samochodu. Zdecydowano też, aby nie czekając już dłużej, przekazać do szpitala przywiezionych psychicznie chorych wraz z ich dokumentacją. Kiedy z pomocą przybyłych sanitariuszy zaczęto po kolei budzić pacjentów i przeprowadzać albo czasami nawet przenosić do budynku, wreszcie na ulicy pojawiła się zagubiona ciężarówka. Okazało się, że nieznający dobrze trasy kierowca po prostu zabłądził po drodze. Nie pomogło nawet to, że jechał w środku kolumny. Tak czy inaczej wszyscy chorzy zostali przekazani do kliniki, w której został też dr Oszacki. Po zakończeniu zadania Grabczyński odzyskał już wewnętrzny spokój. Po pomyślnym zakończeniu misji zwolnił kierowców wraz z samochodami, a sam, zostawiwszy przed szpitalem swoje auto, odprężony, na własnych nogach udał się do domu.

SŁOICZEK MUSZTARDY

Zima 1945

Młoda kobieta szybkim krokiem weszła na blok szpitalny i widząc, że właśnie rozpoczęto wydawanie posiłków, jako jedna z pierwszych chwyciła pełną miskę. Na zdziwione spojrzenie znajdującego się przy kotle sanitariusza, że wzięła porcję bez kolejki, odparła tylko:

– To dla pacjentki.

Wyminęła długi ogonek czekających na wydanie posiłku pacjentów i przepchała się przez zatarasowane tłumem drzwi. Wzrokiem odszukała swoją chorą na końcu sali i po chwili stanęła przed nią uśmiechnięta.

– Dzień dobry pani Anastazjo.

– A witaj, drogie dziecko – powiedziała staruszka, która praktycznie od początku śledziła jej wejście. – Mów mi Nastka. Bo wiesz, u nas we Lwowie to Anastazja mówiło się na stare baby, a Nastka na młode. A ja ciągle wolę być zaliczana do tych młodszych – mrugnęła okiem i roześmiała się, wzbudzając suchy niezdrawy kaszel.

– Dobrze. Pani Nastko, zgodnie z obietnicą, przed wyjazdem do Krakowa melduję się u pani. No i mam dla pani obiad – powiedziała 31-letnia Zofia Bellert, stawiając na moment miskę na parapecie. Potem pomogła chorej usiąść na łóżku i poprawiła poduszki w taki sposób, aby można było w pozycji prawie siedzącej, nie wstając z łóżka, zjeść co nieco i nie zakrztusić się pokarmem. Usadowiła pacjentkę w tym naprędce ułożonym tronie i zaczęła ją karmić. Ale staruszka skrzywiła się już po pierwszej łyżce.

– Co to jest?

Zofia popatrzyła w talerz.



**Budynek dawnej administracji obozu, w którym mieściła się kancelaria szpitala PCK
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

– To chyba jakiś rzadki krupnik, bo widzę kaszę.

– Ale gdzie przyprawy? Gdzie pieprze, sól, ziele angielskie, liść laurowy? A gdzie warzywa – cebula, por, natka pietruszki, koperek?

– Yyyy, to wszystko pewnie zostało w kotle... – jąkała Zosia, próbując tłumaczyć kucharza, a jednocześnie wiedząc doskonale, jak smakuje cieniutka zupka ze szpitalnej kuchni.

– Moja droga, przecież ja nie odzyskam zupełnie sił, aby wrócić do domu. Na takich marnej jakości bulionach to ja długo nie pociągnę – marudziła kobieta, cierpliwie jednak jedząc łyżka po łyżce podawaną przez sanitariuszkę zupkę. Gdy skończyła, zsunęła się w poduszki trochę niżej i rozmarzyła się patrząc w nasłonecznione okno..

– Wiesz, dziewczynko, przed wojną we Lwowie to dopiero były restauracje. Taki Atlas, De la Paix, Szkocka... Serwowały najlepsze dania. Albo ta cukiernia Zalewskiego czy kawiarnia Elite. Tam wodnisteo krupniku, który wygląda i smakuje jakby – za przeproszeniem – psu dupę obmył, nie uświadczysz. Jak ja bym zjadła coś normalnego w smaku, coś ostrego. Może z dodatkiem musztardy albo przecieru pomidorowego? Bo papryki to pewnie nigdzie się nie znajdzie...

– Pani Anasta... Pani Nastko, ja przecież dziś, zaraz jadę do Krakowa odwiedzić kilku ozdrowieńców z obozu. Mogę się rozejrzeć za musztardą czy przecierem. Jak znajdę coś na targu, to kupię i przywiozę pani.

– Ale córciu, ja nie mam przecież ani grosza...

– Nic nie szkodzi. Kupię ze swoich, a jak będzie pani miała, to mi pani odda. Możemy się tak umówić?

– Jak najbardziej.

– W takim razie dobrze. Ja musze już lecieć – Zosia cmoknęła w czoło Anastazję, chwyciła pustą miskę i szybkim krokiem wyszła z pokoju. Staruszka znowu wróciła do swoich wspomnień o Lwowie, jednakże widocznie podświadomie czuła już na podniebieniu niezaznany od dawna ostry smak, bo szeptala bezwiednie do siebie, oblizując się równocześnie i mlaskając:

– Musztarda, przecier, musztarda...

Po wyjściu ze szpitalnego bloku Zofia Bellert wstąpiła jeszcze na swoją kwaterę, ale zaraz była z powrotem na dziedzińcu byłego obozu, gdzie czekał już na nią samochód. Wyjątkowo tak się złożyło, że pacjenci wypisani ze szpitala już siedzieli w wojskowym dodgu z wielką czerwoną gwiazdą na burcie i wszyscy razem, łącznie z kierowcą, czekali tylko na Zofię.

– No uważajcie, będzie trochę wiało – mówił kierowca uruchamiając silnik i poprawiając na głowie czapkę uszanke. Pomimo wiosennych roztopów i ciepłego słońca młody wojak, oprócz zimowej czapki, miał na sobie jeszcze kufajkę – ciepłą watowaną kurtkę. Oczywiście kierowca miał całkowitą rację, bo kiedy tylko ruszyli, wiatr od razu zaczął szaleć pomiędzy ich głowami. Terenowy wojskowy samochód, oprócz przedniej, pozbawiony był wszystkich innych szyb i dachu, a chłód przedwiośnia i szybka jazda sprawiały, że już na początku podróży wszystkim zrobiło się zimno. Po dziesięciu minutach zmarznęte opatulone kukły siedzące do tej pory nieruchomo na ławeczkach, zaczęły dygotać i szczękać zębami.

– Już niedaleko – od czasu do czasu cierpliwie powtarzał żołnierz, widząc sine twarze swoich pasażerów, ale nie zdjął nogi z pedału gazu, a jego pojazd pruł do przodu, tnąc równo na pół długą wstęgę szosy.

– Kapo! – wrzasnął nagle na całe gardło jeden z ozdrowieńców, patrząc przerażonymi oczami na mijaną właśnie na drodze ludzką postać. Kierowca dał ostro po hamulcach i prawie w miejscu zatrzymał amerykański wóz. Wywróceniu gwałtownym hamowaniem ludzie znajdujący się na pace powoli zaczęli zbierać się z podłogi, nie wiedząc początkowo, o co chodzi.

– To kapo z naszego bloku... – mówił były więzień, pokazując ręką na bogu ducha winnego człowieka idącego spokojnie poboczem. Kierowca chwycił pepeszę i pierwszy skoczył do przechodnia. Podchodził do niego, mierząc jednocześnie w jego pierś.

– Kim jesteście? Macie jakieś dokumenty? – pytał groźnie, a Zosia i kilku ozdrowieńców również wysiedli z samochodu. Zanim zaskoczony człowiek zdążył jakoś zareagować, przestraszony

LEKARZ Z AUSCHWITZ

były więzień, który był sprawcą całego zamieszania, ukrył się za samochodem, nie przestając mówić:

– To kapo z naszego bloku. Tak jak on, ma taką samą czarną kapotę i siwiejące włosy. To kapo. Musi mieć gdzieś ukrytą pałkę. Uważajcie, zaraz zacznie bić...

– Dawaj papiery! – rozkazującym tonem ponaglał człowieka z drogi coraz bardziej rozdrażniony żołnierz.

– Ja... Kowal z Brodły. Joachim Kowal – jąkał się człowiek, ale posłusznie trzęsącymi się rękami wyciągnął papiery.

– Skąd idziesz? Byłeś w obozie w Oświęcimiu? – pytał kierowca opuszczając broń i wyczytując z dokumentów, że faktycznie ma do czynienia z Joachimem Kowalem, obywatelem polskim zamieszkałym w Brodłach, rolnikiem wyznania rzymskokatolickiego.

– Panie, tamć, ja tutejszy. Nosa za gminę nie wystawiam we wojnę. Mieszkam i pracuję we wiosce. A wracam od sąsiada, bo zmawialiśmy się, kiedy i u kogo najspierw bedziem orać.

– Dobra, dobra. Idź już – speszony trochę żołnierz oddawał dokumenty mężczyźnie i szybko wrócił do kabiny. Popatrzył z wyrzutem na więźnia, zmarszczył brwi:

– Co to miało znaczyć?

Ten wzruszył ramionami:

– Nie wiem. Wyglądał jak nasz kapo. Identycznie. Taki sam płaszcz, ta sama postać, te same ruchy...

Samochód ruszył, kiedy wszyscy wrócili już na swoje miejsca. Nie przejechał następnych 10 kilometrów, gdy ten sam pasażer wybuchnął ponownie:

– Kapo! To ten skurwysyn z naszego bloku!

I znów samochód z piskiem opon zatrzymał się gwałtownie na jezdni. Tym razem mijali grupkę trzech mężczyzn ubranych w obozowe pasiaki i ciągnących za sobą niewielki wózek ze skromnym dobytkiem. Ubiór świadczył bezsprzecznie, że mężczyźni idą właśnie z Oświęcimia.

– Stać! – ryknął kierowca porwawszy ze sobą automat i zeskokczył z wozu. Zdezorientowani więźniowie o nieogolonych twarzach przerażeni patrzyli na wojskowy mundur i pistolet maszynowy.



**Zdjęcie grupowe przed budynkiem administracji.
Od lewej: L. Połńska, dr J. Magnuszewska, dr K. Gorajski; siedzą:
dr Makomaski, dr Jodłowski i pielęgniarka G. Przybysz z synkiem
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

– *Dżin dobli... France... Paris... Hitler kaput. Viva la Pologne!*
– dukali na przemian śledząc, gdzie dokładnie znajduje się wylot lufy pepeszy i czy żołnierz nie mierzy z broni akurat w ich kierunku.

– Macie jakieś dokumenty? – mówił skonfundowany po raz kolejny wojak, odwracając się i ze złością mierząc wzrokiem ukrywającego się za burtą wozu byłego więźnia.

– *Donner les documents* – pomagała żołnierzowi Zofia Bellert, która jako jedyna wysiadła z wozu i stanęła przy ramieniu kierowcy. – *S'il vous plaît.*

– *Oui, oui* – mówili wyciągając wypisane w języku rosyjskim papiery poświadczające ich tożsamość oraz informujące, że są byłymi więźniami niemieckiego obozu w Oświęcimiu. – *Nous allons... Krakow.*

– Tak, oni raczej też nie są kapo. – Zofia stojąca przy wojaku mówiła jakby do siebie, ale żołnierz poczerwieniał i zaczynał już się gotować z nerwów. Oddał dokumenty Francuzom i pożegnał ich, życząc dobrej drogi. To samo zrobiła po francusku Zosia, wykrzykując na koniec: *Vive la France! Vive la Pologne!*

– Jasna cholera – mówił zdenerwowany kierowca siadając za kierownicą i odstawiając pepeszę. Popatrzył bez słowa na winowajcę, który również nic nie mówiąc, chował się teraz za innymi siedzącymi na pace ludźmi, udając niewiniątka. – Jaki u licha kapo? Gdzie on jest?

Tym razem spokojna jazda trwała trochę dłużej. Może dlatego, że robiło się już późno i na drodze dłuższy czas nie spotykali nawet żywego ducha. Kiedy coraz bardziej zbliżali się do Krakowa, w oddali, w zapadającym zmierzchu, na końcu drogi zamajaczyły niewyraźnie dwie postacie. Kierowca umyślnie zapalił reflektory i podjeżdżał z wolna, specjalnie oświetlając tych ludzi. Już z daleka widać było, że idą dwie miejscowe kobiety, Polki, otulone w kraciaste grube chusty. Jedna starsza, a druga to kilkunastoletni podłotek. Były więzień przewożony na pace półciężarówki i tak nie wytrzymał napięcia:

– Kapo! To kapo z mego bloku. Boję się...

Śtoiczek musztardy

Rozpaczliwie ukrył twarz w dłoniach i tak schowany przed otoczeniem co chwila dygotał od spazmów. Tym razem nikt nie zareagował na jego fanaberie. Tylko Zofia siedząca najbliżej objęła schizofrenika ramieniem, dodając mu otuchy, a ich dodge pomknął dalej wprost do rogatek Krakowa.

Było już ciemno, gdy Zofia Bellert weszła do swojego pokoiku – noclegowni w „Domu Medyków” w Krakowie. Zrzuciła swój plecak na podłogę i usiadła w starym zapadłym fotelu, na chwilę zamykając oczy. Nie była jednak w stanie nawet na moment się zdrzemnąć. Czuła się paskudnie – była zmęczona, brudna i śmierdząca. Sen w takich okolicznościach według niej byłby bardzo nieodpowiedzialny. Postanowiła najpierw się umyć, a dopiero później udać się na spoczynek. Zresztą ciągle przeszkadzała jej też ta dziwna woń, która przez cały czas jej towarzyszyła. Myślała, że w Krakowie, miejscu dalekim od Oświęcimia, pozbędzie się tego wstrętnego zapachu. Jednak ona cała – jej skóra, włosy, ubranie – przesiąkła nim na wskroś. Nawet teraz, zamknięta na głucho w małym pokoiku w Krakowie, 60 kilometrów od Auschwitz, cały czas czuła ten dziwny, cikliwy, trudny do określenia słodkawych zapach. To było jak połączenie słodczy z mdlawą nutką spaleniźny. Taki niezidentyfikowany (bo bez ognia) słodkawych dym. Chcąc pozbyć się przykrewj woni, postanowiła wziąć kąpiel i umyć włosy, a całe ubranie, jakie miała na sobie, wywietrzyć na mrozie wieszając wszystko na poręczy balkoniku. Tak też zrobiła i prawie naga wyjrzała na mróz – zostawiła na balkonie odzież do przewietrze-
nia. Potem zamknęła się w łazience i napełniła ciepłą wodą wannę. Z prawdziwą rozkoszą zanurzyła się w niej, od razu popadając w błogostan i zapominając o wszelkich kłopotach.

Wreszcie się rozgrzewała i marząc o niebieskich migdałach, powoli oddalała się od rzeczywistości, nawet nie wiedząc, że właśnie zapada w sen. Wydawało się jej, że jest na pięknej łące pełnej zielonej trawy i kolorowych polnych kwiatów. Jej siostra szła za nią i śmiejąc się głośno, zrywała te kwiaty, dźwigała już całkiem spory mięsisty bukiet. Zofia szła przodem i uśmiechała się do siebie. Podświadomie wiedziała, że nie ma już wojny, nie ma

LEKARZ Z AUSCHWITZ

frontowych szpitali, że skończyło się powstanie i jej praca w szpitalu w Oświęcimiu, a w domu czekają rodzice. Czowała się szczęśliwa i radosna idąc na południe, kiedy słońce grzało jej twarz, a wiatr łaskotał we włosach. Zamknęła oczy wystawiając całe ciało na kojące działanie słońca, a uśmiech przez cały czas nie schodził z jej twarzy.

Kiedy po dłuższej przerwie je otworzyła, od razu zauważyła zmianę. Nie wiedzieć kiedy słońce zaszło już za horyzont, a jego ślad wyznaczała tylko pomarańczowa luna. Od razu zrobiło się ciemniej i chłodniej, wiatr bowiem, korzystając z nieobecności jaskrawych promieni zorzy, coraz śmielej sobie poczynił i dmuchał teraz na całego. Tarmosił też sukienkę Zosi, kołysał niemiłosiernie morzem traw i z pewnością wyrwał też bukiet z rąk Marysi. Zofia odwróciła się gwałtownie szukając siostry, ale ta jakby zapadła się pod ziemię.

Zaczęła wołać Marysię, ale na całej polanie była tylko ona sama. Kiedy zgasły ostatnie zorze słońca, wiatr jeszcze bardziej się wzmógł. Dął tak mocno, że o mało nie wyrwał przestraszonej już na dobre dziewczyny. Na dodatek zaczął padać tak silny deszcz, że spływał jej już strumieniem po twarzy, wpadając kroplami do ust i nosa.

Kilka razy zresztą zakrztusiła się już tą deszczówką. Zaczęła powrót i idąc z mozołem pod wiatr krok za krokiem próbowała łapać równowagę, ponieważ zdawało się jej, że pod wpływem wichru kołysze się nie tylko powierzchnia łąnu wysokich traw, ale buja się też cała ziemia. Nagle spostrzegła, że stoi na pustym placu pokrytym rozłożonymi równo szarymi obozowymi kocami.

Kiedy spojrzała pod swoje nogi, zauważyła, że spod najbliższego koca wystaje sina ludzka stopa. Przestraszyła się już na serio i chciała uciekać, ale nie mogła zrobić ani jednego kroku. To ziemiste trupie ręce wypełzły spod koców i schwyciły ją za nogi, blokując każdy ruch i wciągając pod ziemię do masowego grobu. Już była wewnątrz pośród trupich głów, rąk, nóg i przegniłych



Grupa byłych więźniarek KL Auschwitz leczonych po wyzwoleniu w szpitalu PCK na terenie obozu (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

torsów. Już zaczynała dławić się ziemią i nie mogła złapać oddechu, gdy...

Przeraźliwie krzyząc wyskoczyła z wanny, chlapiąc wszystko wokół. Przez moment przerażona patrzyła na bujającą się tafłę wody w wannie i gwałtownie oddychając, próbowała dojść do siebie. Dopiero po dłuższej chwili udało się jej opanować strach i wyrównać oddech.

W tym czasie powierzchnia wody już się uspokoiła, a Zofia zrozumiała, że nieopatrznie usnęła w kąpielni, a śniąc obozowe koszmary, zanurzyła się pod wodę i o mało nie utonęła. Chwyła przygotowany ręcznik i okryła się, a potem wyszorowała, skrupulatnie nacierając każdy skrawek ciała. Następnie włożyła jakąś przydługą koszulę nocną i wskoczyła pod pierzynę. Nie usnęła od razu. Ciągle wracał do niej ostatni senny koszmar, który jednocześnie budził strach przed powrotem do Oświęcimia i pracą w obozowym szpitalu PCK.

Rano wstała zmęczona, z dreszczami, bólem głowy i z obolałymi mięśniami. Kiedy spojrzała na zegarek, zaraz zaczęła działać w przyspieszonym tempie. Włożyła czystą bieliznę i wyskoczyła na balkon po ciuchy.

Potem, nie czekając, aż się trochę ogrzeją, zaczęła wkładać skostniałe na mrozie części garderoby. Szybko zbierała się do drogi, ponieważ zbliżała się godzina, na którą umówiła się z kierowcą na powrót do Oświęcimia. Chwyła swój tobołek, ale przed wyjściem powąchała jeszcze swoje ubrania i skrzywiła się rozczarowana. Pomimo całonocnego zimowego wietrzenia, jej nakrycia nadal wydawały przykrą obozową woń.

W marcu 1945 roku, podczas jeszcze trwającej wojny, Zofia Bellert nie wiedziała, że ten przeszkadzający jej ciągle zapach, to słodki i mdły odór palonego ludzkiego tłuszczu, który w czasach działania niemieckich krematoriów ciągle wisiał jak całun nad hitlerowskim obozem i pchał się wszędzie – do oczu, ust i nozdrzy, powodując mdłości. Fetor ten unosił się z pewnością nad obozem w 1945 roku. Nawet obecnie, po tylu latach, czasami czuć jeszcze jego przedziwną woń w rejonie niemieckiego obozu Auschwitz.



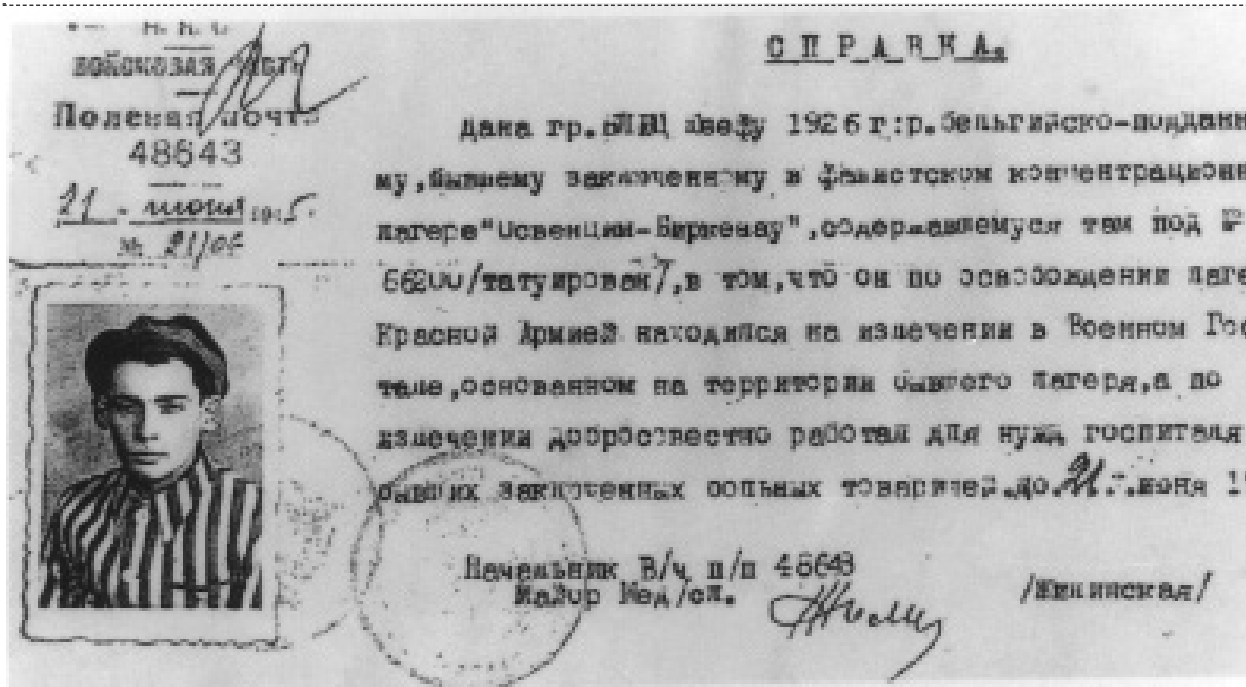
**Budynki i ogrodzenia z drutów w KL Auschwitz, widok współczesny.
Fot. Szymon Nowak, 2019**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Idąc na miejsce zbiórki umówione z kierowcą, Zofia zdążyła jeszcze wstąpić na targ i myszkując między straganami znalazła upragniony słoiczek z musztardą domowej roboty. Kiedy przyjechała do obozowego szpitala, od razu skierowała się do bloku pani Anastazji.

Dzierżąc w wyciągniętej przed sobą dłoni słoiczek musztardy z miną zwycięzcy wkroczyła na salę i stanęła przy szpitalnym łóżku. Wtedy zauważyła, że na pryczy pani Anastazji leży już jakaś inna kobieta. Zosia zmartwiała i dłuższą chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu, ani wykonać żadnego ruchu. Różne myśli kłębiły się w jej głowie, ale odpowiedź na stawiane znaki zapytania zdawała się oczywista. Zresztą przechodząca obok sanitariuszka znająca Zosię powiedziała głośno to, czego ta wcale nie pragnęła usłyszeć:

– Szukasz pani Nastusi? Staruszka zmarła dziś w nocy. Do końca cię wspominała i pytała, kiedy wrócisz z Krakowa i przywieziesz jej musztardę...



Dokument ze zdjęciem wydany dla Jozefa Blitz, byłego więźnia KL Auschwitz, nr obozowy 66200 (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)



**Krzyż Papieski na oświęcimskim żwirowisku. Z tyłu widoczny blok nr 11
(fot. Szymon Nowak, 2019)**



WIEŻA BABEL

Zima 1945

Młody lekarz z dwiema ładnymi pielęgniarkami kroczącymi przy jego boku stanął przy łóżku znajdującym się w samym kącie sali, przy oknie. To był już ostatni pacjent, a wieczorny obchód zbliżał się do końca. Lekarz spojrział na chorego, wziął kartę pacjenta z rąk pielęgniarki i zerknąwszy na nią, podniósł zdziwione oczy.

– Co to jest? – spytał pielęgniarki, wskazując na wpisane odręcznie nieczytelne gryzmoły w obcym języku.

– To notatki doktora Tibora Villanyiego. Byłego więźnia tego obozu. On jest Węgrem, tak samo jak ten pacjent.

– Ale kto to teraz odczyta? – lekarz nerwowo poprawiał końcówkę wiszącego mu na szyi stetoskopu.

– Może ta Rosjanka? – polska pielęgniarka wskazała będącą z nimi na obchodzie sowiecką sanitariuszkę i nie czekając na reakcję przełożonego, zwróciła się do niej łamiąc sobie trochę język.

– Marusia, ty gawarisz troszku po węgiersku? Madziar? Gawarisz?

– *Niet.*

– *A mozet czitajetie?*

Rosjanka tylko wzruszyła ramionami.

– No to mamy kłopot – doktor niecierpliwie masował swój kark, jak gdyby zmuszając się do szybszego myślenia i znalezienia wyjścia z tej sytuacji.

– A może ten pacjent sam trochę rozumie po polsku albo rosyjsku?

– Proszę pana – pielęgniarka bezceremonialnie potrząsnęła ramieniem chorego, budząc go chyba z głębokiej drzemki. – Pan jest Węgrem?

Wyrwany z objęć Morfeusza starszy mężczyzna długo wodził po gościach nicnierozumiejącym wzrokiem.

– Madziar? Madziar?

– *Igen. Jude. Zsido. Madziar.*

– Madziar – uśmiechnął się wreszcie po raz pierwszy polski lekarz, podsuwając pod nos choremu zapisaną kartę pacjenta.
– Przeczytaj to, proszę.

Nic nie pojmując z ostatniej uwagi lekarza, chory podświadomie bardziej czując, o co chodzi, niż rozumiejąc, wziął papiery i zaczął czytać. Naturalnie po węgiersku.

Wszyscy razem – lekarz, polska pielęgniarka i sowiecka sanitariuszka – ni w ząb nie rozumieli, co właśnie przekazuje im węgierski pacjent. W akcie rozpaczony doktor aż złapał się za głowę, gotowy rwać włosy z desperacji.

– Panie doktorze, niech się pan nie martwi. Wezwiemy tego lekarza z Węgier i on nam powie dokładnie, co zanotował w karcie pacjenta.

Siostra zawinęła się na pięcie i wybiegła z pokoju. Za kilka minut była już z powrotem, prowadząc pod rękę idącego z laską starszego mężczyznę w okularach i więziennym pasiaku.

– Panie doktorze, z nieba nam pan spada – chyba zbyt szybko ekscytował się stojący niecierpliwie u wezglowia pacjenta lekarz, podgryzający już nawet z nerwów swoje paznokcie. – Proszę powiedzieć, co dolega temu choremu i jakie ma przepisane lekarstwa. Bo widzi pan, niestety nie możemy odczytać pana wpisów na tej karcie.

Mężczyzna z laską uśmiechnął się dobrotliwie i wzięwszy w rękę kartę pacjenta, szybko i wyczerpująco wyrecytował po węgiersku wszystko to, co zapisano w dokumencie. Polski lekarz, łącznie z asystującymi mu pielęgniarkami, zrobił baranie oczy.

– A może by tak po polsku lub rosyjsku? Proszę...

Na błagalne spojrzenie węgierski lekarz odpowiedział znowu potokiem obcych słów. Może nawet w jego wypowiedzi pojawiały się jakieś nazwy chorób czy leków mówionych po łacinie, ale czy to niewyraźny tembr jego głosu, czy też całkowite zaćmie

LEKARZ Z AUSCHWITZ

słuchaczy wskutek zdenerwowania sprawiało, że żadne z jego słów nie zostało zrozumiane. Dopiero kiedy przerzucił się na język niemiecki, niektóre wyrazy dotarły wreszcie do zebranych. W tym języku węgierski lekarz znał jednak zaledwie kilka powszechnych zwrotów i próba dogadania się również tym razem spełzała na niczym.

– *Ein moment, ein moment* – powtórzył kilka razy specjalnie wyraźnie i wyszedł z sali. Po dłuższym oczekiwaniu wrócił, prowadząc pod rękę starszego od siebie i poruszającego się z największym trudem mężczyznę. Kiedy doszli do konsylium, Węgier usadowił starszka na łóżku pacjenta i wskazując na przybyłego palcem, powiedział:

– *Igy, jol. Olasz. Italiano.* – Pytającym wzrokiem powiódł po zebranych, a potem jeszcze raz dla pewności powtórzył: – *Italiano, Olasz, Italiano.*

– Czy ktoś dobrze zna włoski? – pytał polski lekarz, gorączkując się coraz bardziej. Kiedy jednak odpowiedzią była długa cisza, starszek z Włoch wpadł na genialny pomysł:

– *Parle français?*

– *Oui!* – odpowiedziano mu głośno z końca sali. I faktycznie, jakiś europejski Żyd dobrze mówił po francusku. A co ciekawsze, znał również niemiecki. Dopiero wtedy ruszono z tłumaczeniem zapisów w karcie pacjenta. Później przetłumaczono też jego wypowiedzi – co mu dolega, jakie ma bóle, na co się skarży. Chory z Węgier przedstawiał swoje problemy lekarzowi pochodzącemu z Budapesztu. Doktor Węgier jako tako dogadywał się ze swoim znajomym z Włoch. Starszek spod Turynu cichym głosem po francusku tłumaczył coś osłabionemu i leżącemu bez sił Żydowi, który po niemiecku opowiadał na bieżąco, co i jak stojącej już nad nim pielęgniarkę z Polski. Ona głośno po polsku tłumaczyła lekarzowi, który wpisywał od ręki w karcie pacjenta zdiagnozowaną chorobę i dolegliwości skarżącego się chorego. W dokumencie doktor od razu zapisywał też swoje uwagi i zalecenia. Na koniec polska siostra łamanym rosyjskim instruowała sanitariuszkę Marusię, co i jak. Ten wyjątkowy obchód zakończył



Drewniane baraki KL Birkenau, widok współczesny (fot. Szymon Nowak, 2019)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

się o wiele później niż zakładano. Na szczęście personel medyczny szpitala PCK rozszyfrował zapiski węgierskiego lekarza i poznał sposoby na dogadywanie się pomiędzy mówiącymi różnymi językami narodami.

W szpitalnym bloku byłego niemieckiego obozu Auschwitz habity zakonnice nikogo nie dziwiły. Leżące na sali chore kobiety z najdalszych zakątków Europy, w dużej mierze przede wszystkim Żydówki, przyzwyczyły się już, że pomoc i opiekę niosą im wiecznie rozmodlone osoby z krzyżkami zawieszonymi na sercu albo ściskające w dłoni różaniec. Zresztą fruwiącące przy szybkim marszu poły habitów wkrótce przyzwyczyły wszystkich pacjentów w tym rewirze (a może bardziej dawały takie złudzenie?), że siostry zakonne poruszają się szybciej niż zwykłe pielęgniarki i sanitariusze, a ich pomoc zawsze nadchodzi najprędzej. W szpitalu obozowym bezinteresownie pracowały całe grupy serafitek, urszulanek i sióstr Najświętszej Duszy Chrystusa. Część zakonnice oddelegowano do pracy w kuchni, ale większość z nich można było spotkać na szpitalnych blokach, gdzie sprawowały bezpośrednią pomoc – karmiły chorych, myły ich, doprowadzały na zabiegi. Wkrótce od momentu pojawienia się sióstr zaufanie chorych do posługujących zakonnice doszło już do takiego stopnia, że siostry stały się powiernikami największych tajemnic pacjentów. Już samo pojawienie się służebnic Chrystusa i Maryi w szpitalu PCK wywoływało okrzyki radości pacjentek i ich szczere wzruszenie połączone z płaczem.

– Siostrzo, proszę do mnie podejść – wołały na przemian Żydówki, a każda z nich pragnęła mieć możliwość opowiedzenia zakonnicy o całym swoim życiu, wojennych losach i cierpieniach doznanych w niemieckim obozie. Na dziennej zmianie nie było jednak czasu, aby spokojnie usiąść przy jednej z chorych i na spokojnie posłuchać jej opowieści. Trochę inaczej praca rozkładała się na nocnej zmianie, ponieważ to wtedy zdarzało się, że pracujące w szpitalu siostry mogły na dłużej zająć się wyjątkowo jedną osobą spośród chorych. To wówczas, przy normalnych czynnościach



Birkenau. Rozkopywanie dołów, w których ukryto popioły i kości po spaleniu trupów, marzec 1945 (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

medyczno-pielęgniarskich, usługujące zakonnice mogły wysłuchać zwierzeń byłych więźniarek i ich spowiedzi z całego życia.

Było to tylko preludium do czynności, jakie wykonywała w szpitalu matka przełożona ss. urszulanek – Aniela Skrzyńska. To ona oprócz zwyczajnej szpitalnej pracy zajęła się na poważnie całą posługą duchową szerzoną wśród pacjentek. Nieważne, czy była to jej zmiana, czy też akurat godziny teoretycznego odpoczynku – bez przerwy widać ją było krzątającą się pomiędzy łózkami pacjentów. Jej największą troską było to, aby uświęcone już obozowym cierpieniem kobiety, nie odeszły do domu Boga bez spowiedzi i komunii świętej. Dlatego nieznużona praktycznie nigdy przechadzała się wśród nich i przygotowywała je do spowiedzi. Mobilizowała też chodzących chorych do uczestnictwa w niedzielnej mszy świętej. Często zdarzali się jej ludzie, którzy nie spowiadali się od kilku nawet lat. A przecież pośród chorych byli nie tylko Polacy. Na łózkach leżeli Żydzi, Francuzi, Niemcy i Grecy. Wszyscy mieli pragnienie pojednania się z Bogiem a spora ich część chętnie słuchała prawdy o Jezusie Chrystusie i Jego Matce.

PRYZWOITOŚĆ

Zima 1945

– Pan doktor tak osobiście? – zdziwił się kierownik administracji Kodź. Zastał Bellerta odpisującego na listy i telegramy przychodzące z całego świata. Krewni dopytywali o losy bliskich, chcieli się dowiedzieć, czy zaginiona osoba przeszła przez obóz. A jeśli zginęła, to jak. Sporą część korespondencji stanowiły prośby o wydanie świadectwa czyjegoś zgonu, co wobec wywiezienia dokumentacji obozowej przez Niemców stanowiło niemały problem. W tej nadzwyczajnej sytuacji zaczęto nawet honorowanie jako formalnego aktu zgonu oświadczenia innego świadka-więźnia, że widział naocznie śmierć poszukiwanego.

– Naprawdę nie chce Pan odpocząć? To robota dla jakiegoś gryzipiórka. Coraz więcej mamy wyleczonych. Szukają zajęcia, posadzimy ich i niech piszą... Niech pan weźmie kogoś do pomocy. Jeśli ma pan taką... potrzebę, może pan dyktować trzem naraz – jak Napoleon.

– Dobrze, panie kolego, niech i tak będzie. Niech piszą, ale przejrzyć listy muszę ja, osobiście. Adresują je do mnie. Do mnie ludzie mają zaufanie. Więc to ja muszę starannie się wywiązać. Prosta sprawa.

– Jakby pan nie miał innych zajęć – nie ustawał Kodź.

– Niech pan zerknie na te listy – dwa z Anglii i ten telegram z Ameryki. Na nie właśnie zamierzam bardzo szczegółowo odpowiedzieć. Chociaż akurat żadnych krewnych ich nadawców nie było w Oświęcimiu. Na ich szczęście.

– Nie rozumiem... – przekreślił głowę Kodź.

– Każdy list czytam, na każdy odpisuję. A czasem... przy okazji proszę o leki. Żeby ratować tych, którzy przeżyli. Pan myślał,

LEKARZ Z AUSCHWITZ

że to pudło z zastrzykami, które wylądowało u nas z Londynu, to tak samo z siebie rozwinęło skrzydełka i przyleciało?

Za pierwszej wojny mieliśmy takie powiedzonko, kiedy kończył się już komuś koncept w rozmowie, mówił „Biomalc z chrzaniem”, pamięta pan?

– No, pamiętam. Świństwo to było, mnie nie smakowało.

– Smakować nie musi. Dostaniemy aż 4000 ampułek glukozy i odżywczych Biomaltzu. Jak raz odnalazł się u nas na sali brat jednego ważnego pana nowej władzy. Przysłał prywatny list, bez ministerialnych szamerunków. Skąd mogłem wiedzieć, że to jakiś kolejny wiceminister? Skąd mogłem przypuszczać, że nasz pacjent i tajemniczy pytający to rodzeni bracia? Noszą zupełnie inne nazwiska? Więc odpisałem zwyczajnie – jak każdemu, z szacunkiem, uprzejmie, a serdecznie. Jak mnie dziadek uczył. Przez kilka dni była cisza, a potem... Widział pan te „demokratki”, które zajechały na dziedziniec? Przyjechali do niego przedwczoraj. Całą rodziną. Płakali dwie godziny. No i ze zwykłej ludzkiej wdzięczności ten ważny pan wysłał nam teraz preparaty słodowe. Oryginalny Biomaltz. Wie pan, ilu naszym chorym to wyreperuje jelita? Czyli – trzeba wszystko czytać i wszystkim odpowiadać. Dokładnie, rzetelnie i uprzejmie. Nigdy nie wie pan, panie kolego, kogo spotka na swojej drodze. Dlatego na wszelki wypadek warto zachowywać się przyzwoicie.



**Były więzień KL Auschwitz dr Metz (chirurg), E. Nowosielska (pielęgniarka)
i były więzień obozu dr Jakub Wollmann (chirurg)
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

NOWI NA POKŁADZIE

Zima 1945

Młody mężczyzna w białym kitlu wyszedł szybko z drewnianego baraku i starannie zamknął za sobą drzwi. Skrzypiąc przemarzniętym śniegiem pod stopami przeszedł wzdłuż ściany budynku i stanął specjalnie schowany w cień. Student medycyny Józef Grenda nie chciał, żeby ktokolwiek widział jego słabość. Skryty pod ścianą zdjął okulary i chusteczką otarł łzy z oczu. Potem bezmyślnie długo wycierał i polerował szkła binokli. Właśnie odbył pierwszy lekarski obchód w przydzielonym mu do opieki bloku prowizorycznego szpitala w Brzezince i to, co zobaczył, całkowicie zaburzyło jego dotychczasowe wyobrażenie o wojnie, medycynie i ratowaniu chorych. Długo stał pod ścianą, nie czując wcale zimna, rozmyślając o swoim rewirze i zdiagnozowanych podczas obchodu podstawowych dolegliwościach jego pacjentów, którymi były: biegunka, choroby skóry i odleżyny. Upływające minuty sprawiały, że powoli dochodził do siebie, ale w obecnej sytuacji w żaden sposób nie wiedział, jak ratować tych ludzi. Do wyniszczonych obozowym życiem organizmów i stwierdzonych schorzeń nijak się miały studenckie nauki i podręcznikowe porady. W tej chwili 29-latek był bardziej skołowany swoją medyczną niewiedzą, niż przed podjęciem nauki na uniwersytecie.

– Panie doktorze! – nagle z rozmyślań wyrwał go okrzyk towarzyszącego mu podczas obchodu pomocnika Mariana Stępkowskiego

– Tak?

– Panie doktorze, pan pozwoli. Bo mamy tu taki kłopot.

Jeszcze raz przetarł oczy, okulary i na koniec głośno wydmuchał w chusteczkę nos.

– Już idę – szybko znalazł się przy otwartych drzwiach. – Ale żaden ze mnie doktor. Już panu mówiłem, że jestem zaledwie jednorocznym studentem medycyny.

– Rozumiem. Ale wie pan, mamy dziwny problem. Pan zerknie na tego człowieka – Stępkowski wskazał ręką najwyższego i najgłośniejszego osobnika w baraku.

Faktycznie, jegomość zachowywał się, jak gdyby był tu co najmniej samym Führerem – takie panowały tutaj stare obozowe porządki. Były blokowy ustawiał po kątach innych mieszkańców tego baraku, krzyczał na nich i wyzywał od najgorszych. Wszyscy musieli słuchać go, wykonywać jego polecenia, ustępować z drogi, wstawać z łóżek i stawać w pozycji na baczność, a nawet kłaniać się do pasa i stukać obcasami. Józef Grenda i Marian Stępkowski, stojąc w otwartych drzwiach, popatrzyli sobie w oczy myśląc jednocześnie: „Co to do cholery ma być?”. Weszli po cichu do pomieszczenia, cały czas obserwując zachowanie blokowego. Ten nie zauważył ich wejścia i dalej obsztorcowywał jakiegoś biedaka, który na jego rozkaz zwlókł się z łóżka i ledwo powłóczęgając nogami, próbował stanąć przed nim na baczność.

– Halt! Baczność! – darł się nowy „hitlerek”, szukając w pobliżu jakiegoś kija do bicia. – Ty skurwysynu, znowu zasrałeś całe łóżko. Myślisz, że kto będzie sprzątał teraz to twoje gówno? Ty pieprzony zasrańcu! Ty kmiocie! Job twoju mać! – chodził pospiesznie wokół chwiejącego się na nogach nieszczęśnika, brudnego i śmierdzącego.

– Panie blokowy, ja nie chciałem. To taka choroba – co zjesz, to zaraz musisz oddać.

– To wstrzymaj. Nie po to zrobiliśmy na dziedzińcu latryny, żeby teraz stały puste, a ludzie srali pod siebie – wreszcie pod którymś łóżkiem znalazł swoją starą pałkę, pamiętającą jeszcze czasy sprzed wyzwolenia i schylił się po nią.

– Nie zdążyłem... – wydukał zmieszany człowieczek, a widząc drewnianą broń w ręku kapo, robił się przy nim coraz mniejszy i mniejszy. Pan życia i śmierci zamachnął się z całych sił, gotowy



Sala szpitalna na I piętrze bloku 21. Wśród stojących czwarta z lewej siostra zakonna Sylwia Chrapkowska, następne z kolei to pielęgniarki PCK Barbara Woźna i Michalina Prokopowicz. Pierwsza z prawej siostra zakonna Przemysława Uchyła (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, fot. S. Mucha, luty/marzec 1945)

uderzyć zafajdanego nieszczęśnika w głowę, kiedy nagle stalowy uścisk chwycił go za przegub prawej ręki.

– Hola, hola – wycedził mu prosto do ucha Stępkowski, a Grenda sprawnie wyłuskał pałkę z dłoni.

– Czy wyście powariowali? – grzmiał rozeźlony Józef, który na moment zapomniał o innych kłopotach, odrzucając jednocześnie narzędzie do bicia w kąt sali. – My tu mamy szpital, a wy robicie z tego w dalszym ciągu hitlerowskie inferno.

– Słucham? – mówił zdziwiony blokowy, nie pojmując, że ktoś może zwrócić mu uwagę za normalne w jego mniemaniu czynności, które od miesięcy wbijano mu germańskim knutem do głowy.

– My już nie mamy tutaj obozu, rozumiesz? Postępujcie łagodniej z tymi ludźmi. To tacy sami byli więźniowie i chorzy, jak i wy. Dostyc tego piekła na ziemi.

– Ale dyscyplina musi być – zaskoczony dryblas wskazywał ubrudzony kałem siennik i koce, a równocześnie rozglądał się po kątach szukając swojej pałki. – Kto sprzątnie teraz ten chlew?

– Chlew to może był za Niemca. Teraz to jest szpitalna sala chorych.

– A przecież możecie i wy posprzątać – wtrącił Stępkowski, patrząc, jak blokowy jednym susem dopadł kąta pokoju i wyciągnął spod łóżka swoją pałkę.

– Dyscyplina musi być, panie doktorze, a ja jestem od pilnowania porządku, a nie od zamiatania. Tak było za Niemca i tak jest teraz. A jak komu się nie podoba... – powiódł chmurnym wzrokiem po leżących na pryczach, poważnie już przestraszonych byłych więźniach. Nie słysząc żadnego słowa sprzeciwu, wrócił na miejsce przed Grendą i Stępkowskim, dumnie prezentując swoją odzyskaną broń.

– Obiecuję, że zaraz zagonię tych brudasów do roboty i sala będzie aż lśnić – stukał pałką w cholewkę długich butów, mimowolnie dając zebrany do zrozumienia, w jaki sposób wyegzekwuje posłuszeństwo pośród chorych.

– O nie, mój panie. Twój czas już się właśnie skończył. Jeśli jesteś na tyle zdrowy, że możesz spacerować, machać pałką

LEKARZ Z AUSCHWITZ

i ubliżyć ludziom, to wyp...laj pan stąd! – purpurowy na twarzy Józef Grenda zagotował się tak chyba po raz pierwszy w życiu. Oczy wyszły mu z orbit, a szkła okularów zaparowały. Stał gotowy do skoku i walki, sapiąc przy tym głośno ze zdenerwowania. Nawet Stępkowski zdziwiony patrzył na wyjątkowe zachowanie swojego młodego przełożonego, ale jak najbardziej aprobował wywalenie z posady haniebnego nadgorliwca.

– Słyszałeś, co powiedział pan doktor? Wyp...laj! – Marian wyjął pałkę z rąk zaskoczonego blokowego, chwycił go za kołnierz kurtki i wypchnął na zewnątrz. – I nie wracaj, bo jak cię zobaczę jeszcze raz, to nie ręczę za siebie – na do widzenia sprzedał jeszcze dryblasowi tęgiego kopa, zamknął drzwi i wrócił do Grendy, który powoli się uspokajał. Kiedy doszedł do siebie, przemówił:

– Słuchajcie, rządy tego blokowego, który zachowywał się jak najgorszy kapo, już się skończyły. Nie musicie się nadal bać. Mam nadzieję nie oglądać jego ponurej gęby już nigdy więcej. Teraz my będziemy się wami opiekowali. Jeśli coś złego będzie się działo w tym bloku, macie nas o tym od razu informować.

Drewno w piecyku co jakiś czas radośnie strzelało snopami iskier, a trzech mężczyzn, nic sobie z tego nie robiąc, pochylało się nad stolikiem uważnie studiując zapisany małymi literami kajet. W pomieszczeniu względnie ciepło było jedynie w bezpośrednim sąsiedztwie piecyka.

W dalszej odległości po plecach lizał już zebranych zimowy chłód, wdzierający się do budynku wszystkimi niemal otworami – przez nieszczelne drzwi, okna i szerokie szczeliny pomiędzy niedbale zbitymi deskami ścian. Dlatego mężczyźni opatuleni byli po uszy – mieli na sobie płaszcze, sowieckie czapki uszanki, rękawice i ciasno zawiązane szaliki.

Z całej tej zimowej garderoby wyglądały tylko niewyspane oczy i zmarznięte zaczerwienione twarze pokryte kilkudniowym zarostem. Dla odmiany w pokoju było nad wyraz jasno od światła padającego z lampy naftowej. Zresztą płonące drewniane szczapy również dawały jasnoczerwoną poświatę wylewającą się na podłogę

przez otwarte drzwiczki piecyka. Debata mężczyzn zupełnie nie wyglądała jak poważne lekarskie konsylium. Spotkanie trójki współpracowników bardziej przypominało posiedzenie zdobywców bieguna południowego albo tajną naradę polskich zesłańców na Sybir przed planowaną ucieczką, niż naukową debatę medyków tego szpitala.

– Słuchajcie, czytam dalej: już po pierwszej wizycie na bloku chorych zorientowałem się, że w zasadzie są dwie choroby, które obecnie najbardziej wyniszczają organizmy naszych pacjentów. – Józef Grenda na poważnie zabrał się do pracy i po kilku dniach od przybycia do szpitala PCK i oddelegowania go na najtrudniejszy odcinek pracy w Brzezince, sporządził swój pierwszy medyczny raport. Swoje spostrzeżenia przekazywał teraz najbliższym współpracownikom, a zarazem jego podwładnym: Henrykowi Kodziowi i Marianowi Stępkowskiemu. – Są to choroby skórne i odleżyny oraz biegunka głodowa. Szczególnie biegunka, zwana z niemieckiego *durchfall* i będąca przejawem choroby głodowej (tzw. *dystrophia alimentaris*), powoduje szybko następujące spustoszenie organizmów i śmierć. Głodzeni miesiącami więźniowie nie rozumieją, że nadmiar pokarmu i jego wysoka kaloryczność mogą być przyczyną biegunki. Moje tłumaczenia na ten temat nie miały znaczenia, czasem wprost słyszało się wypowiedzi: „dajcie nam się wreszcie najeść”. W tych warunkach o ujęciu leczenia w jakiś medyczny schemat nie mogło być mowy. Było oczywiste, że leczenie parenteralne nie wchodziło w rachubę. – Przestał czytać i powiódł wzrokiem po zebranych. – I co myślicie, może tak być?

– Jak najbardziej, wszystko jest przedstawione jako logiczny ciąg zdarzeń: objawy–diagnoza–leczenie. Teraz należy podjąć kwestię tego leczenia, a następnie przedstawić podsumowanie i zakończyć puentą – Henryk Kodź nawet teraz nie mógł się wyzbyć nauczycielskiego nawyku rozkładania każdej kwestii na czynniki pierwsze.

– No właśnie. I tu może być problem, szczególnie z tym leczeniem... Ale czytam dalej: Jak zaznaczyłem na początku,



**Główna brama wjazdowa KL Birkenau, widok współczesny.
Fot. Szymon Nowak, 2019**

Nowi na pokładzie

zasadniczą przyczyną umieralności w naszym bloku było gwałtowne odwodnienie. Byli więźniowie nie wiedzieli, że nadmiar pokarmu dla wynędzniałego, odwodnionego ustroju, który nie był zdolny go asymilować, może być tragiczny. Zjedzony pokarm opuszczał układ pokarmowy w ciągu kilku minut. Odwodnienie się nasilało, odbiałczenie postępowało. Oswobodzeni więźniowie masowo zaczęli umierać. Aby zahamować masową umieralność pacjentów, należało zatrzymać odwodnienie. – Jednoroczny student medycyny Józef Grenda, odpowiedzialny za zdrowie i życie 130 pacjentów w bloku nr 118 w niemieckim obozie Birkenau skończył i zakasłał płytko, poprawiając połuzowany pod szyją szalik. – I jak uważacie. Może tak być?

– Może być – wtrącił Kodź – ale brakuje mi jakiejś końcowej konkluzji, jakichś wiążących wniosków...

– Jeśli chodzi o wnioski dotyczące działania mającego zapobiec masowym zgonom, chciałem was właśnie poprosić o radę – co robić w tej kwestii?

Po dłuższej przerwie pierwszy odezwał się Stępkowski:

– Jak wiecie, ja nie mam praktycznie żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o pracę w służbie zdrowia, a tym bardziej w sprawie leczenia kogokolwiek. Prawda – jestem tu ochotnikiem i pracuję w szpitalu, ale całe moje dokonania medyczne skupiają się na pracy sanitariusza i wykonywaniu waszych poleceń. Ja tu prochu nie wymyślę.

– Co prawda jestem z zawodu nauczycielem – zaczął perorować Kodź – ale w powstaniu warszawskim miałem sanitarne przeszkolenie. Dzięki temu miałem do czynienia z rannymi i chorymi. Moje skromne doświadczenia nikną w porównaniu z problemami występującymi tutaj. Nawet sowieccy lekarze, którzy mieli jakąś styczność z chorobą głodową występującą w czasie oblężenia Leningradu, mimo takiego doświadczenia i tak nie mają złotego środka na zniweczenie biegunki głodowej. Rozmawiałem z nimi...

– Ja mam pewien pomysł, ale żeby wprowadzić go w życie, chciałbym mieć waszą akceptację. Jest taki lek – salicylan fenylu, nazywany inaczej salolem. Ma on działanie odkażające przewód

LEKARZ Z AUSCHWITZ

pokarmowy i stosuje się go przy leczeniu biegunki bakteryjnej i nieżycie jelit. Kolejnym lekarstwem na biegunkę jest białczan taniny, zwany powszechnie tanalbiną lub taninalem. Następny, trzeci specyfik, chyba najbardziej popularny, to węgiel leczniczy, czyli węgiel aktywowany, wskazany w leczeniu zatruc pokarmowych i biegunki. W wypadku chorych na *durchfall* chcę zastosować takie leczenie – dawać im trzy razy dziennie wszystkie te trzy specyfiki. Z tego względu, że pracujemy tutaj razem i razem odpowiadamy za pacjentów, chciałbym poznać wasze zdanie na ten temat.

– Panie doktorze, ja zgadzam się na każdą pana decyzję – powiedział Stępkowski, a Grenda, o dziwo, nawet zapomniał dodać swoją każdorazową uwagę, że jest wyłącznie studentem medycyny i to w zasadzie jednorocznym.

– Ja również jestem za. Przy czym należy bacznie obserwować zachowanie pacjentów i ewentualne komplikacje chorobowe, aby od razu móc przeciwdziałać.

– Oczywiście. Będziemy skrupulatnie zapisywali wyniki tego doświadczenia i notowali w kartach pacjentów ich stan zdrowia, a w wypadku problemów odstawimy te leki. Panowie, cieszę się, że jesteście ze mną. Że jesteśmy prawdziwym zespołem. Od jutra wdrażam w życie swój pomysł i zobaczymy jak będzie.

CIENIE PRZESZŁOŚCI

Wczesna wiosna 1945

– Czy zastałem pana doktora Bellerta? – do gabinetu wsadził głowę siwowłosej jegomości. Nowo odzyskana dla żywych dwudziestoparoletnia panna w pasiaku, urzędująca jako sekretarka dyrektora szpitala, wskazała ręką. – Proszę, niech pan spocznie. Pan doktor zaraz wróci! Mogę dać gorącej mięty, chce pan?

Gość nie odmówił, a ciepłe przyjęcie i nie mniej ciepły napitek rozleniwiły go tak, że czkając na powrót Bellerta, zasnął smacznie w fotelu interesanta.

– Junosza? – poderwał go na nogi okrzyk doktora – Ty żyjesz! Pułkowniku...

– No, teraz to ja już nie jestem Junosza. Tylko Sałaciński. I pułkownikiem też już nie jestem.

No dobra, dobra – zamachał ręką Bellert – kiedy schodziliście do kanałów, pomyślałem, mówiąc szczerze, że już się nie zobaczymy. Pan Bóg łaskaw. Co pan tu robisz, panie kolego?

– Dostałem informacje od PCK, że jest tu w szpitalu moja żona, Janeczka.

– Momencik, panie pułkowniku. Panno Maniu, panno Maniu! – zawołał Bellert, a szybkość, z jaką dziewczyna zjawiała się w pomieszczeniu, mogła wskazywać, że urzędowała z uchem przy drzwiach gabinetu. – Niech mi Pani sprawdzi, gdzie leży pacjentka Janina Sałacińska, tak na jednej nóżce, dobrze? Na jednej nóżce sprawdzi, a nie na jednej nóżce leży – uściślił.

W drodze na salę szpitalną, już po wyjściu z pomieszczenia, Bellert zapytał. – A syn? Inżynier? Jakże mu? W Warszawie znałem go jako Andrzeja...

LEKARZ Z AUSCHWITZ

– Nie żyje – odpowiedział spokojnie Sałaciński, nie zmieniając nawet kroku, to Bellert przystanął na moment. – Powiesili go na latarni – dokończył pułkownik.

– W powstaniu? Niemcy? Powiesili? – z niedowierzaniem dopytywał Bellert – przecież...

– Tydzień wisiał. Omińmy szczegóły. I omińmy szczegóły pochówku.

– To mamy kłopot, panie kolego. Pana żona stanowczo nie nadaje się do przekazania takiej wiadomości. I bez tego ciągle nam płacze.

– Zupełnie z nią... niedobrze? – zawiesił głos Sałaciński.

– O, nie, nie. Gdyby tak było, musielibyśmy ją posłać do innego, zupełnie zamkniętego szpitala. Pana żona... Jej zdrowie ma się ku lepszemu. Ale taka wiadomość mogłaby ją zabić. Dopiero niedawno można z nią utrzymać jaki taki kontakt i na dniach zaczęła rozmawiać z lekarką. Ale – nie może pan powiedzieć żonie o synu. Na razie lepiej nie ryzykować.

Pułkownik kiwnął głową, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie.

– Lekarka, która prowadzi pana żonę, to taki hajduczek, taka Baśka Wołodyjowska. Twarda. Dziarska. Stanowcza. Nie da się twojej kobiecie rozklejać. Wiele widziała, niewiele ją ruszy. Ona ci ją doprowadzi do stanu używalności.

Doszli do baraku. Przed wejściem młoda dziewczyna w kitlu lekarskim delectowała się papierosem z amerykańskich darów i kręciła od niechcienia loczek włosów.

– Kochaniutka, u pani leży Sałacińska? – dopytał Bellert.

– Nie leży, tylko kwitnie i pięknieje – poprawiła lekarka, wypstrykując papierosa na ścieżkę. – Przepraszam za brak manier, panie dyrektorze. Ja podrosnę. Pójdę z panami.

Bellert zatrzymał jeszcze raz Sałacińskiego przed wejściem. – Ani słowa. Rozumiemy się?

Lekarka spojrzała pytająco na przełożonego. – Syn – powiedział krótko doktor. – Nie żyje.



Dr Janina Zawislak-Judowa (z prawej), jako członek personelu PCK pomaga byłym więźniom obozu (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, zdjęcie z sowieckiej kroniki filmowej, styczeń/luty 1945)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Za chwilę pułkownik i jego filigranowa żona wpadli sobie w objęcia. Małżonka z niedowierzaniem dotykała głowy Sałacińskiego. – Mój Boże, Jerzy, co z twoimi włosami. Gdzie się podział Czarny Junosza? Cały biały jesteś...

– Przed wojną to bym z taką szewelurą na senatora się nadał – odpowiedział żartem pułkownik. – Ale coś mi się widzi, że przy nowej władzy kariery nie zrobię.

– A Jędrus, Andrzejek, co z nim? – zapytała jednych tchem kobieta z nadzieją wbijając wzrok w oczy męża.

Pułkownik wzbił się na wyżyny gry aktorskiej.

– Chwat, kochanie. Żyje. Zobacz tylko, to jego najświeższe zdjęcie – bez mrugnięcia oka okrągłym gestem wyciągnął z portfela pomietą fotografię i podsunął pod nos wzruszonej małżonce.

– Niech imię Pańskie będzie błogosławione – wykrzyknęła rekonwalescentka, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. – A ta co? – Ze zdziwieniem zareagowała na zachowanie lekarki, która z trzaśnięciem drzwi wybiegła z baraku, by móc się w spokoju wypłakać na zewnątrz.

NADZIEJA

Wiosna 1945

Piękna pogoda sprawiała, że zupełnie inaczej patrzyło się na świat w promieniach słońca i przy powiewie wietrzyku, który już nie chłodzi, a dmucha ciepłem – ludzie szybko zapomnieli, co to zima. Zielona trawa i śpiew ptaków dawały nadzieję na lepsze jutro i szczęśliwą przyszłość. Zadowolony z siebie i uśmiechnięty Józef Grenda szybko maszerował poobozowymi alejkami. Pogwizdywał sobie coś pod nosem, a machając radośnie trzymaną w ręku skórzaną teczką, specjalnie ploszył spotykane po drodze wiecznie nienazarte stada wróbli, które szybko wróciły w przestrzeń obozu macierzystego. W pewnym momencie skręcił w zaułek i wszedł do murowanego bloku. Szybko wbiegł po schodach, a za moment był już w kancelarii szpitala PCK i ścisnął rękę kierownika administracji Henryka Kodzia.

– Czołem, druhu! Przyszedłem się pożegnać. Wyjeżdżam do Krakowa.

– Cześć. A to mnie zaskoczyłeś. Kiedy?

– Już dziś. Ale muszę pozłatwiać tutaj jeszcze kilka spraw.

– Kurczę, będzie nam brakowało takiego dobrego specjalisty jak ty, takiego dobrego lekarza. A co tam właściwie będziesz robił?

– Chciałbym dokończyć studia medyczne. Może na Uniwersytecie Jagiellońskim? I chyba taką ścieżkę życiową wybiorę – być dyplomowanym doktorem.

– Życzę ci szczęścia i gratuluję.

– Dziękuję. Praca tutaj wiele mnie nauczyła i dużo mi dała. Poznałem wspaniałych ludzi – wymownie spojrzął na Kodzia.

– Mam też nadzieję, że wyleczyłem trochę chorych i uratowałem



Członkowie personelu szpitala PCK, w środku w garniturze Józef Bellert, na pierwszym planie w pozycji półleżącej Genowefa Przybysz i dr Jan Jodłowski, maj 1945 (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

parę ludzkich istnień. Pamiętasz pierwsze dni naszej pracy w Brzezince, kiedy ludzie padali jak muchy?

– Oczywiście. Przepraszam, ale ze mnie gospodarz – siadaj, proszę. Zaskoczyłeś mnie tym swoim wyjazdem.

– Tutaj już jest spokojnie. Trzeba pomyśleć o sobie, o swojej przyszłości. Wiedziałeś, że przez cały czas pracy robiłem w zeszytach takie drobne notatki, coś na kształt takiego okrojonego dziennika czy pamiętnika.

– Wiedziałem, przecież nawet czytałeś nam fragmenty w Birkenau. Ale myślałem, że to bardziej notatki medyczne niż twoje relacje.

– I tak, i nie. Przeczytam ci fragment, ten dotyczący naszego działania w Brzezince. Posłuchaj, proszę: Zastosowałem salol z węglem i tanalbiną. Obchodziłem łóżka z chorymi trzy razy dziennie i dawałem im te leki. Zastosowane dawki odbiegały daleko od tych, jakie przewidywała farmakologia. Podawałem bowiem trzy razy dziennie po trzy tabletki salolu z trzema tabletkami węgla lub tanalbiny. Już najbliższe dni były dla mnie radośnie. Biegunka zatrzymywała się, a chorzy przestawali umierać. W rozmowie z jednym z lekarzy opowiedziałem o tym spostrzeżeniu, ale on pojął moje uwagi jako przechwałki. Ja jednak nadal stosowałem powyższy sposób. Stały pobyt wśród chorych, opieka nad nimi, podawanie im leków, przyczyniły się do lepszego wspólnego zrozumienia.

Zaczęli się do mnie zgłaszać pacjenci z innych bloków z różnymi schorzeniami. Męczyłem się wiele, żeby im pomóc, ale nie wiem, czy zawsze dobrze ich leczyłem. Dużą pomoc w tej pracy okazał mi pan Henryk Kodź. Wiem, że w czasie pracy w szpitalu PCK w Oświęcimiu okazałem pacjentom, byłym więźniom obozu, że są ludźmi takimi jak ja. I to była moja pierwsza diagnoza i pierwsze lekarstwo dla nich.

Druga diagnoza i właściwy lek to był salol, węgiel i tanalbina w dawkach, o których wyżej wspomniałem. – Józef zakończył i zamknął raptownie zeszyt. Dłuższą chwilę siedział zatopiony we własnych myślach i jakby nieobecny. W końcu schował brulion

REPUBLIKA POLSKA

URZĄD WOJEWÓDZKI
W KRAKOWIE

Przepustka Nr 1815

Zezwalamy ob.

Chomicz Anna

urodz.

20. VII. 1906 - Namawki

1st rok wydziału pielęgniarstwa

Wydział z ob. Krowczyce nr. 44174

udać się do

Łodzi

w sprawie służbowej, swego dawnego miejsca

z mieszkania,

Upraszamy się Władze Wojskowe i Cywilne o udzielenie pomocy
w korzystaniu z publicznych środków komunikacyjnych.

Sejmik powiatowy (Grodzki)



komplet z kramu
dobrodziejki

Пропуск № 1815

Разрешено гр. Хомич Анна
рожд. 20. VII. 1906 Варшава

№ и год выдачи паспорта

№ 0000000000 000000

отправиться в

Лодзь

в дело службы, свое прежнее место жи-
тельства

Просят Военные Часты и Гражданские
Власти оказать помощь в пользовании об-
щественными коммуникационными средствами.



Przepustka pielęgniarki Anny Chomicz
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

do teczki i podniósł się ciężko. – Zanim się pożegnamy, mam do ciebie prośbę. Chodź ze mną na blok szpitalny odwiedzić naszych dawnych pacjentów.

– Naturalnie, z prawdziwą przyjemnością pójde tam z tobą. Dziękuję, że dobrze oceniłeś moją pracę i wspomniałeś o tym w swoich notatkach. Ty jesteś nadzwyczaj opanowanym człowiekiem i bardzo dobrym specjalistą. Znasz taki wierszyk, jakiego uczyliśmy dzieciaki w szkole?: „Z tego człowieka wyrośnie coś, pisarz, pan poseł lub jeszcze ktoś...”. Wedle tej maksymy wróżę ci świetlaną przyszłość i wysokie szczeble kariery.

Józef Grenda tylko się zaśmiał szczerze i głośno.

– Od dzisiaj mów mi proszę: panie ministrze...

Widać było jednak, że dobre słowa kolegi mile łaskoczą jego ego. Wyszli w końcu na zewnątrz i kierowali się w stronę sąsiedniego budynku. Po drodze mijali grupę sowieckich lekarzy i pielęgniarek. Widocznie w szpitalu poszła już fama o odjeździe Grendy, ponieważ Sowieci widząc go, podeszli się pożegnać.

– *No maładiec, choroszo rabotajesz* – ściskali mu rękę i klepali poufale po plecach, pamiętając jego pracę w Brzezince. Ich sanitariuszki z rumieńcami na twarzach podskoczyły do zaskoczonego Polaka i sprzedały mu – każda – buziaka w policzek.

Wymienili jeszcze porcję grzeczności z czerwonooarmistami i weszli do budynku szpitalnego, w którym od razu uderzyły w nich ostre zapachy dezynfekcji, widok nieskażonej bieli prześcieradeł, ogólna czystość i porządek. To już nie była ta nędzna, brudna i śmierdząca umieralnia, jaką poznali na początku swojej pracy w Birkenau. W bloku odnaleźli pokój, do którego przemieszczono ich chorych z Brzezinki po ewakuacji tamtejszej filii. Gdy tylko pacjenci usłyszeli znajome głosy Grendy i Kodzia, natychmiast – ci, którzy mogli – wstali z łóżek i otoczyli ich kołem.

– Nasz doktor przyjechał – radowali się niezmiernie, widząc swojego cudotwórcę. On zaś ścisnął po kolei swoich dawnych podopiecznych i nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Tylko lży gęstym ściegiem spływały mu z oczu, kiedy patrzył na znajome twarze i wspominał najtrudniejsze chyba chwile swojego życia.

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Nadszedł taki czas, że nikogo w byłym obozie nie zaskakiwały liczne samochodowe konwoje przyjeżdżające do Oświęcimia i Brzezinki.auta osobowe, ciężarowe i pikapy najróżniejszych marek i krajów pochodzenia pojawiały się w Oświęcimiu pojedynczo i całymi grupami.

Do obozu macierzystego przyjeżdżały sowieckie komisje badające niemieckie zbrodnie. Potem na ciężarówkach pojawili się sowieccy filmowcy odgrywający na potrzeby propagandy dawno już miniony moment wyzwolenia obozu. Później w mniejszym konwoju pojawili się Polacy i polskie komisje badania zbrodni hitlerowskich a za nimi ekipy dochodzeniowe. Lekarze, ministrowie, krewni.

Im dalej na zachód od Oświęcimia i Brzezinki przesunął się front, tym liczniej zaczęły napływać do polskiego miasta przedstawicielstwa rządów obcych państw i zagraniczne misje wyszukujące w szpitalu PCK swoich obywateli, aby zabrać ich do rodzimych krajów.

Po kilka razy przyjeżdżały więc kolumny z Węgier, Francji, Belgii, nie mówiąc już o sowieckich i polskich transportach. Dwa razy do Oświęcimia przyjechała koleją misja rumuńska. Prawdziwą furorę wzbudziły zorganizowane perfekcyjnie transporty z Czechosłowacji z licznymi autobusami i ciężarówkami. Jednak najpotężniejszym transportem w tym rejonie mógł się poszczycić tylko Związek Sowiecki, który zorganizował i wywiózł do siebie z Dworów całą tamtejszą nienaruszoną fabrykę chemiczną wraz ze wszystkimi urządzeniami technicznymi. Widocznie przyzwyczajeni od lat do kompleksowej ewakuacji swoich zakładów pracy za Ural przed postępującymi wojskami III Rzeszy, oprócz całej fabryki z Dworów, Sowietci wywieźli również parowozy jeżdżące na tym obiekcie oraz ułożone tam szyny kolejowe.

Zdarzało się, że różnych gości i misji obcych państw było jednorazowo w Oświęcimiu tak wiele, że pojazdy nie mieściły się na terenie obozu, ani w uliczkach dobiegających do jego bram. Było jednak z tego powodu wiele plusów.

Znawcy motoryzacji i wielbiciele wspaniałych zagranicznych czterech kółek nieraz specjalnie długo kręcili się pośród

samochodów, aby móc napatrzeć się na zachodnie nowinki techniczne i podziwiać klasę oraz styl marek produkowanych za oceanem. Wędrując pomiędzy pojazdami mogli bez przerwy dyskutować na temat osi i wałów napędowych oraz spierać się nad wyższością produkcji amerykańskich nad sowieckimi i brytyjskich nad niemieckimi.

Inną sprawą pozostawało ciągle „odchudzanie” szpitala, ponieważ zagraniczne misje najczęściej zabierały do siebie będących już na siłach swoich repatriantów. Tylko w wyjątkowo skrajnych przypadkach ciężko chorzy z państw, które przysłały po swoich rodaków transporty, musieli zostać na dalszym leczeniu w polskiej placówce PCK.

Największą jednak zaletą częstych przyjazdów kolumn samochodowych do byłych obozów Auschwitz-Birkenau było zapewnienie praktycznie stałej ciągłości transportu przynajmniej na linii Oświęcim–Kraków i Oświęcim–Katowice. Kto pragnął jechać w tamte strony, bez problemu znajdował kawałek miejsca w kursujących często samochodach.

To był właśnie jeden z tych nielicznych dni, kiedy do obozu nie przyjechał nawet pies z kulawą nogą. Oздrowieńcy zaopatrzeni na drogę w suchy prowiant oraz wyposażeni w sowieckie dokumenty repatriacyjne, które zapewniały np. bezpłatne przejazdy kolejami w drodze do domu, długo kręcili się przy bramie wypatrując jakiegokolwiek ruchu na drodze. Oświęcimskie ulice jak na złość pozostawały jednak puste. Czasami tylko do obozu podjeżdżała konna furmanka kuchni polowej, dowożąca posiłek dla filii szpitala znajdującej się w Brzezince. Do Birkenau nikt jednak nie miał zamiaru jechać. Tak więc ludzie dużą część dnia koczowali przy bramie. Kiedy tarcza słońca zbliżyła się ku zachodowi, tylko nieliczni zdecydowali się na pieszą wędrówkę w stronę Krakowa. Większa część tej grupy wróciła do bloków obozowych, aby zorganizować sobie jeszcze jeden nocleg w Auschwitz. Przy bramie w zasadzie pozostał tylko jeden uparty cień należący do chudej, bladej nastolatki, która nie za bardzo wiedziała, dokąd iść



Ogromna przestrzeń KL Birkenau, widok współczesny. Fot. Szymon Nowak, 2019





**Dziecko żydowskie – Jana Ecksteinova, lat 9, przebywająca po wyzwoleniu
KL Auschwitz w szpitalu PCK na terenie byłego obozu macierzystego
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

i w którą stronę skierować swoje kroki – na wylotówkę w kierunku Krakowa, czy do obmierzłych obozowych bloków.

Kiedy już nawet dla najbardziej wytrwałych zgasła nadzieja na wyjazd i okolice bramy całkowicie opustoszały, nagle, nie wiadomo skąd, na uliczce prowadzącej do obozu pojawiła się wysokiej klasy limuzyna, pędząca co koń mechaniczny wydusi spod maski.

Auto zapuszczając oponami na piaszczystym dojeździe pod bramą i stanęło vis à vis budynku administracji szpitala. Z szoferki wysiadł oficer w stopniu majora i otworzył drzwi, wypuszczając z tyłu auta dwóch dystyngowanych i ubranych po cywilnemu panów.

Szczególnie jeden z nich był elegancko ubrany, a jego wysoką pozycję społeczną podkreślały droga jesionka, kapelusik i parasol w rękę, służący jednocześnie za laskę. Trójka mężczyzn od razu skierowała się do gabinetu dyrektora szpitala, ale zaraz po wejściu do budynku o mało nie zderzyła się w przejściu z pędzącym z góry mężczyzną.

Spieszący z narady u doktora Bellerta, odpowiedzialny za administrację szpitalną Henryk Kodź wykonał gwałtowny unik i cudem ominął kroczących dostojnie gości. Poprzez ten manewr stracił jednak równowagę i o mało sam nie wylądował na podłodze, na którą sfrunęły tylko kartki dokumentacji szpitalnej.

– Przepraszam – powiedział Kodź zbierając zapisane kartki papieru. – Nie ma za co – odpowiedział też sam sobie, bowiem elegancka delegacja bez żadnej reakcji niknęła już za załomem schodów na klatce.

Tymczasem na dworze do eleganckiej limuzyny podeszła koczująca przed bramą dziewczyna. Od razu na pierwszy rzut oka widać było, że to była więźniarka – na dwa swetry zarzuconą miała obozową kapotę w pasy. Całości jej ubioru dopełniały chustka na głowie, zmięta drelichowa spódnica, grube wełniane pończochy oraz za duże rozklekotane buciory.

Wystające kości policzkowe, podkrążone oczy i popękane usta aż za bardzo podkreślały jej słaby stan fizyczny oraz marność jej obozowej egzystencji. Nieśmiało podeszła do siedzącego

LEKARZ Z AUSCHWITZ

w samochodzie kierowcy i zapukała w szybkę. Żołnierz zerwał się przestraszony, ponieważ zmęczony na moment zamknął oczy i bał się, że chwilę jego słabości zauważył właśnie jego przełożony. Szybko jednak się uspokoił, widząc za szybą tylko mizerną małą buźkę w chustce.

– Czego? – sapnął niegrzecznie odsuwając ledwie szybę i wpuszczając do rozgrzanego samochodu pęd chłodnego powietrza.

– Proszę pana, czy nie jedzie pan czasem zaraz do Krakowa?

– A kto pyta?

– No ja. Bo widzi pan, ja byłam więźniarką obozu tutaj, a teraz trochę się podleczyłam i mogę wracać do domu. Na początek chciałabym dostać się do Krakowa.

– Dziewczyno, czy widzisz tu gdzieś autobus? – wyrwany z drzemki kierowca zdenerwował się z lekka. Wysiadł z auta i zapalił papierosa, specjalnie prężąc się przed łachmaniarą i prezentując swój nowiutki mundur i pagony z jedną gwiazdką.

– A czy ja mam napisane na czole – kierowca autobusu szkolnego? Oczywiście, że nie. To samochód samego pana ministra.

– Przepraszam. Nie wiedziałam. W takim razie, czy pan minister nie mógłby mnie podwieźć przy okazji do Krakowa, kiedy będziecie panowie wracali?

– Oj, naiwna. Minister sprawiedliwości Edmund Zalewski nie ma nic innego na głowie, niż podwożenie śmierdzących podlotków? Swoją drogą dawno się myłaś, panienko?

– Oczywiście, że niedawno – oburzyła się dziewczyna. – To ubrania tak śmierdzą, bo długo leżały w magazynach, a tam załęgły się szczury. Ale innych nie dostałam. Tylko takie mam. Jak wrócę do domu, to się przebiorę w piękną sukienkę, wtedy pan zobaczy... – mówiła wzburzona łapiąc oddech i świszcząc przy tym głośno widocznie niedoleczonymi jeszcze oskrzelami.

– Co tu się dzieje? – Henryk Kodź wreszcie pozbierał rozrzucone papiery, wyszedł z budynku i od razu zainteresował się rozmawiającą emocjonalnie przy samochodzie parą. – Dzień dobry.

POLSKI CZ

NY KRZYZ



kalowa Joanna
urobony [a] dn. 25-7-1909
zamieszkały [a] w Krakowie
M. Lorecka 8

Jest stale zatrudniona [a] w Państwowym
Szpitalu w Krakowie w charakterze
pielęgniarki

Wiedza wojkowa i cywilna sprawna
się o okazywanie pomocy w razie
potrzeby.

Lekarz Kancelary P.C.K.
w Oświęcimiu
Dr. Bellert

Joanna Heksowa
Miejscowy zarząd państwowego szpitala

Legitymacja ważna do dnia 3/10/45

Wydano w Oświęcimiu
Szpital Obwodowy

Archiwum Legitymacji państwowej nr 10 do 11 października 1945 r.

Legitymacja PCK pielęgniarki Joanny Heksowej z okresu pracy w szpitalu PCK w Oświęcimiu (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Nazywam się Henryk Kodź, jestem kierownikiem administracji szpitala PCK. O co chodzi?

– Chorąży Bocian. Kierowca pana ministra Zalewskiego. Panie Henryku, ta smarkuła chce się wcisnąć do naszego samochodu na gapę.

– Na jaką gapę? – zdziwiła się szczerze dziewczyna.

– Zaraz to wyjaśnimy – spokojnie odrzekł Kodź, patrząc z litością na małodatę i jej kusą spódnicę.

– A co tu wyjaśniać – zachnął się wojak. – W samochodzie pana ministra nie ma wolnych miejsc.

– Ja tylko chciałam dostać się do Krakowa. Jestem byłą więźniarką obozu i dziś zostałam wypisana z waszego szpitala – mówiła dziewczyna i na dowód pokazywała zapisany formularz. – Od rana szukam podwózki do Krakowa. Tam mam ciocię i nadzieję na odnalezienie rodziców i sióstr. Ale nic nie jechało w tamtym kierunku. Tylko ten ostatni samochód został...

– Panie chorąży, a może w drodze wyjątku dałoby się podwieźć tę bidulkę? Dużo miejsca w aucie wam nie zajmie – mówił pojednawczo Kodź.

– Nie ma mowy. Pan minister zabronił zabierać kogokolwiek.

– A czego to minister?

– Jak to czego?

– No minister...

– Aaa... Sprawiedliwości.

– O, to z pewnością zrozumie niesprawiedliwość, jaka spotyka tę pannę – odparł spokojnie Henryk, wziął pod ramię dziewczynę i odprowadził ją kawałek od samochodu.

Stanęli nieopodal drzwi i rozmawiali cicho patrząc chmurnie na kierowcę, który specjalnie obchodził samochód, pilnując go przed intruzami, i palił jednego papierosa za drugim.

Kiedy po półgodzinie cała trójka porządnie już zmarzła, w drzwiach szpitala pojawili się oficjele z kroczącym na czele ministrem.

– Panie ministrze, można na słówko? – przed Zalewskim wyrósł nagle Henryk Kodź i ciągnąc za rękę dziewczynę, skutecznie

zastąpił mu drogę. Zniecierpliwiony dygnitarz popatrzył spode łba na intruza i rzekł:

– Słucham.

– Mam do pana wielką prośbę. Ta była więźniarka niemieckiego obozu i rekonwalescentka naszej placówki potrzebuje pilnie dojechać do Krakowa. Wiem, że jedziecie w tamtą stronę. Czy byłby pan łaskaw zabrać tę dziewczynę ze sobą?

– Nie ma miejsc – burknął tylko pan minister, próbując omiąć naprzykrzającego się człowieka.

– Ale przecież jest. To auto ma pięć miejsc, a was razem z kierowcą jest czworo.

– Wy chyba nie rozumiecie powagi sytuacji. Nie możecie przecież wiedzieć, że minister musi pracować również w drodze, podczas jazdy samochodem i mieć więcej miejsca niż normalny obywatel – wtrącił towarzyszący Zalewskiemu cywil.

– Ale to jest przecież auto państwowe, obywatelskie, czyli nas wszystkich.

– No niby tak... – dukał stojący przed ministrem na baczność chorąży.

– Ta dziewczyna jest obywatelką Polski, była więźniarką i chyba mogłaby skorzystać raz w życiu z państwowego samochodu. Zbliży się noc i robi się coraz zimniej, a ona przestała tu przed bramą cały dzień, szukając okazji na wyjazd – mówił coraz bardziej poirytowany administrator szpitala.

– Spieszmy się – fuknął minister, któremu udało się wreszcie wyminąć namolną parę. Kierował się dalej w stronę auta, a jego asystenci postępujący za nim skutecznie i fachowo blokowali dostęp do zwierzchnika.

– To ona przeżyła niemiecki obóz, a teraz ma zamarznąć przez polskiego ministra? – mówił zdenerwowany Kodź. – Minister sprawiedliwości? No kurczę pieczone! I gdzie tu sprawiedliwość i równość społeczna?

– Uważajcie, człowieku, na swoje słowa – ręka majora powędrowała do kabury, a jednocześnie oficer skinął głową do chorążego,

LEKARZ Z AUSCHWITZ

który zaczął zachodzić Kodzia z drugiej strony. – Taka ostra ocena może was naprawdę drogo kosztować.

– No, zobaczymy. Takie krytykanctwo to według mnie czysta reakcja. Co robiliście w czasie wojny? – major na wyraźnie syknięty przez ministra rozkaz: „aresztować go”, z tetetką w rękę już był przy Kodziu, a chorąży wyciągał ręce, aby móc krępować ruchy Henryka i całkowicie go obezwładnić.

– Panowie! Co wy?

– „Panowie” się skończyli w trzydziestym dziewiątym, nie zauważyliście tego? Co robiliście podczas wojny?

– Byłem w konspiracji...

– No, oczywiście... „Panowie” – przedrzeźniał Kodzia – czyli byliście w AK! – roześmiał się major i zaczął wyliczać po kolei wyuczone na pamięć w politycznych szkołach formułki. – Antykomunistyczna reakcja, antyobywatelska postawa, wróg ludu, mordowanie Żydów, współpraca z Hitlerem, walka przeciw Armii Czerwonej. My to wszystko znamy. I zadekowaliście się w tym miejscu uświęconym krwią zamordowanych rodaków? – I wy mi mówicie o sprawiedliwości społecznej?

Teraz wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Zanim Henryk zdążył cokolwiek uczynić, major już dźgał go mocno lufą pistoletu w pierś, a chorąży wykręcał mu z tyłu rękę. Gdy minister siedział w aucie, czekając niecierpliwie na odjazd, jego cywilny pridupnik pobiegł wołać na pomoc sowieckich żołnierzy stojących przy bramie obozu. Wkrótce pojawił się patrol i Sowietci z bagnietami na karabinach spokojnie odprowadzili Henryka Kodzia do aresztu.

Minister sprawiedliwości wraz ze swoją świtą poklepał po plecach kierowcę i odjechał do Krakowa.

Na pustym teraz placu pozostała tylko zaskoczona całą sytuacją dziewczyna. Dopiero po kilku minutach powlokła się do dyrekcji szpitala PCK i zdała relację, w jaki nieoczekiwany sposób zniknął kierownik administracji i gdzie należy go szukać.



**Dyrektor szpitala dr Józef Bellert, przełożona pielęgniarek Genowefa Przybysz i kierownik administracji szpitala Henryk Kodź
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Kilka godzin później Bellert przysiadł na łóżku wychudzonego pacjenta. – Panie Alfredzie, chciałem jeszcze raz podziękować za te lekarstwa, które pański brat był łaskaw przysłać.

Mężczyzna przekręcił się na posłaniu. Kilka dni temu otrzymał po wielu miesiącach korowodów okulary dopasowane do jego wady wzroku, więc każdą wolną chwilę spędzał na czytaniu wszystkiego, co mu wpadło w ręce. Odłożył za siebie książkę w mocno sfatygowanej okładce. – Jak pan doktor tak poważnie zaczyna, a lekarstwa od brata przyszli prawie miesiąc temu, to znaczy ma pan coś ważnego. Pan wiesz, że ja będę zawsze pana dłużnikiem. Wał pan, panie doktorze.

– Kodzia mi aresztowali – powiedział po prostu Bellert.

– Tego smutnego, co ciągle z zeszytem chodził i zapisywał, „co by tu jeszcze”, „co by tu jeszcze”? Paradny jegomość. A za cóż to go zachachmęcili, jeśli można byłoby się zapytać?

– Za przydługi ozór. Chciał wsadzić młodą więźniarkę do samochodu jakiegoś bardzo ważnego pana z jeszcze bardziej ważnego ministerstwa. Żeby ją podwieźli do Krakowa. Oni nie wzięli dziewczyny, a on powiedział za dużo. – Pacjent aż się zaśmiał.

– No patrz pan, taka sztywna tyka grochowa, a teraz mi zaimponował. Urzędowej personie się postawił, powiadasz pan? Mnie więcej nic nie trzeba. Nacisnę brata. Tylko... – pacjent położył palec na ustach.

– Oczywiście, panie Alfredzie. Nikomu ani słowa. A kierownik Kodź będzie się w przyszłości zachowywał racjonalnie. Ja za niego ręczę.

– Nno. I nie tylko za to pana tak lubię, panie doktorze.

Pacjent sięgnął po książkę.

(Po kilku dniach Henryk Kodź odzyskał wolność i wyszedł z sowieckiego więzienia).



Maria Matlak (nr obozowy 39847) urodzona 1 lutego 1928 r. w Łodygowicach i tam zatrzymana przez gestapo za roznoszenie ulotek. 2 kwietnia 1943 r. znalazła się w KL Auschwitz. Następnie przeniesiono ją do obozu dla dzieci i młodocianych w Łodzi, gdzie doczekała uwolnienia przez Armię Czerwoną w styczniu 1945 r. (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

DOCIEKLIWOŚĆ

Wiosna 1945

– Niech mi pani jeszcze raz spokojnie powie, co pani robiła z dzieckiem w kostnicy.

– Bellert wskazał ręką miejsce za biurkiem. Sam usadowił się po drugiej stronie blatu.

– A jak poszła wieść, że można dzieci z Oświęcimia brać, to ja wzięłam. Mojego Kolę. Bo Kola mu na imię. Moja córeczka zmarła, to wzięłam Kolę. On nie wie, skąd jest. Czasem wtrąci coś po rusku, ale dobrze mówi po naszymu.

– Pani Zofio, ja wiem, że z pani dobra kobieta. Pani jako pielęgniarka w Brzeszczach pracuje, to musi być pani złoty człowiek. Męża pani zabili – to już mi pani też powiedziała. Ja pani źle nie życzę. Ja tylko chcę się dowiedzieć, po co przyprowadziła pani małego brzdąca do kostnicy, a on dotykał nieboszczyków.

– Panie doktorze, bo to dziecko więcej przeżyło niż my oboje.

– I... – zachęcał doktor.

– Kola chciał zabijać każdego w mundurze; ruski, polski, kolejarz czy pocziarz. Mundurowy – znaczy zły. On nie wierzył, że ludzie mogą umierać normalnie. Znaczy – z przyczyn naturalnych. Człowieka się zabija. Człowieka zabija inny człowiek. Sam z siebie człowiek nie umiera. A mundurowi, panie doktorze, są po to, żeby ludzi zabijać. Takie, nie przymierzając, anioły śmierci. Kola mi zapowiedział, że spróbuje ich wszystkich pozabijać, tych mundurowych znaczy, zanim przyjdą po niego. Rozumie pan?

Mieliśmy jednego ruskiego starszynę na kwaterze, to dobrze, że ten ruski magazynek z pistoletu wyjął, boby nieszczęście się przytrafiło. Przez myśl mi nie przeszło, że to dziecko się za broń weźmie.



Drewniana budka chroniąca esesmana odpowiedzialnego za kierowanie apelem przed złą pogodą, widok współczesny. Fot. Szymon Nowak, 2019

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Takiem sobie myślała; Kola przecież ze Wschodu, ten żołnierz też jest ze Wschodu, powinni się dogadać, a mimo wszystko Kola chciał go ukatrupić... Cabas łapą za pistolet i...

– Ile mały ma lat? – przerwał Bellert.

– Cztery, może pięć. Kto to może wiedzieć, a on sam nie powie. Panie doktorze, ja mu tłumaczyłam, po swojemu, o śmierci. Takiej znaczy się, naturalnej. Że przychodzi i już. Ze starości, że z choroby. Ale on nie wierzył.

No, to go wzięłam do kostnicy i zobaczył. Musiał sprawdzić, że nie ma żadnych śladów po kulach. Dlatego dotykał. Pan da wiarę, panie doktorze, ale on się mocno uspokoił po tej kostnicy. Wreszcie mi normalnie spał. No i wreszcie mi zaufał jak normalne dziecko. Po raz pierwszy powiedział do mnie „mamo”.

Przecież jestem pielęgniarka. On w rękawiczkach tych nieboszyków dotykał. Nie naraziłabym przecież własnego dziecka.

Bellert westchnął ciężko. Popatrzył na rysunki Koli przyniesione przez Zofię jako dowód jego niespotykanego talentu plastycznego.

– Pani Zofio, niech pani wychowa go na dobrego człowieka – doktor pomógł pielęgniarce wstać z fotela.

– Czyli jestem wolna? – dopytywała kobiecina.

– Tak. I oby także Kola wreszcie poczuł się wolny.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ
SEKcja Obozowy
w Oswiecimiu
(Glasnik, klat. postelniczy i adre. wydzialowy szpitalniczy)

Kielce 18 kwiecień 1946 r.

Dr med.
JOZEF BILCZYK
Radca w. Medycyny

Oświadczenie świadka

Jako uczestnik(a) (wyznając formację: Ruch Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową): Wieliczka: Oboz w Oswiecimiu

świadka(a) odpowiedzialności karnej za prawdziwość podanych niżej przez mnie faktów

oświadczam

Ok. Anna Chomicz syn (córka) Jan
 urodz. data 20 VII 1926 r. roku w Wamborzu

Jest mi znana(a) osobistie jako uczestnik(a) (wyznając formację: Ruch Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową): w Oświęcimiu
położenie Wieliczka: Łazienki 44.124
 od do 1945 r.

Wskaz. wymienienia) posiadała posadzin (petrolis) funkcje — brała udział (w tej części opisuje się: przebieg służby i działalności w czasie walki z okupantem niemieckim, pełnioną funkcję, stopień wojskowy, w jakich był(a) oddziałach, grupach, plutonach, pod jakim dowództwem, kierownictwem, udział w akcjach bojowych i innych, w jakich miejscowościach, nazwa obozu itp. wskazuje zmiany i czasokres od — do):

jako pielęgniarka w obozie w 44/45
 w obozie Wieliczka: Oświadczenie kłosa Łazienki
 przy pracy po objęciu opieki lekarskiej
 od 5 lutego 1945 całego obozu z powołaniem
 4200 L. Wieliczka: Celina Chomicz.
 Pani Chomiczowa miała stanowisko w obozie
 w obozie Wieliczka: Oświadczenie kłosa Łazienki
 i opiekowała się w obozie w obozie Celina Chomicz.
 w obozie Wieliczka: Oświadczenie kłosa Łazienki
 w obozie Wieliczka: Oświadczenie kłosa Łazienki
 w obozie Wieliczka: Oświadczenie kłosa Łazienki

Dr Jan Bilczyk
 JOZEF BILCZYK
 Radca w. Medycyny

7

Oświadczenie świadka, więźniarki, a następnie pielęgniarki Anny Chomicz (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

ŚWIĘTA

Kwiecień 1945

Zbliżały się Święta Wielkanocne, ale magazyny żywnościowe szpitala PCK jak zwykle świeciły pustkami. Chcąc to jakoś zmienić, doktor Bellert zawział się i obiecał swoim lekarzom i pielęgniarkom, że na święta zorganizuje jakieś wyjątkowe specjały. Akurat w Wielki Piątek jechał do Krakowa załatwić jakieś biurowe formalności i cała grupa sióstr odprowadziła go za miasto i pomogła złapać okazję. Jeszcze z samochodu, siedząc obok kierowcy zarzekał się, że nie wróci z pustymi rękami. Kiedy dyrektor szpitala pojechał, pielęgniarki wróciły do swoich obowiązków. Część naturalnie zajęła się pacjentami szpitala, ale większa ich liczba rozpoczęła przygotowania do najważniejszego katolickiego święta.

W tym czasie chłopcy, ochotnicy PCK, odkryli na krańcu obozu wielkie kopce z kartoflami, które w czasach Auschwitz przeznaczone były dla niemieckiej załogi SS. Dopiero wtedy można było powiedzieć, że personel i pacjenci polskiego szpitala przestali cierpieć głód. W przeddzień świąt któraś pielęgniarka pomyślała chwilę i z apteki przyniosła wielką butelkę tranu. To już wystarczyło, aby usmażyć przepyszne placki ziemniaczane i przygotować wyśmienitą jak na warunki szpitalne ucztę. Przez cały dzień lekarze, pielęgniarki i sanitariusze szykowali podest na scenę, z koców kurtynę oraz wstążki z farbowanych na różne kolory bandaży. Całość pomyślana była do wykorzystania dopiero na 1 maja, ale dziwnym trafem wszystko było gotowe przed Wielkanocą i posłużyło Polakom do wcześniejszego świętowania i śpiewania religijnych pieśni.

Po południu Joanna Jakobi i siostra Hanna poszły nad Sołę. Z łąkowej darni wycinały nożami kształtne foremki ziemi wraz

z kwitnącymi krokusami, owijały je papierem tworząc niby doniczki i zanosily do wszystkich sal chorych i pokojów personelu. Później z zerwanych nad rzeką kwiatów wily wianki dla wszystkich dziewczyn i kobiet w szpitalu.

Zbliżał się już koniec dnia, ale doktora Bellerta jeszcze nie było. Zostawiona dla niego porcja placków ziemniaczanych dawno wystygła, a wianek położony na jego biurku szybko oklapł. Tylko krokusy w papierowych doniczkach trzymały się jeszcze jako tako. Nie mogąc doczekać się swojego przełożonego, siostry Joanna i Hanna wyszły daleko naprzeciw doktorowi. Doszły aż do zwalonego mostu na Wiśle, ale ich doktora ciągle ani widu, ani slychu. Czekały tam dość długo, wyglądając na trakt prowadzący z Krakowa. Kiedy słońce skryło się za horyzont, niepocieszone kobiety wróciły do szpitala i zajęły się pracą przy chorych.

Józef Bellert wrócił dopiero ciemną nocą, ale jego przybycie i tak postawiło na nogi cały polski personel. Okazało się, że naczelný lekarz w przededniu świąt nie mógł złapać żadnej okazji na powrót z Krakowa i przez to część drogi musiał pokonać pieszo. Ale, tak jak obiecał, wrócił objuczony torbami, plecakami i workami, wyglądając przed bramą obozu niczym wielbłąd z karawany najbogatszych kupców. Miał ze sobą kawał szynki, kiełbasę, mazurki i makowiec, przyprawy, a nawet słodczyce i owoce. Jego powrót i prezenty wywołały entuzjazm całego szpitala PCK. Święta były tuż-tuż, wiosna trwała w pełnym rozkwicie, a wojna toczyła się już bardzo daleko od bram Auschwitz i Birkenau.



Dr Bolesław Urbański (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

KONIEC WOJNY

Maj 1945

Chociaż był dopiero początek dziennego dyżuru, pielęgniarka Joanna Jakobi już słała się na nogach ze zmęczenia. Chorym znajdującym się na jej rewirze zdążyła już wydać lekarstwa, zmierzyć temperaturę, wydać pierwszy posiłek i zrobić niektórym masaż. Dodatkowo prześcieliła kilka łóżek, odebrała bieliznę do prania, uzupełniła karty chorobowe i ewidencję chorych. A przecież to był w zasadzie dopiero początek jej pracy. Czekają ją jeszcze mnóstwo zajęć – bieżące podawanie basenów i kaczek, strzyżenie niektórych pacjentów, mycie podłogi, pomoc w ambulatorium i w aptece, pisanie za chorych listów i pomoc księdzu przy spowiedzi. Gdy tak biegła od jednego łóżka do drugiego, nagle przed budynkiem gruchnął pojedynczy strzał. Odruchowo się schyliła i zgięta w pół podeszła do okna, żeby zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Zanim zdążyła wychylić się przez otwór, na zewnątrz gruchnęła seria z pistoletu maszynowego. Jedna, druga i trzecia. Kule, gwizdząc naokoło, ugrzęzły w ścianie budynku, trochę powyżej okna ich sali. Joanna ukucnęła pod oknem, a następnie na czworaka dotarła do załomu ściany i ukryła w kącie pomieszczenia – byle dalej od okna. To samo uczynili niektórzy chorzy. Ci, którzy mogli się poruszać, wstali i również ukryli się w załamaniu ścian. Gorzej mieli obłożnie chorzy. Część z nich ostatkiem sił zsunęła się z posłań i wpełzła pod łóżka. Jednak większość pozostała na pryczach, nakrywając się jedynie kocem, ponieważ po pierwszych strzałach z sufitu zaczął się sypać drobny tynk.

Zebrani w pomieszczeniu – pielęgniarka i pacjenci – przez moment myśleli, że do byłego obozu wtargnął jakiś zabłąkany i odcięty od swoich głównych sił niemiecki oddział. Wkrótce do

LEKARZ Z AUSCHWITZ

coraz liczniejszy wystrzałów karabinowych i serii z peemów dołączyły radosne okrzyki sowieckich żołnierzy, wydzierających się z całych sił:

- *Pabieda!*
- *Hitler pagib!!*
- *Eviva... Stalin!!!*
- *Za Rodinu!*

Wtedy wszystko stało się jasne, a chaotyczne strzały sowieckich żołdatów nie powinny zrobić nikomu krzywdy.

– Zwycięstwo! – krzyknęła z całych sił na salę. – Koniec wojny – dodała już ciszej, jakby nie wierząc własnym słowom. Jak gdyby bojąc się, że głośne wypowiedzenie tych słów, które były od lat najskrytszym marzeniem każdego Polaka, może jeszcze sprawić, że okaże się to tylko głupią plotką.

Postanowiła jeszcze zweryfikować prawdę i wybiegła na zewnątrz. Widok radosnych, strzelających w powietrze i pijących już bez umiaru sowieckich żołnierzy powiedział jej wszystko. Pomimo to chwyciła jakiegoś polskiego sanitariusza, który bez zbędnych pytań w ogólnym tumulcie musiał wykrzyknąć jej do uszu:

- Koniec wojny! Berlin zdobyty! Hitler nie żyje!

Z takimi wieściami wróciła do swoich pacjentów. Kiedy jeszcze raz wyłuszczyła, co i jak, radość była wprost nie do opisania. Wszyscy na przemian śmiali się i płakali ze szczęścia. Albo całowali się i witali, jak po długiej rozłące. Do wszystkich wróciła nadzieja na powrót do domów i spotkanie z najbliższymi. Wiadomość o końcu wojny zadziałała nawet na ciężko chorych. Wszyscy nagle zapragnęli być już zdrowi – ożywili się, zaczęli wstawać, próbować chodzić i sprawdzać swoje siły na długą podróż do domów. Od razu chcieli wysłać wiadomość do rodzin, że już, już wracają. Polskich lekarzy i pielęgniarki zasypywali pytaniami, kiedy zostaną wypisani ze szpitala i będą wreszcie mogli jechać do domów.

SZPITAL PCK

Wiosna 1945

Wraz z ewakuacją placówki w Brzezince i przeniesieniem chorych do szpitala w obozie macierzystym oraz po uroczystym pogrzebie ofiar, zakończył się najtrudniejszy czas dla szpitala PCK. Pomimo działalności sowieckich szpitali polowych i ochotniczego zespołu PCK, wielu chorych i wycieńczonych byłych więźniów zmarło po oswobodzeniu. W literaturze pojawiają się w tej kwestii różne dane. Najwięksi optymiści mówią o zaledwie 100 ofiarach. Pesymiści dopisują do tej cyfry jeszcze jedno zero. Najczęściej prawda znajduje się pośrodku, tak jest i w tym wypadku. Dokładne zestawienie – wykaz zmarłych sporządzony przez personel polskiego szpitala na podstawie głównej księgi ewidencyjnej dr. Bellerta podaje dokładną liczbę 462 zmarłych. Niestety, ostatni nieszczęśnicy odchodzili z tego świata jeszcze w czerwcu i w lipcu 1945 roku.

Szpital Obozowy PCK w Oświęcimiu funkcjonował przez osiem miesięcy, od 5 (lub 6) lutego do 1 października 1945 roku. Przez jego struktury przewinęło się wielu ludzi, jeśli chodzi o personel medyczny i pomocniczy. W pierwszym zaciągu, wraz z Józefem Bellertem, było 38 medyków, ale szybko się okazało, że była to kropla w morzu potrzeb. Kiedy nie starczało rąk do pracy, polskich ratowników wspomagali lekarze i pielęgniarki – byli więźniowie. W pracę zaangażowano na wstępie 40 lekarzy spośród byłych więźniów, przy czym od maja 1945 roku ich liczba zmalała do 12 osób. Pośród nich należy z pewnością wspomnieć chociażby pediatrę prof. Bertholda Epsteina, psychiatrę prof. Bruno Fishera, farmakologa prof. Gezę Mansfelda, anatomopatologa prof. Henri Limousina, Jakuba Gordona, Irenę Konieczną, Arkadija

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Mostowoja, Alicję Piotrowską-Przeworską, Tibora Villanyiego, Otto Wolkena i Jakuba Wollmanna.

Kiedy i to okazało się niewystarczające w porównaniu do liczby i potrzeb chorych, na wezwanie dr. Bellerta w kwietniu do Oświęcimia przybyła druga ekipa lekarzy i pielęgniarek, oddelegowana przez dyrektora szpitala św. Łazarza w Krakowie – prof. dr. Józefa Kostrzewskiego. W ten sposób w szpitalu PCK znaleźli się m.in.: Kazimierz Gorayski, Antoni Kędracki, Alojzy Kozaczkiewicz, Zdzisław Okoński, Alojzy Pawlak, Bolesław Urbański, Bolesław Wilkoń i Lechosław Ziemiański. Ogółem w Szpitalu Obozowym PCK, podczas całego okresu jego funkcjonowania pracowało 21 lekarzy, 49 pielęgniarek dyplomowanych, 40 sanitariuszy, 16 sióstr zakonnych i 6 kucharzy.

Personel medyczny i pomocniczy rozpoczął pracę w poobozowym szpitalu za darmo. Ale nadszedł moment, w którym kierownictwo placówki inaczej spojrzało na kwestie finansowe swoich pracowników z ochotniczego zaciągu. Wszystkie osoby stanowiące personel PCK trafiły do Oświęcimia wprost z wojennej zawieruchy. Duża część znalazła się tu po upadku Warszawy w 1944 roku i ewakuacji mieszkańców stolicy do Krakowa. Ci ludzie nie mieli ze sobą praktycznie nic z rzeczy najpotrzebniejszych do życia. W związku z tym od maja 1945 roku osobom zaangażowanym w pracę szpitala PCK przyznano miesięczne wynagrodzenie: lekarzom 1500 zł, pielęgniarce 450 zł i sanitariuszom 300 zł. Po niedługim czasie pobory odpowiednio zwiększono, płacąc pielęgniarce 1100 zł, a sanitariuszom 600 zł miesięcznie. W tym wypadku lekarze nie dostali podwyżki. W podobny sposób doceniono wkład lekarzy, byłych więźniów KL Auschwitz, zaangażowanych w pracę w polskim szpitalu. Lekarzom płacono miesięcznie 1500 zł, a kończący pracę i wyjeżdżający byli więźniowie otrzymywali dodatkowo jednorazowe zapomogi finansowe: lekarze – 1500 zł, pielęgniarki 450–1100 zł, a sanitariusze od 450 do 900 zł.

Wykaz

więźniów obozu konc. Oświęcim-Brzezinka zmarłych po oswobodzeniu (27.1.1945 r.) w szpitalu PCK Oświęcim Brzezinka. - według głównej książki ewidencyjnej kier. szpitala obozowego doktora Bellerta.

nr.p.	Nazwisko i imię	nr. więźnia	pł.	Narod.	data śmierci	U w a g i
1.	Appel Moritz	A. 9757	m	Rum.	14.3.45	lat 21
2.	Aussen Klara	62463	k	Holl.	2.3.45	
3.	Apfelbaum Władysław	A. 18662	m	Pol.	28.3.45	ur.22.11.19
4.	Armany Johanna	A. 8746	k	Östr.	27.6.45	ur. 1. 9.21
5. Aurbach Miriam						
5.	Aurbach Miriam	A. 27686	k	Pol.	10.2.45	Kraków
6.	Acnoretti Cesare	184950	m	Fran.	15.3.45	ur.17. 9.94
7.	Adler Adela	26828	k	Jug.	25.2.45	lat 58
8.	Armani Roso		k	Jug.	4.2.45	
9.	Anforfi Klara	A. 20061	k	Czech.	10.3.45	lat 23
10.	Aparizio Jeanette	7180	k	Franc.	23.5.45	lat 41
11.	Anhile Andre		m		11.2.45	ur.19.11.25
12.	Ackerman Iren	A. 6991		Węgr.	28.2.45	ur.13.2.13
13.	Agatstein Maurice		m		11.2.45	ur.30.4.90
14.	Berkowicz Ludwik	A. 9850	m		27.2.45	ur.29.12.07
15.	Bemoras Guquette	76924	k	Grecz.	25.6.45	lat 20
16.	Briger-Brayer Adolf	A. 6613	m	Holan.	25.3.45	ur.24.2.18
17.	Błaszczak Jan	180793	m	Pol.	11.3.45	ur.23.12.08
18.	Blumenthal Rosalie	81304	k	Niem.	6.3.45	ur.13.5.08
19.	Brandeis Margit	A. 8780	k	Jug.	14.3.45	ur. 4.1.24
20.	Bondy Claudia	82559	k	Jug.	6.4.45	ur. 7.5.68
	Berger Michel	B. 12291	m	Węgier	29.3.45	ur.17.12.26
	De Bondy Boris	192574	m	Pol.	19.3.45	lat 60
23.	Bemars Janette	76924	k	Grecz.	25.6.45	
24.	Pimi Angelo	200645	m	Włoch	3.7.45	ur.1914 r.
25.	Polcyna Maria	82235	k	Jug.	15.3.45	
26.	Poss Maria-Anne	A. 25072	k	Holan.	28.4.45	ur. 1905 r.
27.	Pierszko Makary		m	Rosja	11.45	ur.25.5.31
28.	Berger Charlotte	A. 26837	k	Czech.	21.3.45	lat 24
29.	Berjos Martha	A. 26969	k	Czech.	1.3.45	lat 35
30.	Boruch Bronisław	170661	m	Pol.	11.2.45	ur.6.5.20
31.	Blumstein Regina	88871	k	Austr.	5.2.45	ur.1876 r.
32.	Bischitz Melania		k	Frans.	10.2.45	lat 34
33.	von Berger Lew		m	Jug.	31.1.45	
34.	Palerina Maris	82935	k	Jug.	15.3.45	ur.20.8.12
35.	Bogdan Wincenty	190996	m	Pol.	22.2.45	u lat 67
36.	Brylinska Ludwika	85289	k	Pol.	12.2.45	ur. 3.8.71
37.	Bergman Irena		k	Niem.	10.2.45	lat 50
38.	Blum Susanna	8524	k		1.3.45	
39.	De Pelleniere Emil	201273	m	Franc.	13.2.45	
40.	Faczy Eli	A. 16557	k	Franc.	28.3.45	ur.5.6.26
41.	Burger Ewa	A. 25981	k	Węgry	23.3.45	ur.5.6.32
42.	Bartok Elisabeth	82593	k	Węgry	4.4.45	
43.	Elockstein Lili		k	Węgry	13.2.45	ur.15.6.26
44.	Berger Regina	A. 9291	k	Pol.	9.4.45	
45.	Eudena	A. 16595			4.2.45	
46.	Bork Rosa	76169	k		19.3.45	lat 47
47.	Brauner Robert	200993	m		20.2.45	ur.20.3.91
48.	Billikowa Tycjana		k		22.2.45	lat 52
49.	Beckmann Marianne	85069	k	Holl.	28.2.45	lat 16
50.	Brand Josef	E. 10176	m	Pol.	20.2.45	ur.3.5.24
51.	Cohnen Albert	188533	m	Niem.	5.3.45	ur.6.9.76

Pierwsza strona wykazu więźniów niemieckiego obozu KL Auschwitz-Birkenau zmarłych w szpitalu PCK według książki ewidencyjnej prowadzonej przez dyrektora szpitala dr Józefa Bellerta (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)



Baraki w Birkenau, stan współczesny. Fot. Szymon Nowak, 2019



DYREKTOR BELLERT

Połowa roku 1945

Starszy mężczyzna ubrany w ciepłą jesionkę i kapelusz, spod którego wystawały szpakowate włosy, już dłuższą chwilę stał bezczynnie przed ciężarówką. Widać było, że się niecierpliwił – często spoglądał na zegarek i przestępował z nogi na nogę. Chciał już od dawna być w drodze do Katowic, ale zaanonsowanych pasażerów jeszcze nie było. Nie mogąc doczekać się wyjazdu, wreszcie podszedł do kabiny i częstując kierowcę papierosem, zamienił z nim kilka słów. Potem obszedł naokoło pojazd i z nawyku kopnął w każdą z czterech opon, sprawdzając w ten sposób ciśnienie powietrza w kołach. Potem, widocznie z nudów, odkrył plandekę na pace i otworzył klapę wozu, przygotowując maszynę do przyjęcia pasażerów. Jeszcze raz podszedł do kabiny, aby kontynuować rozmowę, ale wtedy z budynku wyszli jego podróżni.

Grupkę dzieci w wieku od kilku do kilkunastu lat na dziedzińcu przyprowadziły trzy pielęgniarki. Maluchy były starannie przygotowane do drogi przez swoich opiekunów, a przede wszystkim odpowiednio ubrane, miały odzież zarówno na dni chłodne, jak i na te bardziej gorące. Trochę inny ubiór mieli na sobie nastolatki, którzy widocznie sami dobierali sobie z magazynów części garderoby, i gdyby nie podkrążone oczy i wychudłe twarze, wyglądałoby całkiem normalnie. Wszyscy trzymali w rękach małe pakunki z bielizną na zmianę i jedzeniem na drogę. Wyprowadzona grupa stanęła w szeregu naprzeciw ciężarówce i doktora Bellerta, który zadowolony z przybycia pasażerów, wyjął z kieszeni płaszcz okulary i założył je na nos. Potem wziął podany przez pielęgniarkę arkusz papieru i patrząc na dzieciaki uśmiechnął się szeroko.



**Przełożona pielęgniarek Genowefa Przybysz
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

– Dzień dobry drogie dzieci. Dziś kończycie okres kwarantanny w naszym szpitalu i zabieram was samochodem do Katowic, do siedziby tamtejszego Caritasu. Tam znajdziecie kolejną bezpieczną przystań w drodze do rodziny, w drodze do prawdziwego domu. Teraz będę wyczytywał wasze nazwiska. Wyczytanych proszę o podchodzenie do samochodu i zajmowanie miejsca na ciężarówce.

Jedna z pielęgniarek przetłumaczyła słowa lekarza na język niemiecki, ale i tak wszyscy byli przekonani, że z różnonarodowej zbieraniny dzieci i tak nie wszyscy pojęli, o co chodzi.

– Judy Malik, Eliasz Malik i Jakob Malik z Rumunii.

Nie znając polskiego języka i ni w ząb nie rozumiejąc nic z wcześniejszej wypowiedzi doktora, słysząc swoje imię i nazwisko 14-letni Judy pociągnął dwójkę trzymany za ręce kilkuletnich maluchów i podszedł do samochodu. Tam już czekał uczynny kierowca i pomógł całej trójce wejść do auta, a następnie zająć miejsca na rozstawionych na pace ławeczkach. Tymczasem Józef Bellert czytał dalej:

– Mozes Majes i Rosa Majes z Węgier. Liliana Bucci i Andra Bucci z Italii. Robert Binet i Kasper Binet z Węgier. Robert Szlesinger i Paweł Szlesinger z Czechosłowacji.

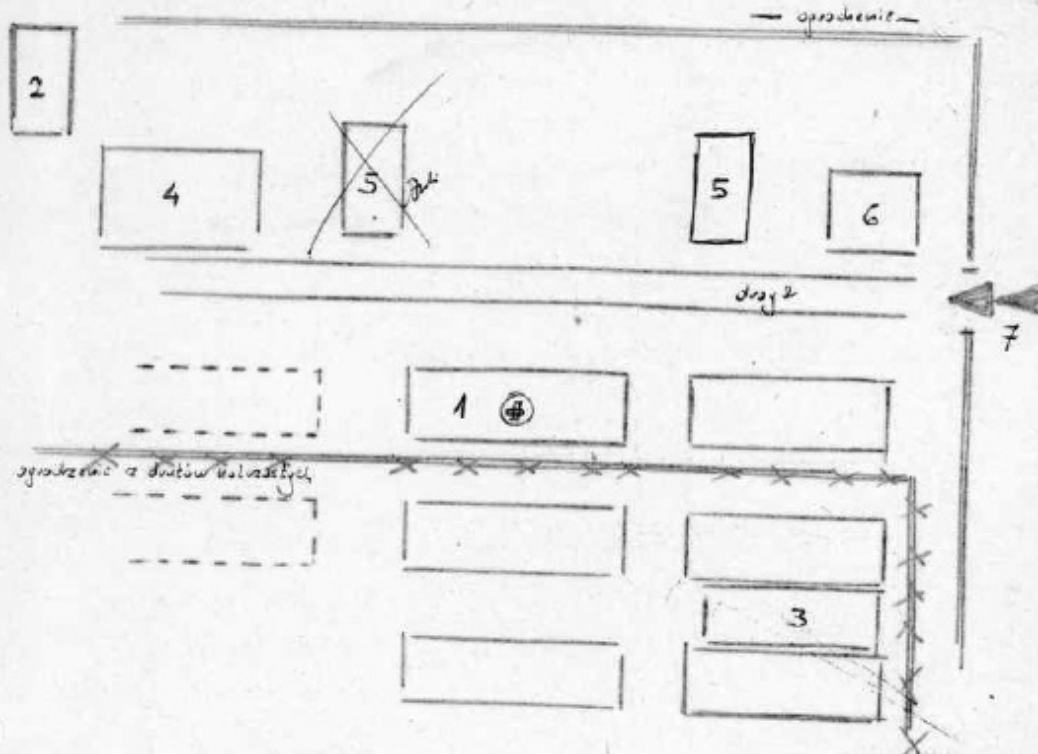
Dzieci, słysząc swoje dane, występowały z szeregu i zajmowały miejsca w samochodzie. Wszystko szło sprawnie nawet wtedy, kiedy lekarz kilkakrotnie wyczytał imię i nazwisko trzyletniej niemieckiej Żydówki:

– Brigida Altman z Niemiec.

Akurat tego malca cały czas za rękę trzymała jedna z pielęgniarek i teraz doprowadziła do auta, pomagając wsiąść i zająć miejsce. Pielęgniarka również została na pace, przewidziana jako opieka nad dziećmi podczas podróży. Kiedy na placu zostały dwie pielęgniarki, a wszystkie dzieci były już w ciężarówce, Bellert zajął do kabiny i rzucił kierowcy krótkie:

– Pogadamy w drodze powrotnej.

Potem sam również wgramolił się na tył przez zamkniętą już wcześniej klapę i usiadł pośród dzieci. Podróż minęła im szybko,



- 1 - administracja Szpitala Obozowego PCK
- 2 - oddział gruźliczy /barak drewniany/
- 3 - pralnia
- 4 - dawne krematorium
- 5 - barak drewniany. Spalił się w maju 1945 r.
- 6 - willa b. komendanta KL Auschwitz /tzw. willa Hössa/
- 7 - brama prowadząca na teren b.obozu.

Rysunek schematyczny do wspomnień Lidii Połóńskiej, określający położenie budynków szpitala PCK w ostatnim stadium jego istnienia (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

bowiem pielęgniarka intonowała różne piosenki, a dzieci dołączały do niej i w samochodzie wybrzmiewały różnojęzyczne piosenki i przyśpiewki. Kiedy znaleźli się na miejscu, dr Bellert pierwszy poszedł skontrolować pomieszczenia przygotowane dla podopiecznych. Po lustracji był bardzo zadowolony – każde dziecko miało swoje łóżko w pięknie przygotowanych pokoikach w odnowionych barakach. Na dodatek personel Caritasu postarał się nawet o zabawki dla najmłodszych. Ze wzruszeniem doktor żegnał podopiecznych, całując małe główki i wręczając każdemu dziecku po cukierku. Potem, kryjąc łzy, szybko powiedział „do widzenia”, odwrócił się na pięcie i odmaszerował sprężystym krokiem do auta. Zanim powrócili do Oświęcimia, skręcili jeszcze na katowicki bazar i wysupłując ostatnie zaskórniaki kupili na potrzeby szpitalnej kuchni ziemniaki, jajka, ser, owoce i cukierki dla dzieci.

Zbliżała się już godzina ciszy nocnej, ale dr Bellert wiedział, że tak od razu nie pójdzie dziś spać. Sterty piętrzących się zapisanych maszynowymi czcionkami kartek wymagały przeczytania i skierowania opisanych tam spraw dalej. Potrzeby ochotniczego szpitala PCK przecież same się nie załatwią. Doktor ziewnął, wypił ostatni, zimny już łyk wystygłej dawno herbaty i zajął się przeglądaniem kolejnego raportu. Być może, gdyby miał w zanadru jakąś poniemiecką superczekoladę dla lotników z dużą ilością kofeiny, pożegnałby senność na długie godziny. Jednak przejęte zaraz po wyzwoleniu magazyny SS już dawno świeciły pustkami, a problemem bieżącym stało się załatwienie jakiegokolwiek pożywienia dla chorych więźniów. Kiedy tak rozmyślał nad trudnościami w prowadzonym przez siebie szpitalu, nagle ktoś nieśmiało zapukał do drzwi.

– Słucham? – zdziwił się w pierwszej chwili, półprzytomnie patrząc na zegar. – Proszę – dodał, przyglądając zmierzwiłemu w natłoku myśli i kłopotów włosy. Widocznie jednak wypowiedział te słowa zbyt cicho, ponieważ natrętny cień widoczny za drzwiami nie wchodził, a zapukał jeszcze raz.

– Proszę wejść! – powiedział już trochę poirytowany lekarz i wtedy dopiero kłamka pomału opadła ku dołowi, a drzwi wolno



**Dr Jadwiga Magnuszewska i dr Zdzisław Makomaski
(Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

otworzyły się na oścież. Na progu stała drobna, młoda pielęgniarka. Przedwojenna higienistka z placówki ZHP w Sromowcach Wyżnych, wojenna uciekinierka z Wołynia, okupacyjna konspiratorka AK z Krakowa, urodzona w 1921 roku Marianna Rogoż nie wiedziała, od czego ma zacząć i nerwowo skubała końcówkę swojego warkocza.

– Dobry wieczór, panie doktorze – zaczęła niepewnie.

– Przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej porze.

– Ale o co chodzi?

– Mam problem – dodała niepewnie, a widząc pytające i niecierpliwie spojrzenie doktora dokończyła fachowo: – Dostałam polecenie od siostry przełożonej wykonania u wycieńczonej chorej byłej więźniarki iniekcji domięśniowej camphochiny.

– I?

– I nie mogę wykonać tego polecenia, ponieważ u tej pacjentki występuje całkowity zanik mięśni.

– Czy pani sobie żartuje?

– Nie. Mówię poważnie, panie doktorze. Nie mogę zrobić zastrzyku, ponieważ u chorej nie ma ani grama mięśni, w które mogłabym się wkluć igłą.

Zdenerwowany piętrzącymi się kłopotami szpitala, niewyspany którąś z kolei noc i poirytowany przyziemnymi kłopotami swojej pielęgniarki dr Bellert gwałtownie wstał od biurka o mało nie wywracając swojego krzesła.

– Skąd pani się wzięła w tym szpitalu? Jakie ma pani doświadczenie medyczne? – pytał gwałtownie, sapiąc z emocji. Dziewczyna jeszcze bardziej się zawstydzila, zaczerwieniła na twarzy i spuściła powieki.

– Przed wojną byłam tylko higienistką harcerską. A w okupacji miałam w AK przeszkolenie sanitarne.

– Kogo mi tu sprowadzają do pracy?! – lekarz w geście rozpaczy załamał teatralnie ręce. – Pielęgniarki... Nie potrafią nawet normalnych zastrzyków zrobić... Ja siostrze pokażę, jak to się robi.

– Proszę bardzo... – powiedziała nieśmiało i przepuściła w drzwiach lekarza, podając mu równocześnie strzykawkę do ręki.

Dyrektor Bellert

Prowadzony przez podwładną szybko podszedł do łóżka chorej i odwinął koc. Przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, patrząc na żywy ludzki szkielet leżący bez ruchu na łóżku. Wodził wzrokiem po rękach i ramionach chorej, szukając chociaż odrobiny tkanki mięśniowej. Przed sobą widział tylko kości i żyły obciążone szczelnie szarą ziemistą skórą. Pacjenta w takim stanie, pomimo wieloletniego wojennego doświadczenia, to nawet on, doktor Bellert, nigdy nie widział. Zmieszał się i przykrył z powrotem schorowaną i zagłodzoną byłą więźniarkę. Potem oddał strzykawkę pielęgniarce. Zawstydzony swoim zachowaniem i mocno wzruszony długie minuty stał nad łóżkiem chorej, wpatrując się w jej gasnące oczy, jakby chciał siłą swojej woli wykrzesać z niej jeszcze odrobinę sił żywotnych. W końcu odwrócił się do Marianny i nie patrząc jej w oczy, powiedział cicho:

– Przepraszam. Wybacz, dziecko.

Zdruzgotany wrócił do swojego gabinetu. Nie był już w stanie przeglądać zapisanych literkami i cyferkami setek kwestionariuszy. W nocy długo nie mógł zasnąć. Wiele godzin siedział bez ruchu przy biurku i wpatrywał się w nocny świat wylaniający się zza okna.

Słoneczne promienie radośnie zaglądały przez okno w ten wyjątkowo piękny dzień i załamując się na szkle jak w pryzmacie, wchodziły do wewnątrz rozszczepiając się po drodze na kolorowe barwy tęczy. Taką drgającą pod wpływem ciepłego powietrza tęczę widziała na swojej poduszce mała Julia do momentu, kiedy potężny czarny cień zasłonił jej ten wspaniały widok.

– Cześć Julka! – radośnie przywitał się będący właśnie na lekarskim obchodzie doktor Bellert.

– Dzień dobry, wujku doktorze – uradowała się dziewczynka.

– A co mi dzisiaj przyniosłeś?

– No wiesz – stropił się teatralnie lekarz. – Ostatnio nigdzie nie wyjeżdżałem. Nie byłem ani w Krakowie, ani w Katowicach, ani nawet w Warszawie.



Personel szpitala obozowego PCK w Oświęcimiu w pomieszczeniach dykcji i administracji (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

Dyrektor Bellert

– Uuuu... Szkoda... W taką piękną pogodę podróże są bardzo dobre.

– Nigdzie nie byłem. I nie mam dla Ciebie żadnych smakołyków. Ale mam to! – w geście triumfu doktor wyciągnął zza pleców chowaną do tej pory rękę.

– Co to jest? – zachwycona dziewczynka wzięła od lekarza wystruganą starannie z drewna zabawkę.

– A to ty nie wiesz, co to jest? – droczył się z nią Bellert.

– Piesek?

– Nie! To przecież koń. Prawdziwy ułański wierzchowiec. I ma kółeczka. Można go ciągnąć na sznurku i będzie jeździł jak prawdziwy rumak.

– Dziękuję, wujku. Tylko ja ciągle leżę. Kiedy będę mogła wstać, iść na spacer i pociągnąć tego konika?

– Już niedługo.

– Obiecałeś, że jak będzie ciepło, to wyzdrowieję.

– I słowo podtrzymuję.

– Ale już jest wiosna.

– No tak. Ale jeszcze na dworze chłodno. Jak tylko zrobi się naprawdę ciepło, pójdziemy razem na spacer i pociągniemy na sznurku tego konika, dobrze?

– Dobrze. Już nie mogę się doczekać.

Prowadząc rozmowę ze swoją małą pacjentką dr Bellert jednocześnie badał ją, a potem wnikliwie czytał kartę chorej. Posmutniał, kiedy zrozumiał, że w leczeniu nie ma przełomu, a stan chorej stale się pogarsza. Nie dał jednak po sobie poznać frasunku i cały czas przekomarzał się z dziewczynką, robiąc jej różne żarty. Aż towarzyszące mu w obchodzie siostry zaśmiewały się z lekarskich psikusów, wymyślanych tylko po to, aby trochę rozweselić młodszą pacjentkę.

Wszyscy wiedzieli, że mała Julka jest oczkiem w głowie doktora. Że na samym początku swojej pracy znalazł ją wegetującą gdzieś samotnie w najdalszym baraku Birkenau i zajął się nią jak własnym dzieckiem. Albo raczej jak swoją wnuczką. Córki doktora nie miały dzieci i dlatego Józef całą swoją miłość dziadka przelewał

LEKARZ Z AUSCHWITZ

teraz właśnie na małą dziewczynkę. Często poza swoim dyżurem znajdował czas, aby odwiedzić małą pacjentkę. Opowiadał jej o pięknych miejscach Polski, chwalił się znajomością zabytków największych polskich miast i snuł wizję przyszłych wspólnych spacerów po stolicy i grodzie Kraka.

Niestety pacjentka, cierpiąca na chorobę głodową, pomimo olbrzymich wysiłków personelu cały czas coraz bardziej zapadała na zdrowiu. Następstwem choroby głodowej była biegunka, odleżyny i zapalenie płuc. Wszystko to razem wzięte tak wyniszczało młodziutki organizm, że dziewczynka nie miała już siły wstawać z łóżka, słabła z dnia na dzień i dosłownie gasła w oczach.

Pewnego wieczoru dostała silnej gorączki, przestała rozpoznawać ludzi i majaczyła w malignie. Nie wiedząc już, co robić, do łóżka chorej siostry wezwały Józefa Bellerta. Doktor zbadał ją i zaaplikował lekarstwa, które uspokoiły na chwilę chorą, ale w żaden sposób nie zniweczyły jej gorączki.

Zmartwiały niemal w tej sytuacji lekarz ciężko usiadł na łóżku w nogach pacjentki, nie przestając obserwować jej reakcji. Ale dziewczynka spała już głęboko, czasami tylko wyrzucała z siebie jakiś tajony krzyk lub ciężkie westchnienie. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że nadchodząca noc będzie dla chorej przełomowa – Julka albo pokona chorobę i zacznie wracać do zdrowia, albo...

– Słuchajcie – powiedział z cicha doktor Bellert. – Idźcie do własnych obowiązków, a ja tu popilnuję chorej. Jakby coś złego się działo, to was poproszę.

– Dobrze, panie doktorze – odpowiedziały pielęgniarki i rozeszły się do swoich zajęć.

Kiedy lekarz został sam na sam z chorą, szybko chwycił ją za rączkę i mocno ścisnął. Potem często kładł dłoń na jej czole, aby szybko sprawdzić jej temperaturę. Gorączka jednak nie ustępowała, a po dwóch godzinach spokoju, na nowo powróciły majaki. Do tej pory niemająca sił usiąść na łóżku dziewczynka gwałtownie zrywała się i wykrzykiwała początkowo niezrozumiałe wyrazy. Dopiero po dłuższej chwili Józef zaczął rozróżniać jej okrzyki:

Dyrektor Bellert

– Chleb! Masło! Mamo! Tato! Niemcy! Żydzi! Idą tu! Aaaa!!!

Kiedy kolejne ataki stawały się coraz gwałtowniejsze, lekarz z ciężkim sercem podawał jej następny zastrzyk na uspokojenie i zwalczanie gorączki. Ale po godzinie, dwóch sytuacja się powtarzała, a Bellert nie chciał bez końca szprycować twardymi farmaceutykami swojej ulubionej podopiecznej. W pewnym momencie Julia jak gdyby otrzeźwiała, przytomnym wzrokiem popatrzyła na doktora, sama usiadła na łóżku obok niego i przytuliła się do jego ramienia.

– Jak wyzdrowię, to pójdziemy na spacer, dobrze? Będziemy zwiedzać krakowskie Planty i warszawskie Łazienki. Albo pójdziemy nad Wisłę i będziemy puszczać kaczki po rzece albo łódki z kory. A może pójdziemy do lasu? Tak, do lasu!

Zrozpaczony lekarz przytakiwał dziewczynce i sam zaczął snuć przed nią wizje wspólnych spacerów, wypadów za miasto i zwiedzania co piękniejszych miejsc w kraju. Widząc, że dziecko znowu się uspokaja i samo kładzie się spać nakrywając kocem, przerwał potok wyrzucanych z siebie słów i wsłuchał się w jej ostatnie życzenie.

– Tatusiu. Mój kochany tatuś. Wiesz, ja już bym chyba chciała być u Bozi.

Józef poprawił jeszcze szczelnie okrycie dziewczynki, a potem zamknął gwałtownie oczy tak silnie, że spod przymrużonych powiek po chwili spłynęły łzy. Potem jeszcze długie godziny siedział bez ruchu nad oddychającą coraz spokojniej dziewczynką i modlił się w myślach, prosząc Boga o jeszcze jeden, jedyny cud w swoim życiu.

– Panie doktorze, śpi pan? – był już ranek, kiedy pielęgniarka nowej zmiany znalazła się przy łóżku Julki i z lekka trącając doktora w ramię próbowała go obudzić.

– Nie. Raczej nie – szeroko otworzył przytomne oczy.

– Bo wie pan, ta mała nie żyje. Zmarła niedawno, bo ciało jeszcze ciepłe. Czy chce pan z nią się pożegnać, bo pielęgniarze czekają, żeby zabrać ją do kostnicy.

Chyba się spodziewał, że tak właśnie się stanie. Bez zdziwienia wstał i pogładził dziecko po włosach i po twarzy. Miała zamknięte

LEKARZ Z AUSCHWITZ

oczy i wyglądała jakby spała. Bellert ukląkł przy łóżku i odmówił modlitwę za zmarłych. Potem ciężko wstał i znowu usiadł przy zmarłej małej.

– Panie doktorze, są już pielęgniarze z wozem i będą zabierali ciało – po kilku minutach ciszy powtórzyła raz jeszcze siostra.

– Ja sam – powiedział tylko doktor, żwawo jak na blisko 60-latkę zerwał się z łóżka i odwinąwszy koc, wziął w ramiona drobniutkie ciało dziewczynki. Z ogromnym namaszczeniem zniósł je na dół i złożył na platformie konnego wozu. Z okna szpitala wszyscy widzieli, jak zgarbiony od ciężaru bóleści lekarz szedł tuż obok furmanki, nie odstępując ani na krok zmarłej nad ranem dziewczynki.

W lipcu 1945 roku w polskim szpitalu hospitalizowało się jeszcze około 100–150 chorych byłych więźniów. Oficjalnie poobozowy szpital w Oświęcimiu zakończył swoją działalność z dniem 1 października 1945 roku.

Józef Bellert pozostał dyrektorem Szpitala Obozowego PCK w Oświęcimiu do 31 sierpnia 1945 roku – dzień później objął stanowisko dyrektora Szpitala św. Łazarza w Krakowie. W ostatnim miesiącu pracy szpitala PCK funkcję jego dyrektora pełnił dr Jan Jodłowski.

Wspominając dr. Bellerta, pielęgniarka Lidia Połomska napisała w swoich wspomnieniach: *Pragnę uzupełnić moją relację wspomnieniami o Dyrektora Szpitala Obozowego PCK dr. Józefie Bellercie, najlepszym i najtroskliwszym Kierowniku naszego zespołu, dzięki któremu wśród pracowników Szpitala panowała serdeczna, koleżeńska atmosfera. Nazywaliśmy go powszechnie „Tata Bellert”. On to systematycznie wyprawiał się samochodem ciężarowym do Krakowa, skąd przywoził zdobyte z jemu tylko znanych źródeł specyfiki dla chorych oraz żywność, która wydatnie urozmaicała nasze jednostajne obozowe posiłki. Wiosną 1945 roku, kiedy w magazynach Oświęcimia zabrakło świeżych ziemniaków i od dłuższego czasu gotowano wyłącznie suszone,*



Konferencja dyrektora szpitala dr. Józefa Bellerta z siostrą przełożoną Genowefą Przybysz w gabinecie dyrektora (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

dr Bellert zdobył i przywiózł do obozu transport świeżych kartofli. Dzięki również jego staraniom, władze radzieckie wydały z magazynów obozowych ubrania i odzież dla zniszczonych wojną polskich pracowników szpitala.

Również Tadeusz Mleko, ochotnik PCK z Brzeszcz, bardzo pozytywnie zapamiętał swojego przełożonego: *Dr Bellert wyróżniał się wprost niezwykłą gorliwością w niesieniu pomocy więźniom. Badał byłych więźniów, operował ich i leczył. W dużej dyscyplinie utrzymywał swój personel. Mam do niego wielki szacunek i uznanie. Osobiście zawdzięczam mu wyleczenie z czerwonki, którą zaraziłem się na terenie obozu.*

Współpracę z dr. Bellertem i polskim szpitalem PCK bardzo wysoko oceniali też przedstawiciele sowieckich szpitali polowych oraz sami pacjenci.

Naczelnik wojskowy pierwszego szpitala polowego, który przevinął się przez Oświęcim, mjr. Mielaj, w chwili odjazdu polecił wystawić indywidualne zaświadczenia dla każdego członka zespołu PCK, w których szczerze dziękował za współpracę. Przy pożegnaniu powiedział: *Po raz pierwszy w życiu zetknęliśmy się bezpośrednio w pracy z polską służbą lekarsko-sanitarną. Przyglądałem się wam i waszej pracy z uwagą. Dziś, odjeżdżając, muszę stwierdzić, że praca wasza mi zaimponowała. Jeżeli macie w Polsce takich wszystkich lekarzy i takie pielęgniarki, to wam winszuję szczerze i dziękuję losowi, że dał mi możliwość pracowania z wami. Jako kierownik szpitala serdecznie wam dziękuję za pracę, bez której nie dalibyśmy sobie rady. Życzę wam dalszej pracy tak owocnej dla poprawy zdrowia ofiar niemiecko-faszystowskiej [agresji] i wierzę, że Polska, mając tak pracowity naród, prędko zakwitnie.*

Naczelnik wojskowy drugiego szpitala mjr Żylińska, opuszczając Oświęcim, zaznaczyła: *Uczyliśmy się u was, jak się pracuje dla dobra chorych. Daliście z siebie maksimum sił dla nieszczęśliwych ofiar, by przyjść im z pomocą. Wasza pogoda charakteru i koleżeńskość przy pracy staną się przyczyną, że długo będziemy pamiętać wspólną pracę z Polskim Czerwonym Krzyżem. Z prawdziwym żalem z wami się rozstajemy.*

Dyrektor Bellert

Doktor mjr Polakow podkreślił pracę polskich pielęgniarek i sanitariuszek mówiąc: *Specjalnie muszę podnieść wysiłki w pracy pielęgniarki polskiej z zespołu Polskiego Czerwonego Krzyża. Praca pielęgniarek była imponująca. Tyle wniosły obok fachowej wiedzy na wysokim poziomie, prawdziwych walorów, serdecznego ustosunkowania do chorych i miękkiego podejścia do tragedii życia b. więźniów, że mogę tylko z podziwem i szacunkiem dla ich pracy opuścić w dniu dzisiejszym oświęcimski szpital.*

Natomiast były więzień oświęcimski dr Samuel Steinberg, który współpracował z polskim zespołem, powiedział: *My, lekarze obcokrajowcy, cenimy sobie bardzo współpracę z wami. Podziwiamy wasz zapał i nieschematyczne podejście w leczeniu chorych. Podziwiamy ofiarność pracy pielęgniarek PCK. Poza tym koleżeńskie wasze ustosunkowanie się i życzliwość w pracy zawodowej zjednała wam w nas wielkich przyjaciół. Jako lekarz stwierdzam, że poziom fachowy waszej służby sanitarnej jest bardzo wysoki. Jako były więzień będę wyrazicielem ogólnej opinii, jeżeli podkreślę waszą serdeczną życzliwość i gorące współczucie, któreście nam okazali.*

I jeszcze fragment listu, jednego z licznych pozostawionych przez chorych, do opiekującej się nimi siostry PCK, podpisanego przez wielu chorych różnej narodowości: *Z całej duszy dziękujemy naszej salowej siostrze, która z takim poświęceniem się pracuje dla nas dnie i noce, i życzymy jej w jej przyszłości wiele zdrowia i szczęścia. Chorzy Sali nr 8 blok nr 20. Oświęcim 10 kwietnia 1945.*

Swoich podwładnych bardzo wysoko oceniał też Józef Bellert, który w swoim sprawozdaniu z pracy ochotniczego zespołu PCK napisał: *Lekarze i pielęgniarki pracujący ochotniczo i z poświęceniem w szpitalu obozowym w Oświęcimiu oddali dla tej pracy swoją wiedzę, doświadczenie i miłość braterską chorego. W innym miejscu dodawał: Dzisiaj wspominamy kilkumiesięczny okres pracy w obozie zgrozy i piekła, i zdajemy sobie sprawę, że byliśmy tam bardzo potrzebni.*

ŻYCIE PO AUSCHWITZ

Po rozwiązaniu zespołu ochotniczego PCK i zakończeniu pracy w Oświęcimiu różnie potoczyły się losy osób zaangażowanych w ratowanie chorych byłych więźniów niemieckiego obozu. Przeważająca ich część na stałe związała swoją przyszłość z medycyną. Wyjątkiem od tej reguły może być Zofia Bellert, córka dr. Bellerta, która na przełomie marca i kwietnia 1945 roku zachorowała na tyfus i musiała opuścić Oświęcim. Zamieszkała w Krakowie i zajęła się chałupniczo dziewiarstwem. W jednym pokoju swojego mieszkania urządziła warsztat tkacki i w ten sposób zarabiała na życie.

Doktor Zdzisław Makomaski w 1948 roku wyjechał do USA i przyjął tamtejsze obywatelstwo. Dlatego pewnie zainteresował swoją osobą komunistyczne służby bezpieczeństwa, które starając się go pozyskać, założyły sprawę ewidencyjno-obszerną pod kryptonimem „Maska”. Wkrótce sprawę „Maska” złożono do archiwum z krótką adnotacją, że „kandydat nie odpowiada wymogom werbunkowym”.

Doktor Jan Jodłowski w Oświęcimiu wnikliwie obserwował i badał chorobę głodową (*distrophia alimentaris*) byłych więźniów, a wynikiem tego doświadczenia były dwie prace naukowe opublikowane w 1947 roku. Potem we Wrocławiu organizował pierwszą Akademię Medyczną na Ziemiach Odzyskanych, współtworzył struktury medyczne Uniwersytetu i Politechniki, pracował w Szpitalu Ojców Bonifratrów i w Klinice Chorób Wewnętrznych oraz był wykładowcą chociażby w Ośrodku Szkolenia Ministerstwa Zdrowia.



„Sentyment do dawnych miejsc pracy”. Grupa członków personelu szpitala PCK w drodze na teren byłego obozu, gdzie pracowali w 1945 r.

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Największą karierę zrobił chyba Józef Grenda, który po zakończeniu pracy w Oświęcimiu powrócił do nauki, w 1947 roku ukończył studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim i zrobił specjalizację z chirurgii. Na początku lat 50. wyjechał do Korei Północnej, gdzie prowadził polski szpital PCK. Początkowo szpital działał przy linii frontu, a jego pacjentami byli najczęściej żołnierze komunistycznej armii poparzeni napalmem. Po powrocie do Polski Grenda był dyrektorem szpitala w Starachowicach, pracował w szpitalu w Kielcach, został podsekretarzem stanu w Ministerstwie Zdrowia, by wreszcie zostać wiceministrem zdrowia. Funkcję tę pełnił do 1980 roku, a w stanie wojennym był internowany.

Dla odmiany Andrzej Zaorski, który rozpoczął pracę na Uniwersytecie Warszawskim, w listopadzie 1945 roku został aresztowany przez UB i za działalność konspiracyjną w NSZ oraz Organizacji Polskiej skazano go na trzy lata więzienia. W wyniku amnestii wyszedł po 1,5 roku, a potem pracował w szpitalu w Żyrardowie, w Szpitalu Przemienienia Pańskiego w Warszawie, miał również epizod w afrykańskim szpitalu w Kongo. Szczytem jego kariery było stanowisko dyrektora Centralnego Szpitala Klinicznego w Warszawie.

Józef Bellert po zakończeniu pracy w Szpitalu Obozowym PCK w Oświęcimiu (31 lipca 1945 r.) wyjechał do Krakowa. Tam od 1 sierpnia 1945 roku objął stanowisko dyrektora Szpitala św. Łazarza, placówkę tę rozbudował i rozwinął, by mogła funkcjonować na najwyższym poziomie. *Po odbudowaniu zniszczonych pawilonów – pisała z wyczuwalną nutką goryczy o ówczesnej drodze kariery swojego ojca Zofia Bellert – zaopatrzeniu szpitala w różne urządzenia, rozbudowie kuchni, urządzeniu różnych laboratoriów, rentgena, Kliniki Urologicznej, uruchomieniu pierwszej w Polsce Szkoły Dietetyczek w nowo wybudowanym pawilonie i po przygotowaniu oddziałów szpitalnych do poziomu Klinik i oddaniu całego szpitala Akademii Medycznej – przeniesiony przez Ministerstwo Zdrowia do macierzystej organizacji, tj. Ubezpieczalni Społecznej.*

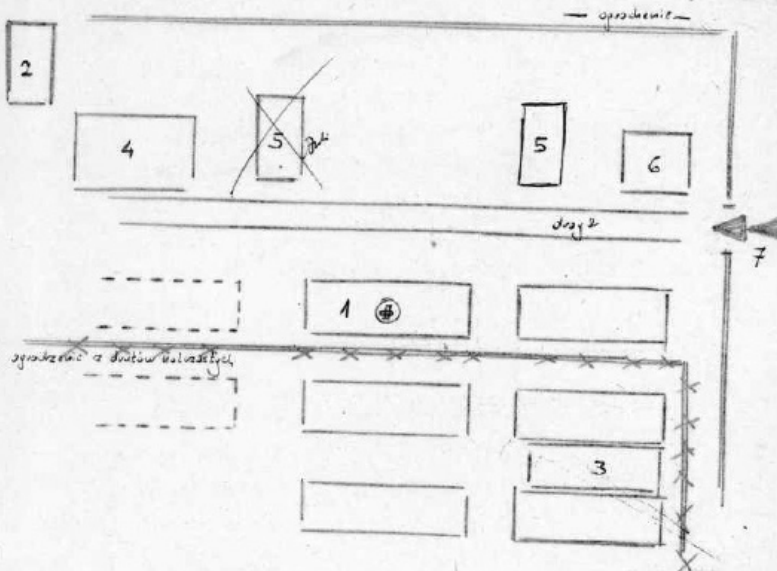
Od 1 lutego 1951 roku Józef Bellert rozpoczął pracę w charakterze lekarza rejonowego w Przychodni Obwodowej Dzielnicy Kleparz w Krakowie. Kilka dni później (6 lutego) zmarła żona Józefa – Sabina Bellert z d. Głuchowska. Piastując stanowisko lekarza w przychodni niez mordowany doktor sprawował równocześnie funkcję przewodniczącego jednej z komisji do spraw inwalidztwa i zatrudnienia w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych. W tym czasie mieszkał w Krakowie ze starszą córką Zofią.

Jak wieść niesie – pisało o dr. Bellerce w 1966 roku „Echo Krakowa” – niejednokrotnie odwiedza w domu chorego mieszkającego samotnie i bez opieki, sam załatwia mu lekarstwa, czasem zakupy, zdarza się nawet, że zapali w piecu...

Kilka lat później w podobnym tonie o Bellerce rozpisywało się czasopismo „Służba Zdrowia”: *Dzielnica Kleparz nie zapomni nigdy sylwetki „swego Doktora”, ostatnio już nieco przygarbionego, kroczącego codziennie od bramy do bramy po ulicach Kleparza, odwiedzającego chorych, bez względu na wysokość pięter i na liczbę wizyt domowych. Doktor Bellert był bez reszty oddany choremu człowiekowi. Do przesady skromny, nigdy nieustrudzony, wymagający od siebie więcej niżby należało, zawsze pogodny i dobry kolega. Był nie tylko wzorowym pracownikiem służby zdrowia, lecz również żywym przykładem lekarza o wysokiej etyce i sumienności zawodowej. Dzięki pracy na ostatnim stanowisku zaskarbił sobie prawdziwą wdzięczność i miłość otoczenia.*

Józef Bellert pracował do 31 stycznia 1969 roku, czyli do momentu przejścia na zasłużoną emeryturę. Kilka miesięcy później wyjechał do Warszawy, aby odwiedzić brata i młodszą córkę. W stolicy trafił do szpitala i w czasie badań lekarskich dowiedział się, że ma raka. Z placówki medycznej już nie wyszedł. Zmarł 25 kwietnia 1970 roku (choć w niektórych źródłach występuje też dzień 23 kwietnia) *po długiej i ciężkiej chorobie, w wieku 83 lat, opatrzony św. Sakramentami*. Pogrzeb odbył się 29 kwietnia, a ciało Józefa Bellerta spoczęło w rodzinnym grobie na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Załącznik II do relacji p. Lidii Połońskiej
 Szkic sytuacyjny części Szpitala Obozowego PCK
 w ostatnim okresie jego istnienia.



- 1 - administracja Szpitala Obozowego PCK
- 2 - oddział gruźliczy /barak drewniany/
- 3 - pralnia
- 4 - dawne krematorium
- 5 - barak drewniany. Spalił się w maju 1945 r.
- 6 - willa b. komendanta KL Auschwitz /tzw. willa Hösa/
- 7 - brama prowadząca na teren b. obozu.

Schematyczny rysunek do wspomnień Lidii Połońskiej, określający położenie budynków szpitala PCK w ostatnim stadium jego istnienia (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

I-791b

H e n r y k K o d z i

/kierownik administracji szpitala obozowego P.C.K. w Oświęcimiu/

P R A C A
OCHOTNICZEGO ZESPOŁU P.C.K. W SZPITALU OBOZOWYM
W OŚWIĘCIMIU !

O ś w i ę c i m

Obóz koncentracyjny

1

9

4

5

**Pierwsza strona opracowania autorstwa Henryka Kodzia, dotyczącego
pracy ochotniczego zespołu PCK w szpitalu obozowym w Oświęcimiu z 1945 r.
(Instytut Pamięci Narodowej)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

W krakowskim „Dzienniku Polskim” zanotowano: 23 kwietnia br. zmarł w wieku 83 lat dr med. Józef Bellert, lekarz-społecznik, niezastąpiony przyjaciel chorych, którym z wielkim poświęceniem służył przez 57 lat nieprzerwanej praktyki lekarskiej. Zmarły pełnił w tragicznych dniach Września funkcję ordynatora szpitala wojskowego. W czasie Powstania Warszawskiego (ps. „Jacek”) mianowany został szefem sanitarnym AK w dzielnicy Mokotów. Po oswobodzeniu organizował pomoc dla pozostałych przy życiu więźniów obozu oświęcimskiego, a następnie powołany został na stanowisko dyrektora Szpitala św. Łazarza. Był też lekarzem orzekającym Woj. Komisji Lekarsko-Społecznej. W ostatnich latach pracował w III Dzielnicowej Przychodni Obwodowej dzielnicy Kleparz. Za swe zasługi został odznaczony: Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, 3-krotnie Złotym Krzyżem Zasługi, Odznaką „Za Wzorową Pracę w Służbie Zdrowia” i in.

Jeśli chodzi o upamiętnienie zmarłego lekarza, to imieniem Józefa Bellerta nazwano ulicę w Krakowie, znajdującą się w dzielnicy Swoszowice, przy której wybudowano domy jednorodzinne. Uliczka jest krótka, ma niewiele ponad 200 metrów, ale i tak przypomina nietuzinkową postać bohaterskiego polskiego doktora. Ponadto na cześć Józefa Bellerta w 2000 roku na murze zabytkowego Szpitala św. Juliana w Pińczowie odsłonięto tablicę upamiętniającą wspaniałego lekarza, żołnierza i społecznika, który w latach 1925–1932 był dyrektorem tej pińczowskiej placówki zdrowia.

Córki Józefa Bellerta nie założyły rodzin i zmarły bezpotomnie. Starsza Zofia zmarła w 1995 r., a młodsza Maria w 2000 roku. Obydwie pochowane zostały obok ojca w grobowcu rodzinnym na Starych Powązkach w Warszawie.

Po śmierci Marii pudło z rodzinnymi pamiątkami trafiło w ręce Ewy Bellert-Michalik, wnuczki Piotra Bellerta, rodzzonego brata Józefa. W pudełku było mnóstwo dokumentów, zdjęć, a nawet stare listy i pocztówki. Ewa Bellert-Michalik zapamiętała swojego stryjecznego dziadka jako człowieka wesołego, opowiadającego dowcipy, wiecznie roześmianego. W jej oczach stryjek Józio

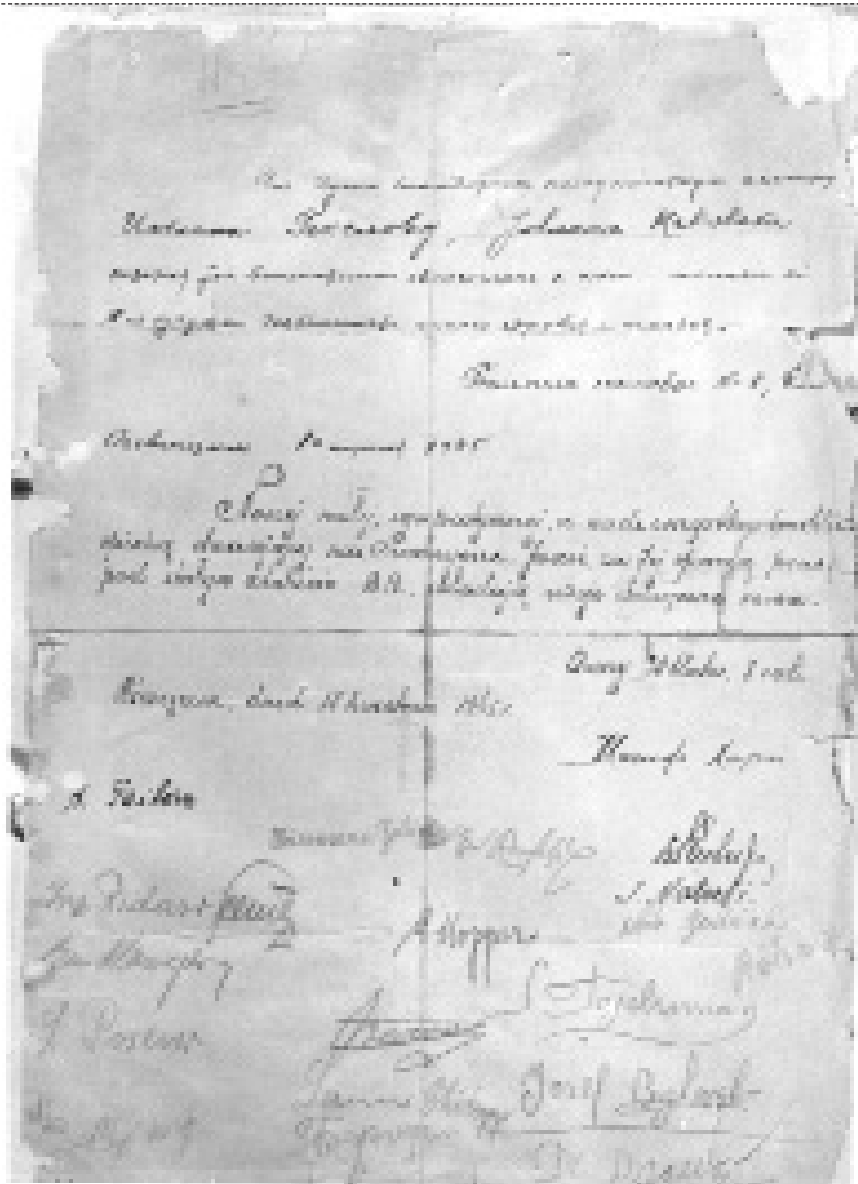
był pogodny i energiczny, a przy tym niewysoki, korpulentny i nosił wąsy.

Stryjek Józio, bo tak zawsze mówiliśmy o Józefie Bellercie, stryjkę mojego taty – wspominała Ewa Bellert-Michalik – był wyrocznią, można było na nim polegać. Zawsze wiedziałam też, że był najbardziej zasłużony w naszej rodzinie i najwięcej się w jego życiu działo.

Jako mała dziewczynka Ewa często przyjeżdżała z mamą do Krakowa w odwiedziny do stryjka Józefa. Zapamiętała, że wówczas dr Bellert mieszkał z córką Zofią, która jako dziewiarka pracowała chałupniczo. Zawsze też w krakowskim mieszkaniu Bellertów musiał być pies – w latach 50. był to biały szpic Pusia, a dekadę później dalmatyńczyk Szep.

Ze swoich krakowskich wyjazdów do Józefa Bellerta Ewa zapamiętała jeszcze wspólne spacerunki ze stryjecznym dziadkiem, podczas których senior rodu pokazywał kilkunastoletniej dziewczynie zakamarki grodu Kraka i opowiadał związane z miastem anegdoty. Namawiał również Ewę, aby poszła na studia na Uniwersytet Jagielloński, ale ona wybrała Warszawę.

Rodzinne skarby Józefa Bellerta trafiły w dobre ręce. Dzięki inicjatywie Ewy Bellert-Michalik krótkie reminiscencje o dr. Józefie Bellercie pojawiły się na portalach internetowych, dając świadectwo dawnych zdarzeń związanych z naszym bohaterem oraz upamiętniając w taki sposób tę nietuzinkową postać.



Podziękowania pisane w językach rosyjskim i polskim od chorych byłych więźniów przebywających w szpitalu PCK w Oświęcimiu, dla pielęgniarki Joanny Hekslowej (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

JÓZEF BELLERT

Józef Bellert urodził się 19 marca 1887 roku w Samsonowie, powiat Kielce. Według obowiązującego wówczas na terenie zaboru rosyjskiego kalendarza juliańskiego był to 7 marca i dlatego w niektórych dokumentach jako datę urodzin Józefa podawano też właśnie ten dzień. Na chrzcie, który odbył się w lipcu następnego roku w kościele parafialnym pw. św. Stanisława Biskupa Męczennika w Tumlinie, dziecku nadano imiona: Józef, Stanisław, Ferdynand. Rodzicami Józefa byli Aleksander Bellert i Jadwiga z Zaremskich. Józef miał starszą siostrę Helenę (ur. 1886 r.), młodszego brata Piotra (ur. 1888 r.) oraz przyrodnie rodzeństwo z poprzedniego małżeństwa ojca. Dziadek Józefa – Jan Bellert, był znanym lekarzem żyjącym i działającym w Rydze w XIX wieku. Ojciec Józefa – Aleksander Bellert, urodził się w Rydze i był pułkownikiem carskiej armii (94 pp), a matka Józefa – Jadwiga Zaremska, była jego drugą lub trzecią żoną. Niestety Aleksander Bellert (wówczas już emerytowany carski oficer) zmarł w 1890 roku, kiedy Józef miał dopiero trzy lata. W ten sposób Jadwiga zmuszona została, aby samodzielnie utrzymać trójkę małych dzieci. Na szczęście znalazła pracę jako gosposia na plebanii u proboszcza i odtąd, pracując przy księdzu, przenosiła się wraz z nim po różnych parafiach. Dzięki tej pracy cała trójka jej dzieci mogła pójść do szkół i uzyskać dobre wykształcenie. Na początku XX wieku Józef i Piotr uczyli się w gimnazjum męskim w Kielcach, obaj – zapewne przez oszczędność – w jednej klasie.

W 1905 roku przez pozostającą pod rosyjskim zaborem Polskę przetoczyła się fala strajków, co było następstwem protestów i „krwawej niedzieli” w Petersburgu. W tym czasie bracia

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Bellertowie uczęszczali do VII klasy. W pierwszych dniach lutego do ogólnokrajowego strajku dołączyła polska młodzież szkolna Kielc, przedstawiając dyrekcji petycję o wprowadzenie języka polskiego jako wykładowego oraz ustanowienie najważniejszych przedmiotów nauczania – języka polskiego i historii Polski. Przy wręczeniu petycji dyrekcji szkoły uczniowie wznosili okrzyki: „Żądamy polskich wykładów! Żądamy Polaków profesorów! Niech żyje polska szkoła!”. Początkowo władze carskie nie ugięły się przed żądaniami polskiej młodzieży. W gimnazjum, do którego uczęszczali bracia Bellertowie, dyrekcja relegowała ze szkoły prawie połowę strajkujących uczniów. Ci najbardziej zaangażowani w protest dostali dodatkowo tzw. wilczy bilet, zakazujący nauki na terenie Królestwa Polskiego.

W związku z powyższym rodzina Bellertów (matka Jadwiga i dzieci: Helena, Józef, Piotr) przeprowadzili się do miejscowości Mniszek, gmina Wolanów, powiat Radom. Niejako kontynuując szkolny strajk i wypełniając własne zobowiązania bracia nie rozpoczęli nauki w żadnej innej szkole, obaj wstąpili do Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) i mocno zaangażowali się w pracę konspiracyjną. W Mniszku utworzyli konspiracyjną placówkę PPS, podlegającą centrali w Radomiu, a swoim działaniem objęli teren czterech gmin. Na tym obszarze kolportowali nielegalne czasopisma i ulotki, prowadzili inną działalność podziemną oraz przeprowadzali akcje dywersyjne. Józef nosił przy sobie rewolwer dla samoobrony, a w domu Bellertów często przechowywano broń i amunicję.

Po strajku szkolnym, mimo wprowadzonych restrykcji, władze carskie zliberalizowały nieco swoje dotychczasowe stanowisko i wprowadziły np. naukę języka polskiego i religii w języku polskim oraz zezwoliły na posługiwanie się przez uczniów rodzimą mową na przerwach. Po jakimś czasie wolno też było strajkującym wyjeżdżać do Rosji. Fakt ten wykorzystała rodzina Bellertów – Józef i Piotr wyjechali do Petersburga i rozpoczęli naukę w tamtejszym X Gimnazjum. Nie jest wykluczone, że chłopcy jako synowie carskiego pułkownika mogli się kształcić w rosyjskich szkołach za darmo, nie płacąc czesnego. Józef i Piotr Bellertowie uczęszczali







**Oddział Legionowego
Szpitala w Kielcach.
W środku siedzi
por. dr Józef Bellert
(zdj. pochodzi z książki
Karabin i nosze.
*Wspomnienia lekarzy
i farmaceutów*
z lat 1914–1920. Tom I,
Warszawa 1936)**

LEKARZ Z AUSCHWITZ

do petersburskiej szkoły w latach 1907–1908. Po jej ukończeniu Piotr rozpoczął studia inżynieryjne w Instytucie Technologicznym w Petersburgu. Natomiast Józef powrócił na ziemię polskie. Tym razem znalazł się nie na terenie zarządzanego przez Rosjan Królestwa Polskiego, lecz w zaborze austriackim. W Krakowie rozpoczął studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. To właśnie tam Józef Bellert wstąpił do Związku Walki Czynnej, który z inicjatywy Józefa Piłsudskiego organizował Kazimierz Sosnkowski. W tej tajnej organizacji wojskowej, która miała przygotować walkę zbrojną o wolną Polskę, używał pseudonimu „Eges” i miał legitymację o numerze 13. W ramach ZWCz uczestniczył w tajnych wykładach o broni, materiałach wybuchowych, niszczeniu mostów oraz przerywaniu linii telefonicznych. W jego domu kwaterowali przyjezdni konspiratorzy oraz przechowywano karabiny i amunicję do nich, a w ramach swojej podziemnej pracy Józef przygotował np. w czasie wakacji plany Kielc na konspiracyjne potrzeby ZWCz. Oprócz tego Bellert jako student medycyny należał do akademickiej organizacji „Spójnia”. Później zaangażował się w działalność w Towarzystwie „Strzelec”, w którym posługiwał się pseudonimem „Jacek” (bądź „Jacek II”). W „Strzelcu” Józef był sekcyjnym, miał pod swoimi rozkazami kilkunastu ludzi. Brał udział w dziennych i nocnych ćwiczeniach militarnych, przy czym niektóre z tych terenowych szkoleń były zakrojonymi na szeroką skalę manewrami wojskowymi.

Od 1908 roku Józef Bellert studiował na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Tam włączył się w prace niepodległościowe w kole studenckim skupionym wokół prof. Odonu Bujwida. W 1912 roku otrzymał absolutorium i wygrał konkurs na stypendium naukowe im. Adama Mickiewicza w Akademii Umiejętności. Pracował w Klinice Chirurgicznej prof. Kadera, w Klinice Położniczo-Ginekologicznej prof. Rosnera oraz w Komisji Fizjograficznej Akademii Umiejętności.

W życiu młodego studenta medycyny i działacza niepodległościowego zaszły również zmiany natury osobistej. 8 września 1912 roku (według kalendarza juliańskiego był to 26 sierpnia)



Oddział Legionowego Szpitala w Kielcach. W środku siedzi por. dr Józef Bellert (zdj. pochodzi z książki *Karabin i nosze. Wspomnienia lekarzy i farmaceutów z lat 1914–1920*. Tom I, Warszawa 1936)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

w kościele katedralnym w Kielcach 25-letni Józef Bellert poślubił o rok młodszą Sabinę z d. Głuchowską. Małżonkę poznał najprawdopodobniej kilka lat wcześniej, kiedy Sabina odgrywała zasadniczą rolę w czasie kieleckich strajków szkolnych w 1905 roku. Dwa lata po ślubie, 17 maja 1914 roku, młodym małżonkom urodziło się pierwsze dziecko – na świat przyszła córka Zofia Bellert.

Należy jeszcze wspomnieć, że według zachowanych dokumentów archiwalnych Józef Bellert był narodowości polskiej, wyznania rzymskokatolickiego, miał 167 cm wzrostu, oczy szare i był szatynem. Nie posiadał żadnych znaków szczególnych, a jego nos, usta i podbródek były proporcjonalne. Dopiero po latach zaczęto określać go jako korpulentnego mężczyznę z wąsikami i brzuszkiem. Warto też wspomnieć, że Józef Bellert, oprócz rodzimej mowy, znał jeszcze dobrze język francuski i rosyjski.

* * *

Kiedy latem 1914 roku rozpoczął się wielki międzynarodowy konflikt zbrojny, trzej zaborcy Polski znaleźli się w dwóch różnych, wrogich sobie obozach: Niemcy wraz z Austro-Węgrami w jednym, a Rosja z Francją i Anglią w drugim. Sytuacja dojrzała do tego, że Polacy mogli zawalczyć o odzyskanie niepodległości własnej ojczyzny. Rozumiał to doskonale Józef Piłsudski, który w lipcu 1914 roku wystosował pierwsze rozkazy mobilizacyjne dla żołnierzy „Strzelca” i Polskich Drużyn Strzeleckich. Na początku sierpnia w krakowskich Oleandrach przeprowadzono organizację pierwszego od lat oddziału Wojska Polskiego – Pierwszej Kompanii Kadrowej Strzelców.

Pośród pierwszych zmobilizowanych strzelców i uczestników wyprawy kieleckiej znalazł się również Józef Bellert. Już wcześniej (w styczniu i czerwcu 1914 r.) władze rosyjskie brały jego nazwisko pod uwagę jako carskiego poborowego, ale wówczas dzięki studiom udało się mu wybronić od pójścia „w kamasze” do obcego wojska. Kiedy jednak w lipcu 1914 roku Józef Piłsudski zarządził mobilizację, Józef nie zastanawiał się ani przez moment. Jako

BIURO KOMITETU KRZYŻA i MEDALU NIEPODLEGŁOŚCI

prosi uprzejmie o wypełnienie niniejszego kwestjonariusza, dołączenie 2-ch fotografii i niezwłoczne przesłanie pod adresem: Warszawa, Aleje Ujazdowskie Nr. 1.

Leg. № *246-9*

Kwestjonariusz

dla otrzymania legitymacji, upoważniającej do zniżki kolejowej.

(wypełnia czytelnie odznaczony).



Nazwisko *Dr. Bellert kpt. lek. rez.* (pseud.)

Imię *Jan*

O ile zameżna — nazwisko rodowe

Data i miejsce urodzenia: *19^{II} 1887 Samsonów*

Miasto *—*

Wieś *—*

Gmina *Samsonów*

Powiat *Kielecki*

Województwo *Kielecki*



Suma wpłacenia kwoty 2 Zł. *22.11*

Posiadane polskie odznaczenia: *Krzyż Walki, 2 okł.
Mon. Polna' 1260 z 1918 r. Krzyż Opresni' Polow. Rest.
Medal na wojnę*

Jakie otrzymał odznaczenie niepodległościowe:

~~Krzyż Niepodległości z mieczami *)~~
 Krzyż Niepodległości
 Medal Niepodległości

Data zarządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej umieszczona na dyplomie *Monitor Polni' 1132 z 1931 r. 6. VI. 31.*

Dokładny adres obecny (miasto, ulica, wieś, gmina, powiat, województwo, poczta): *Warszawa Polna 42 m. 7*

Legitymacja № _____

2 zł. wpłacono P. K. O. _____

poz. *268* z dn: *23/IV* 1934 r.

Wysłano dn: *5. VII. 1934*

Podpis wypełniającego kwestjonariusz

J. Bellert

Warszawa, dnia *26/II* 1934 r.

*) niepotrzebne skreślić.

Kwestjonariusz Biura Komitetu Krzyża i Medalu Niepodległości

317

LEKARZ Z AUSCHWITZ

były działacz PPS i Związku Walki Czynnej, a obecnie sekcyjny „Strzelca” i lekarz Kliniki Chirurgicznej prof. Kadera w Krakowie od razu zgłosił akces do tworzących się właśnie oddziałów polskich. Według zachowanych dokumentów Józef Bellert 3 sierpnia 1914 roku oficjalnie wstąpił do wojska. Trzeba przyznać, że już wcześniej, po wypowiedzeniu wojny Serbii przez Austrię, przeczuwając, co się święci, mocno zaangażował się w przygotowania do walki, a raczej do ratowania życia i zdrowia w warunkach wojennych. Do tej pory sanitariusze „Strzelca” borykali się podczas ćwiczeń z otartymi stopami, biegunką, bólem zęba i zaskabnięciami. Wojna jednak niosła ze sobą inne, o wiele poważniejsze zagrożenia. W Bibliotece Medyków w Krakowie załączki polskiej wojskowej służby sanitarnej pod kierunkiem dr. Stanisława Roupperta (późniejszego lekarza naczelnego Legionów Polskich) przygotowywały praktycznie od zera całe własne zaplecze medyczne. Organizowano narzędzia chirurgiczne, przygotowywano komplety opatrunkowe, składające się z nożyczek, pęsety, igieł i jedwabiu, sterylizowano duże ilości gazy i bandaży, z których składano zawinięte w nieprzemakalny materiał opatrunki osobiste. Równocześnie cały czas trwał nabór do pomocniczej służby sanitarnej przyszłego polskiego wojska. Niesiony na skrzydłach pierwszego powiewu wolności i zaangażowany mocno w tworzenie nowych struktur wojskowych i sanitarnych Józef Bellert, wyręczając dziewczyny, własnoręcznie uszył dużą białą chorągiew z czerwonym krzyżem i literą „S”, która symbolizowała Związek Strzelecki. Flaga ta powiewała najpierw na balkonie Biblioteki Medyków, a później oznaczała pułkowy wóz sanitarny.

Kilka dni po wymarszu Kompanii Kadrowej z krakowskich Oleandrów, 9 sierpnia 1914 roku, w ślad za nią w drogę ruszył tabor sanitarny polskiego wojska. Prawdziwą sensację wzbudzała wtedy zaprzężona w konie prawdziwa karetka pogotowia ratunkowego, którą Krakowskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe oddało do dyspozycji „Strzelcowi”. Początkowo legionowi lekarze i sanitariusze wzbudzali tylko żarty i kpiny zwykłych żołnierzy.

S. † p.

Dr med. JÓZEF BELLERT

b. lekarz 1 pp. I Brygady Legionów Polskich, ordynator Szpitala Wojskowego Polowego nr 202 w 1939 r., szef sanitarny Armii Krajowej, ps. „Jacek”, w Powstaniu Warszawskim dzielnicy Mokotów, naczelny lekarz PCK Szpitala Obozowego w oswobodzonym Oświęcimiu, dyrektor Szpitala św. Łazarza w Krakowie, lekarz orzekający Woj. Komisji Lekarsko-Społecznej, długoletni lekarz III Dzielnicowej Przychodni Obwodowej Prez. DRN „Kleparz”, odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, 3-krotnie Złotym Krzyżem Zasługi, Odznaką „Za wzorową pracę w służbie zdrowia” i innymi, zmarł dnia 23 kwietnia 1970 r. w Warszawie, po długiej i ciężkiej chorobie, w wieku 83 lat, opatrzony św. Sakramentami.

Pogrzeb odbędzie się w Warszawie, w środę, dnia 29 kwietnia — o czym zawiadamiają pogrążeni w żałobie

CÓRKI, BRAT i RODZINA

Nekrolog Józefa Bellerta, opublikowany w „Dzienniku Polskim”
nr 99 z 28 kwietnia 1970 r. (Główna Biblioteka Lekarska
im. Stanisława Konopki w Warszawie)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

„Oddaj nogę, łapiduchu!” – krzyczano za nimi ze śmiechem. Ale sytuacja szybko się zmieniła po wstępnych walkach, gdy pierwsi ranni otrzymali skuteczną pomoc z rąk wyśmiewanych niedawno „łapiduchów”.

Kilka dni po wstąpieniu do armii Józef Bellert jako sierżant sanitariusz otrzymał przydział do I Baonu, w którym został zastępcą lekarza batalionowego. Wyruszając na wojnę, oprócz normalnej wojskowej „żelaznej” porcji jedzenia, picia i amunicji, Józef Bellert miał w chlebaku kleszcze do wyrywania zębów, narzędzia chirurgiczne, buteleczkę z jodyną, ampułki z morfiną, strzykawkę, opatrunki osobiste i proszki na różne dolegliwości. Jego umundurowanie nie odbiegało od uniformu piechoty, ale jako sanitariusz na lewym ramieniu nosił białą opaskę z czerwonym krzyżem. Kolumna sanitarna polskich strzelców kierowała się przez Skalę i Słomnik na Miechów.

W dalszym marszu przez Samsonów strzelecka kolumna sanitarna wkroczyła do Kielc i zakwaterowała w gmachu Izby Skarbowej, organizując od razu ambulatorium pułkowe i biuro lekarza naczelnego. Ruch w przychodni był duży – to tutaj zgłaszali się chorzy żołnierze potrzebujący pomocy czy skierowania do szpitala. Pacjentów było coraz więcej, ponieważ do normalnych niedomagań wynikających z długiego, uciążliwego marszu (otarcia nóg, maruderstwo), doszła jeszcze czerwotka. Już wcześniej, w czasie pokonywanej trasy na Kielce, część polskich medyków odkomenderowano do posuwającej się na samym przodzie komisji sanitarnej odpowiedzialnej za badanie studni. Te z podejrzaną wodą oznaczano kredą, aby przypadkiem żaden polski żołnierz nie pił z nich wody. Mimo takiej przezorności wkrótce Szpital św. Aleksandra w Kielcach był już przepelniony i musiano korzystać z sal seminarium duchownego i prowizorycznych ambulatoriów.

Jako sierżant sanitariusz i zastępca lekarza I Baonu Józef Bellert brał udział w pierwszych wrzesniowych bojach jednostek Piłsudskiego na lewym brzegu Wisły pod Nowym Korczynem, Ostrowcami, Szczytnikami i Czarkowami. Później doszły do tego walki na przedpolu twierdzy Iwanogród (Dęblin) pod Anielinem

Pani Dr. J. Bellertowi

zespół P.C.K.

na pamiątkę wspólnej pracy w okresie abdykacji.

<i>Alfred</i>	<i>Wojciech</i>
<i>Józef</i>	<i>Stanisław</i>
<i>Władysław</i>	<i>Polina</i>
<i>Władysław</i>	<i>Władysław</i>
<i>Władysław</i>	<i>Władysław</i>
<i>Władysław</i>	<i>Władysław</i>

Opiszczona 1945



Pierwsza karta albumu fotograficznego podarowanego przez zespół PCK dr. Józefowi Bellertowi na pamiątkę wspólnej pracy w szpitalu dla byłych więźniów KL Auschwitz (Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

i pod Laskami, bitwa pod Krzywopłotami, pod Konarami, Ożarowem, Urzędowem i nad Wisłą pod Tartłowem. W dalszej części kampanii Legionów były działania pod Jastkowem, Kuklami, Kamieniuchą i pierwsze boje pod Kostiuchnowką.

Pod koniec czerwca 1916 roku Józef Bellert został odkomenderowany do szpitala w Radomiu. Wcześniej, na krótko, przez dwa miesiące (listopad 1915 r.–styczeń 1916 r.) był lekarzem VI Baonu 1 Pułku I Brygady Legionów, a następnie otrzymał półroczny przydział do V Batalionu tegoż pułku. Jego działalność wojskowa i medyczna była wysoko oceniana przez przełożonych. Na początku lat 20., już w wolnej Polsce, w jednym z dokumentów odznaczeniowych mjr Hałaciński z 5 pp Legionów napisał o Bellerce: „Jako lekarz batalionowy odznaczał się zawsze wielką gorliwością w spełnianiu swych obowiązków, opatrując rannych niejednokrotnie pod gradem kul. W walkach ruchomych na Wołyniu w 1915–1916 roku częstokroć szedł z patrolem przednim, aby zawsze być w miejscu najbardziej zagrożonym, gdzie niejednokrotnie pomoc lekarska jest najbardziej potrzebną. Niejednokrotnie z bronią w ręku stawał do szeregu, nie nosząc na linii nigdy opaski Czerwonego Krzyża, którą zakładał dopiero na postojach i na odpoczynkach. Zawsze przy pracy, zawsze z chętną wszędzie spieszący pomocą, nie znał prawie, co to odpoczynek, świecąc przykładem nie tylko podwładnym sobie żołnierzom sanitarnym, ale niejednokrotnie i kolegom liniowym”. W grudniu 1916 roku Józef Bellert otrzymał kolejny awans na stopień porucznika, choć formalny rozkaz podpisano dopiero w pierwszych dniach stycznia 1917 roku.

Józef Bellert często pisał z okopów wielkiej wojny do żony, nazywając ją w listach pieszczotliwie „kochana Sabcia” lub „Sabuś”. W rodzinnych pamiątkach zachowały się nawet dwie takie kartki pocztowe. Na jednej z nich, z grudnia 1915 roku, kreślił ołówkiem słowa do żony, a z treści listu wynikało, że pisze do Sabiny niemal codziennie i martwi się, że z domu otrzymuje tak rzadko wiadomości. W czasie, kiedy Józef Bellert ratował rannych na frontach wielkiej wojny, jego żona wraz z dwumiesięczną córeczką musiała uciekać z Krakowa do Zakopanego. Dopiero tam, u pani Paszkowskiej,

znalazła bezpieczne schronienie. Przez tę konieczną eskapadę zaginęły wszystkie rodzinne dokumenty pozostawione w mieszkaniu w Krakowie. W sierpniu 1916 roku na świat przyszła druga córka państwa Bellertów – Anna, która niestety zmarła w 1917 roku podczas epidemii tyfusu plamistego (duru plamistego).

Jako organizator i komendant szpitala dla legionistów w Radomiu Józef Bellert zmobilizował do Legionów 200 nowych miejscowych rekrutów, co stało się przyczyną wyrzucenia go z tej posady przez władze austriackie. Na krótko trafił do szpitala w podwarszawskim Rembertowie, a następnie do szpitala do Kielc, tam na stanowisku komendanta legionowego oddziału szpitalnego w Kielcach Józef Bellert zastąpił dr. Kwaśniewskiego. „Młodszy od swego poprzednika – wspominał dr. Bellerta Leon Streit – równie jednak poważny i świadomy swych zadań, kontynuował pracę niepodległościową, utrzymując żywy kontakt z miejscowym społeczeństwem, Ligą Kobiet i tymi nieoficjalnymi już wówczas osobami z Brygady, których instrukcje były dla nas ważniejsze od rozkazów Komendy Legionów. W pracy zawodowej na oddziale i w obejściu z podwładnymi zyskał sobie por. dr Bellert wiele żołnierskiego serca”. Potem był ordynatorem (kierownikiem) oddziału dla legionistów przy niemieckim szpitalu w Żyrardowie.

W momencie kryzysu przysięgowego Józef Bellert był na urlopie, ale natychmiast po powrocie do jednostki stanął do raportu i odmówił złożenia przysięgi na wierność cesarzowi Niemiec. Zostałby pewnie internowany, podobnie jak inni oficerowie Legionów Polskich, ale początkowo przesunięto go do zakładu sanitarnego dywizji. Kiedy czekał na decyzję obcych przełożonych co do swojego dalszego losu, dostał depezę z informacją o śmierci córki Anny. „Wyjechałem do Kielc i już więcej nie powróciłem do wojska – napisał po latach zrozpaczony ojciec, mając na myśli Legiony. – Przebrałem się za cywila i objąłem posadę lekarza okręgowego i miejskiego w Chęcinach”. Ostatecznie Józef Bellert został zwolniony z Legionów Polskich rozkazem nr 398 z dnia 16 października 1917 roku.

* * *

Pracę na stanowisku lekarza w Chęcinach Józef Bellert rozpoczął 20 października 1917 roku. Osiedlenie i posada w Chęcinach, koniec wojny światowej i odzyskanie przez Polskę niepodległości przyniosły rodzinie Bellertów pewną stabilizację. Już wcześniej, 2 lipca 1918 roku, urodziła się Maria Bellert. Wkrótce okazało się, że zakończenie wojny wcale nie oznacza końca walki o granice nowej Rzeczypospolitej. Na wschodzie ciągle tlił się konflikt polsko-ukraiński, do którego niebawem dołączyła inwazja Rosji bolszewickiej. Kiedy latem 1920 roku wojska bolszewickie zbliżały się do Warszawy, Józef Bellert został powołany do czynnej służby w Wojsku Polskim. 20 lipca 1920 roku został skierowany do Szpitala Okręgowego w Kielcach z przydziałem na stanowisko dowódcy i ordynatora oddziału chirurgicznego. Pod koniec września otrzymał awans na stopień kapitana lekarza (Dz. Per. 38/20) ze starszeństwem obowiązującym od 1 kwietnia 1920 roku. W październiku tego samego roku przeniesiono go do Kompanii Zapasowej Sanitarnej Nr 4 w Łodzi, w której był instruktorem wyszkolenia sanitarnego. W styczniu 1921 roku, w związku z reklamacją Ministerstwa Zdrowia Publicznego, Józef Bellert został bezterminowo urlopowany. W maju kolejnego roku, już jako rezerwista, otrzymał ewidencyjny przydział do Kadry Kompanii Zapasowej Sanitarnej Nr 10. Natomiast w maju 1923 roku jako kapitan lekarz rezerwy odbył sześciomiesięczne wojskowe ćwiczenia sanitarne. Podsumowując swoje ówczesne wojskowo-medyczne doświadczenia, Józef Bellert zanotował po latach: „Odznaczeń wojskowych nie posiadam, gdyż o nie nie dbałem, ani nie starałem się”.

Po przejściu do cywila w 1921 roku Józef Bellert powrócił do Chęcini i pracował tam jako lekarz do lutego 1925 roku. Warto wspomnieć, że oprócz ratowania zdrowia i życia mieszkańców, już wtedy dawny legionista angażował się w prace społeczne i był np. sekretarzem Ochotniczej Straży Pożarnej w Chęcinach. Następnie

670

-8-

C. i k. austr.-węg. obszar okupowany

Diecezja Sandomierska

Obszar Powiat Kielce

Dziękanat Luncon

Świadcstwo urodzin i chrztu.

W metryce urodzin parafii Siemlu dla gminy Siemowice w tomie X na stronie 18 pod liczbą porządkową 60 zapisane jest co następuje:
 Roku pańskiego tysiąc ~~osiemset osiemdziesiąty i drugi~~
 to jest 1887 dnia 19 ~~listopada~~ miesiąca listopada urodził się w domu pod Nr. Siemowice i został w dniu 16 lipca 1888 roku przez Wielcebnego Ojca Gregora Kobrowskiego ochrzczony według obrządku rzymsko-katolickiego.

Imię ochrzone	religia	płeć	ślubne	miałobłone	Rodzice		Rodzice chrzestni	Uwaga
					Ojciec	Matka		
Józef Stanisław Ferdy nand					Alexander Bellert	Jadwiga Avrembora	Michał Maksymilian Helena Wacławowa	Żona Stanisława Antonina Bellert d. 11.11.1850 r. w domu rodzinnym w Kielcach zawarła związek małżeński z Gabrielem Głuchowskim 18.11.1887
							Władysław Teodor Kondrat i Władysław Józefina	

Zgodność świadectwa urodzin z powołanym w niem zapisem metryki urodzin potwierdzam własnoręcznym podpisem i przez przybicie pieczęci urzędu parafialnego.

Siemlu dnia 18 lipca 1918 r.



[Handwritten signature]

Świadcstwo urodzin i chrztu Józefa Bellerta wystawione w 1918 r.
 (Archiwum Państwowe w Kielcach)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

Józef Bellert przeniósł się wraz z rodziną do Pińczowa, pełnił tam funkcję dyrektora Szpitala Powiatowego im. św. Juliana oraz lekarza sejmikowego. Podczas pracy na tych stanowiskach zorganizował bezpłatną pomoc lekarską dla mieszkańców powiatu pińczowskiego skupionych w pięciu ośrodkach zdrowia. Dodatkowo zaangażował się w prace społeczne i osobiście prowadził w tym czasie oświatę zdrowotną, zawody sportowe, a nawet konkursy hodowlane. Ponadto w latach 30. przyczynił się do organizowania bezpłatnych wczasów dla młodocianych robotników. Należał i działał w Związku Legionistów Polskich, Związku Oficerów Rezerwy RP oraz Polskim Towarzystwie Lekarskim. Równoległe ze stanowiskiem lekarza piastował funkcje w Powiatowych Kasach Chorych w Kielcach i Pińczowie.

W taki sposób Józefa Bellerta zapamiętał mieszkaniec Pińczowa Zbigniew Sobczyk: „(...) gdy w zimie 1930 roku zachorowałem ciężko na szkarlatynę, wizyty doktora Bellerta stały się u nas codziennością. Opiekował się mną bardzo pieczołowicie, czasami zażartował, aby mnie podtrzymać na duchu. Miał duży mir wśród obywateli Pińczowa, sprawnie kierował miejscowym szpitalem. Mało było spraw, których nie mógłby załatwić «na górze» z korzyścią dla miasteczka. (...) Pamiętam przypadki chorobowe zarówno pośród znajomych z Pińczowa, jak i rodziny, kiedy to korzystano z pomocy doktora Bellerta dla ich hospitalizowania w Krakowie. Każdym takim przypadkiem zajmował się bezinteresownie i z wyjątkową troskliwością”.

Józef Bellert był również inicjatorem budowy szkoły-pomnika im. Józefa Piłsudskiego w Starym Korczynie (obecnie Winiary) oraz pomnika upamiętniającego zwycięstwo Legionów Polskich w bitwie pod Czarkowami (23 września 1914 r.).

Aby umożliwić córkom studia w stolicy, w 1933 roku rodzina Bellertów przeprowadziła się do Warszawy. W stolicy Józef podjął pracę najpierw w Zw. Kas Chorych, potem w Zakładzie Ubezpieczeń na Wypadek Choroby, a wreszcie jako zastępca lekarza naczelnego Zakładu Ubezpieczeń Społecznych.

Republika Polska
wz. Wieloletni
pow. Wieloletni

ŚWIADECTWO URODZENIA.

37

105
40 rok

Nr. aktu. 00

Świątów

Wydane przez Urzędnika Stanu Cywilnego Parafii
gminy Świątów.

Nazwisko i imię urodzonego	Miejsce urodzenia	Data urodzenia			Imiona rodzi- ców i nazwi- sko panień- skie matki	Zawód ojca
		Dzień	M-c	Rok		
Bellert Józef Stanisław- Ferdynand	Świątów	19	marca	1887	Aleksander i Zofia Larombski	

Rok urodzenia słownie: tysiąc osiemset osiemdziesiąty siódmy

Świątów, dnia 20 lipca 1935 r.

Rs. S. Pliwaszka



Świadectwo urodzenia Józefa Bellerta (Centralne Archiwum Wojskowe)

* * *

To właśnie w Warszawie Józefa Bellerta zastał wybuch II wojny światowej. Jeszcze w lipcu 1939 roku Józef pisał w liście do brata, że urlop planuje spędzić w Starym Korczynie, aby dopilnować wykończenia szkoły-pomnika w Winiarach. Wspominał też, że chce wysłać żonę z córkami na jakieś wczasy. Nic nie wiadomo na temat, jak zakończyły się planowane urlopy i wczasy w rodzinie Bellertów, a 1 września wojska Hitlera zaatakowały nasz kraj. Po agresji Niemiec na Polskę, 3 września, jako kapitan rezerwy i lekarz Józef Bellert zgłosił się do służby czynnej i otrzymał przydział do kadry zapasowej Szpitala Okręgowego w Lublinie. Następnie był ordynatorem oddziału interny (czyli wewnętrznego) w kierowanym przez mjr. Kazimierza Matuszewskiego szpitalu polowym nr 202. W niektórych opracowaniach J. Bellert figuruje tam jako ordynator chirurgii. W związku z szybkimi postępami wojsk hitlerowskich i ewakuacją Wojska Polskiego pod koniec września w rejonie Tomaszowa Lubelskiego Józef Bellert dostał się do niewoli niemieckiej. Początkowo przewieziono go do Krakowa, ale w związku z wykonywanym zawodem szybko przestał być niemieckim jeńcem i mógł wrócić do Warszawy. Według kwestionariusza dla pierwszego zgłoszenia zawodów leczniczych spisane dla władz okupacyjnych 15 września 1940 roku doktor Józef Bellert, lekarz wszech nauk lekarskich, mieszkał w Warszawie przy ulicy Polnej 42 mieszkania 7 i pracował na stanowisku Kierownika Wydziału Lecznictwa w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie.

Józef Bellert na stanowisku lekarza i kierownika wydziału w ZUS dotrwał do 1 sierpnia 1944 roku, a kiedy wybuchły powstańcze walki, służąc pod pseudonimem „Jacek”, ochotniczo ratował życie i zdrowie ludzi jako chirurg w powstańczym szpitalu PCK przy ulicy Mokotowskiej i Jaworzyńskiej na Śródmieściu-Południe. Co ciekawe, podlegający Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi i dzięki temu jawnie funkcjonujący w czasie okupacji Polski Czerwony Krzyż już wcześniej włączył się



Kapitan Józef Bellert 1920 r. (ze zbiorów Rodziny Bellertów, wolne zasoby Wikipedii)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

w konspiracyjne przygotowania do walki. Zanim padły pierwsze strzały w Warszawie, w ramach PCK przeprowadzano tajne szkolenia sanitarne, gromadzono lekarstwa i środki opatrunkowe.

Dzięki temu po wybuchu walk dość szybko zorganizowano szpital PCK w znajdującym się przy ulicy Mokotowskiej 13 Domu Parafialnym Kościoła Najświętszego Zbawiciela.

We wstępnej fazie powstania w szpitalu znajdowali schronienie ranni powstańcy pochodzący np. z batalionu AK „Ruczaj” oraz okoliczni cywile. Potem na potrzeby szpitala zaadaptowano pomieszczenia parterowe i piwnice wszystkich budynków umiejscowionych przy ulicy Jaworzyńskiej, która była przedłużeniem Mokotowskiej.

Komendantem szpitala był dr Smoliński. Oprócz niego i dr. Bellerta w szpitalu pracowali również lekarze z Zarządu Okręgu Warszawskiego PCK – dr Hieronim Bartoszewski i dr Michał Miszewski.

Warto podkreślić, że szpital przy Jaworzyńskiej 2 zaopatrywał się z własnych magazynów żywnościowych oraz materiałów sanitarno-opatrunkowych i lekarstw. Józef Bellert był jednym z 1200 lekarzy działających podczas powstania warszawskiego. Jego córki Zofia i Maria były jednymi spośród 6800 pielęgniarek i sanitariuszek, ratujących życie i zdrowie w tym czasie na obszarze polskiej stolicy. Według niepotwierdzonych danych, opublikowanych w notatce prasowej po śmierci Bellerta – w czasie powstania warszawskiego Józef Bellert ps. „Jacek” był szefem sanitarnym AK w dzielnicy Mokotów.

Po zakończeniu walk ten śródmiejski szpital PCK stał się centrum ewakuacyjnym dla wszystkich warszawskich placówek czerwonokrzyżyskich. Nawet Niemcy pozwolili na jego funkcjonowanie, ponieważ za Polakami wstawił się niemiecki oficer leczony w tym miejscu podczas powstania. Później Niemcy ewakuowali cały szpital z personelem i rannymi (około 800 osób) transportem kolejowym do Krakowa. Józef Bellert z córkami Zofią i Marią znalazł się

KOMISJA ODZNACZENIOWA

Pieczęć nagłówkowa

GRUPA LEGJONOW

L. dz. V Baza I Baza
LEG. POL.

dnia

WNIOSEK

o nadanie Dr. BELLERT JOZEF

orderu *Krzyż Niepodległości*

1	Imię i nazwisko kandydata	Dr. Józef Bellert "Jacek"
2	Zawód ewent. z podaniem tytułu zawodowego Stanowisko Tytuł naukowy " urzędowy	Lekarz
3	Dokładny adres	Pińczów ul. 3Maja
4	Rodzaj odznaczenia	<i>Krzyż Niepodległości.</i>
5	Stopień proponowanego odznaczenia	<i>Krzyż Niepodległości.</i>
6	<p>Życiorys Urodzony 19 marca 1887r. w Samsonowie pow. kielecki. Uczęszczał do gimnazjum w Kielcach i w roku 1905 został za strajk polityczny wydalony z 7 klasy, w 1907r. kończy gimnazjum w Petersburgu. Studjuje na Uniwersytecie w Krakowie medycynę i podczas tego wstępuje do Zw. Walki Czynnej pod pseudonimem "Eges". Należy do Zw. Strzeleckiego i 6/VIII 1914r. wyruszył ze strzelcami na wojnę jako sierżant sanitarny, bierze udział w LBW do dn. 21 czerwca 1916r. Bierze udział w robocie politycznej w radomiu jako komendant szpitala dla legionistów z którego zostaje wydalony.</p> <p>Odmawia złożenia przysięgi i w październiku 1917r. pracuje w Chełcinach, jako lekarz okręgowy. Podczas wojny bolszewickiej w stopniu w stopniu kapitana i w 1921r. zostaje urlopowany na skutek reklamacji Min. Zdrowia Publ. do zwalczania epidemii. Od 1925r. jest kierownikiem szpitala powiatowego w Pińczowie. W roku 1928 jest inicjatorem wystawienia pomnika dla poległych w bitwie pod Czarkowem dnia 3 września 1914r.</p>	

Nr 5423/29, Druk. M. S. Wojsk.

Dalsza część wniosku o odznaczenie Józefa Bellerta Krzyżem Niepodległości z jego krótkim życiorysem (Centralne Archiwum Wojskowe)

LEKARZ Z AUSCHWITZ

najpierw w strzeżonych przez hitlerowców budynkach przy kościele Jezuitów przy ulicy Kopernika, a następnie w Domu Medyka przy ulicy Grzegorzeckiej.

Zofia Bellert wspominała: „6 stycznia 1945 roku w nocy Niemcy otoczyli szpital PCK w Domu Medyka i przez około sześć godzin szykanowali nas, grożąc wywiezieniem do obozów. Część personelu, m.in. mnie i moją siostrę Marię, przewieziono na posterunek policji do tzw. Białego Domu przy ulicy Lubicz. Nad ranem gestapowcy wyrzucili nas stamtąd krzycząc: *Raus! Raus!* Najprawdopodobniej interweniowała w naszej sprawie jakaś organizacja”.

Pomimo takich przygód Bellertowie w Krakowie doczekali wkroczenia Armii Czerwonej.



Dr Józef Bellert, początek lat 30. (Centralne Archiwum Wojskowe)

WYBRANA BIBLIOGRAFIA

Źródła archiwalne

Archiwum Państwowe w Kielcach: Urząd Gubernialny Kielecki do spraw Powinności Wojskowej, sygn. 1294, Wydział Powiatowy w Pińczowie, sygn. 788

Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu, sygn. akt: zespół *Opracowania*, tom 11; zespół *Oświadczenia*, tomy: 6, 70, 74, 75, 77, 78, 85, 87; zespół PCK, tom 1 i 9; zespół *Proces Hössa*, tom 9; zespół *Wspomnienia*, tomy 12 i 22.

Centralne Archiwum Wojskowe, sygn. akt: I.481.B.4441, 1.302.17.14.VM, KN.06.06.1931.

Główna Biblioteka Lekarska im. Stanisława Konopki w Warszawie, sygn. akt: PL/327/1/0/154, Kartoteka Osobowa Lekarzy, „Przegląd Lekarski”, wybrane roczniki 1961–1987.

Instytut Pamięci Narodowej, sygn. akt: IPN GK 174/129.

Opracowania, artykuły i wspomnienia

Akta Krakowskiej Okr. Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w sprawie karnej b. komendanta obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka Rudolfa Hössa, Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu, zespół *Proces Hössa*, tom 9.

Auschwitz, nazistowski obóz śmierci, red. F. Piper, T. Świebodzka, Oświęcim-Brzezinka 2004.

Bellert Józef, *Działalność P. C. K. Okręgu Krakowskiego na terenie obozu „Oświęcim”* (streszczenie), Archiwum PMA-B w Oświęcimiu, zespół *Opracowania*, tom 11.

Bellert Józef, *Praca polskich lekarzy i pielęgniarek w Obozie Śmierci w Oświęcimiu od 6 II 1945 r. do 1 X 1945 r.*, Archiwum PMA-B w Oświęcimiu, zespół *Opracowania*, tom 11.

Bellert Józef, *Praca polskich lekarzy i pielęgniarek w Szpitalu Obozowym PCK w Oświęcimiu po oswobodzeniu obozu*, „Przegląd Lekarski” nr 1a/1963.

Bellert Józef, *Służba sanitarna w I-szym Pułku Piechoty Legionów w czasie bitwy pod Laskami (21.X. – 26.X.914 r.)*, w: *Karabin i nosze. Wspomnienia lekarzy i farmaceutów z lat 1914–1920*, tom I, Warszawa 1936.

Bellert Zofia, *Relacja*, Archiwum PMA-B w Oświęcimiu, zespół *Oświadczenia*, tom 77.

Bellert-Michalik Ewa, *Dziadek pojechał do Auschwitz-Birkenau, by ratować pozostałych przy życiu więźniów*, <http://wyborcza.pl/AkcjeSpecjalne/7,155762,23976283,dziadek-pojechał-do-auschwitz-birkenau-by-ratowac.html> (dostęp 4 maja 2019 r.).

Bilska Małgorzata, *Józef Bellert i poobozowy szpital*, <http://pck.malopolska.pl/jozef-bellert-i-poobozowy-szpital/> (dostęp 10 maja 2019 r.).

Cicha Dominika, *Doktor z wąsikami. Po wyzwoleniu Auschwitz pojechał ratować tysiące chorych*, <https://pl.aleteia.org/2019/05/07/po-wyzwoleniu-w-auschwitz-zostaly-tysiace-wiezniow-jozef-bellert-pojechał-ratowac/> (dostęp 10 maja 2019 r.).

Cygan Wiktor Krzysztof, *Biogram Józefa Bellerta*, <http://pck.malopolska.pl/jozef-bellert-praca-polskich-lekarzy-i-pielegniarek-w-szpitalu-obozowym-pck-w-oswiecimiu-po-oswobodzeniu-obozu/> (dostęp 23 maja 2019 r.).

Cygan Wiktor Krzysztof, *Oficerowie Legionów Polskich 1914–1917. Słownik biograficzny*. Tom I A–F, Warszawa 2005.

Dutkiewicz Marek, *Służba zdrowia Legionów Polskich w latach 1914–1917*, Piotrków Trybunalski 2009.

Grenda Józef, *Wspomnienia z pracy szpitala PCK w Oświęcimiu po wyzwoleniu obozu*, „Przegląd Lekarski” nr 1/1967.

Grygiel Andrzej, *Żołnierz i lekarz*, „Eskulap Świętokrzyski” 2003/06, <http://www.oil.org.pl/xml/oil/oil56/gazeta/numery/n2003/n200306/n20030613> (dostęp 4 maja 2019 r.).

Jankowski Jerzy, *Dr Jan Oktawian Jodłowski*, „Przegląd Lekarski” nr 1(44)/1987.

Karabin i nosze. Wspomnienia lekarzy i farmaceutów z lat 1914–20, tom I, Warszawa 1936.

Kodź Henryk, *Praca ochotniczego zespołu P. C. K. w szpitalu obozowym w Oświęcimiu*, Oświęcim 1945, IPN GK 174/129.

Maź Marcin Robert, *„Mały pan z brzuszkiem i pięknym wąsem” uratował wielu ludzi. Niezwykła historia Józefa Bellerta*, <https://www.fakt.pl/hobby/historia/jozef-bellert-ratowal-uwolnionych-z-obozu-w-oswiecimiu/rxj3csl#slajd-1> (dostęp 4 maja 2019 r.).

Medycyna za drutami obozu, red. Z.J. Ryn, Kraków 2010.

Oświęcim w oczach SS, wybór oprac. i przyp.: J. Bezwińska, D. Czech, Oświęcim 1972.

Pięgza Szymon, *Anioły życia w obozie śmierci. Reportaż*, <https://wiadomosci.onet.pl/tylko-w-onecie/po-wyzwoleniu-kl-auschwitz-szpital-obozowy-pck/td4pnx9> (dostęp 4 maja 2019 r.).

Strzelecki Andrzej, *Ostatnie dni obozu Auschwitz*, Oświęcim-Brzezinka 1995.

Sznajderski Adam, *Niezwykli*, Tuchów 2006.

Strony internetowe

www.1944.pl/powstancze-biogramy.html

www.auschwitz.org

www.lekarzepowstania.pl

www.oil.org.pl

www.tlw.waw.pl

O AUTORZE



(Fot. Zbyszek Gradowski ESTET)

Szymon Nowak to urodzony w 1973 r. historyk, absolwent wydziału historii Wyższej Szkoły Humanistyczno-Pedagogicznej w Łowiczu i pracownik Biura Edukacji Narodowej IPN w Warszawie. Ma na swoim koncie kilkanaście książek historycznych, których tematy oscylują głównie wokół Powstania Warszawskiego oraz Żołnierzy Wyklętych. Publikował w czasopiśmie historyczno-wojskowych (np. „Militaria XX wieku”, „Biuletyn IPN”, „Magna Polonia”) oraz na stronach internetowych (np. historia.org.pl i portal Stowarzyszenia Pamięci Powstania Warszawskiego 1944). Jest autorem m.in. prac: „Przyczółek Czerniakowski 1944” (2011), „Puszcza Kampinowska-Jaktorów 1944” (2011), „Oddziały Wyklętych” (2014), „Dziewczyny Wyklęte” (dwie części: 2015 i 2016), „Bitwy Wyklętych” (2016), „Zdrajcy Wyklętych” (2017), „Niechciani Generałowie” (2018) oraz „Dworzec Gdański 1944” (2019).